Nasi przemysłowcy

i

ich protektorowie.





Napisał

Dr. Józef Lubicz Orłowski

adwokat nadworny i sądowy we Wiedniu

b. redaktor naczelny „Kuryera Polskiego" w Krakowie.

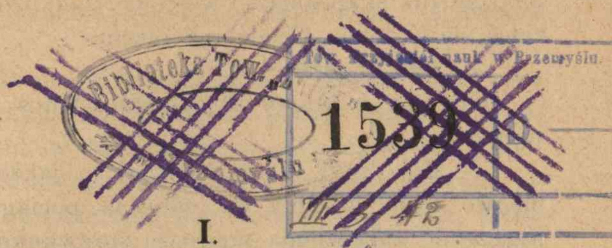


We Wiedniu.

Drukiem i nakładem polskiej drukarni Spielmanna i Kapriego we Wiedniu.

1900.


1000174204



I.

Poświęcenie nowej fabryki.

Dnia pewnego w czerwcu 1881 r. po całodziennej pracy biórowej wybierałem się późnym już wieczorem na przechadzkę, gdy na progu niemal zatrzymał mnie mój przyjaciel z ław uniwersyteckich, który wcześniej odemnie ukończywszy studya z całym zapałem poświęcił się zawodowi przemysłowemu.

Za czasów szkolnych stanowiliśmy nierozdzielną parę i nieraz długie prowadziliśmy z sobą rozmowy na temat spraw krajowych. Atoli później rozdzieliły nas odmienne życia koleje tak, że od lat paru straciłem go zupełnie z oczu. Z niemałem też zdziwieniem, a zarazem z niekłamaną serdeczną radością powitałem go na progu mego ubogiego mieszkania.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołałem — wszakże pan Antoni!

— Antoś, jeżeli łaska — odparł mój gość wyciągając ku mnie obie ręce — przecież nie osiwiałem jeszcze do milion piorunów!

— Raczej odmłodniałeś, ale siadajże, proszę cię.

— Jakby to przemysłowcowi wolno było spoczywać.

— Wyobrażam sobie, że harujesz okrutnie.

— Ba, aż iskry lecą, ale spocząć nie mogę ani na chwilę. Kto z nas spocznie, znać, że kapcanieje,

albo że już skapcaniał. Ale i ty, jak widzę, wybierałeś się z domu. Chodźmyż razem.

— Ano chodźmy!

Gdyśmy z bramy wychodzili, Antoś na zegarek spojrzał.

— Mój drogi — wykrzyknął — jakże czas leci; niecałe dwie godziny do odejścia pociągu, a mam jeszcze do załatwienia mnóstwo sprawunków.

— Nie możesz zatrzymać się przez dzień jutrzejszy?

— Niepodobna, pojutrze wielka u mnie uroczystość: poświęcenie nowego wapiennika.

Gdy domawiał słów ostatnich, oczy mu jaśniały wewnętrznem zadowoleniem.

— Serdecznie ci winszuję — odezwałem się — ale jak przyszedłeś do tego wapiennika: o ile pamiętam utrzymywałeś się z własnej pracy.

— Dziwne istotnie przechodziłem koleje od czasu, gdyśmy się widzieli poraz ostatni przed kilkoma laty. Odbywając studya prawnicze, walczyłem niemal z niedostatkiem, gdyż lekcye niezawsze się trafiały, a stryj mój, aczkolwiek majętny, odmawiał pomocy obawiając się, abym się nie przerzucił do studyów technicznych, do których od pierwszej młodości czułem w sobie powołanie.

— A pamiętasz — wtrąciłem — nasze wspólne mieszkanie na Gołębiej i nasze sławne herbaty?

— Bez cukru i z suchym chlebem, które zastępowały śniadania, obiad i kolacye. Takich przygód nie zapomina się nigdy.

— A naszą gospodynię Zrzędnicką, która się koniecznie chciała dowiedzieć, czy my też jadamy obiad.

— I pod naszą nieobecność dosypywała nam herbaty i dodawała chleba tak zręcznie, żeśmy się

przez jaki tydzień spostrzec nie mogli. Poczciwa kobiecina!

— Otóż po tych wszystkich biedach, złożywszy egzamin przyjąłem, jak wiesz, posadę aplikanta w jednym z banków tutejszych, a cały czas wolny poświęcałem studyom technicznym i przemysłowym. — Dwa lata tak przemęczyłem, sam nie wiem jak, kiedy niespodzianie zaskoczyła mnie wiadomość o śmierci stryja, który mi zapisał cały majątek, składający się z domu we Lwowie i wioski koło Lubienia. Nie mogę powiedzieć, aby mnie ta wiadomość w pierwszej chwili zbyt ucieszyła. Żal mi było poczciwego staruszka, który pracował lat tyle dla ocalenia rodzinnego gniazda, a również z niechęcią przerywałem rozpoczęte studya.

— Przeniosłeś się tedy na wieś.

— Nieinaczej. W Grodziskach, odziedziczonej po stryju wiosce, błąkałem się formalnie przez pierwsze miesiące po łąkach, polach i lasach, starając się obznajomić z gospodarstwem, do którego nie czułem wcale zamiłowania. W niejedną niedzielę, wolny od zajęć bieżących, całemi godzinami wystawałem w oknach mego dworku, na wzgórzu położonego, naprzeciw którego bieliły się zabudowania fabryczne mojego sąsiada Pomeranza. Żyd ten, z zawodu lichwiarz, nabywszy na licytacyi niemal za bezcen wioskę jednego ze swych dłużników, przy pomocy małego kapitaliku wybudował wapiennik odwiecznej konstrukcyi i robił świetne interesy, wyzyskując lud okoliczny. Widok tej fabryki wyciskał na mej twarzy rumieńce wstydu, że nie ktoś z naszych wziął się do tej pracy, ale człowiek, który, mniejsza że żyd, ale co w skutkach ważniejsze, nie miał w sobie za grosz obywatelskiego poczucia. Dnia pewnego przyszedł on do mnie, ofia-

rowując mi znaczną sumę za kilkadziesiąt morgów najgorszej gleby przytykającej do jego pokładów.

— Nu, taka cena, jak ja daję — mówił do mnie mróżąc drobne ślepie — to jak wygrana na loteryi. Pan będziesz pojechać sobie za granice i popatrzeć trochę na świat.

— A toż widzę ten świat — odparłem — przez okna mojego dworku.

— Co po takiem widzeniu — zawołał Pomeranz — tu nic tylko błoto po pas i obdarte chłopy.

Zaśmiał się śmiechem sztucznym, zapuszczając we mnie wzrok bazyliszka. W tej chwili przyszła mi nagle myśl do głowy, że i w moich gruntach muszą być pokłady wapienne. Powstałem szybko i odezwałem się do Pomeranza:

— Masz pan słuszność, trzeba się rozerwać, pojadę!

Żyd już ręce zacierał.

— Nu tak, coby taki uczony pan miał siedzieć w taki zakazany kąt.

— Ale gruntów nie sprzedam — dodałem szybko.

Zatrząsł się z przerażenia, ale nie chciał dać poznać po sobie jak go to obeszło.

— Co pan zrobi z takie nieużytki? — zapytał drżącym głosem.

— Teraz wypędzamy tam bydło, a jak się rozpatrzę...

— Nu to co?

— Będę wiedział na co się te grunta przydać mogą.

— Jak pan chce — dodał odchodząc ociężałym krokiem — ale jak pieniędzy braknie, niech pan wspomina na starego Pomeranza. Wszystkie szlachcice dookoła mnie znają, a wszystkie młode panowie to są moje przyjaciele.

— Czy i ten, którego pan zlicytował?

— Nu co zlicytował, on sobie z takie nieużytki nie umiał dawać rade, a teraz on ma spokojne głowe i taki wesoły, jakby los wielki wygrał.

Przez dnie następne badałem moje grunta i przekonałem się, że mam bogatsze pokłady wapna, jak Pomeranz. Wyjechałem następnie, aby zwiedzić znaczniejsze wapienniki w kraju i na Szląsku, a powróciwszy po kilku miesiącach, wybudowałem ku przerażeniu Pomeranza własny wapiennik, przyczem zastosowałem system ogrzewania pieców własnego wynalazku. Zapraszam cię więc na pojutrze. Zobaczysz jakiego dokonałem dzieła.

— Będziesz miał zapewne licznych gości — odezwałem się.

— Miejscowe duchowieństwo, cały świat dziennikarski i kilku wybitniejszych mężów popierających przemysł krajowy.

— Bardzom ciekaw poznać tych panów z bliska, chociaż wyznaję, że przedewszystkiem radbym się nacieszyć rezultatem twej pracy.

— Przyjedziesz więc z pewnością? — nalegał Antoś.

— Przyjadę!

Uścisnął moją dłoń, a staliśmy właśnie przed sklepem Skowrona przy placu Maryackim, gdzie Antoś spieszył zamówić rozmaite specyały na pojutrzejszą fetę.

— Przyznam ci się — mówił do mnie, stojąc już przed ladą — że u mnie w domu spiżarnia pusta. Gosposi dobrej brak ogromny.

— Ale będzie wkrótce, nieprawdaż?

— Jak Pan Bóg pozwoli.

— A kiedy już tak spiewasz, to zapraszaj odrazu na wesele.

— Projekta jakieś mam, ale do wesela daleko. Pomówimy jeszcze o tem. Tymczasem trzeba samemu o wszystkiem myśleć.

— Zapewne, kaszą i razowym chlebem niepodobna raczyć dygnitarzy.

Jeszczem tych słów nie domówił, kiedy jakiś otyły jegomość wstał szybko od jednego z bocznych stolików i zwrócił się w stronę Antosia:

— Jak Boga mego! a doprawdy Antoś, dajże pyska!

Antoś z pewnem zakłopotaniem witał czułego jegomościa, w którym poznałem zaraz znanego mi tylko z widzenia redaktora radykalnego dwutygodnika p. t. „Czyste ręce“, mieniącego się organem nieskalanej cnoty obywatelskiej.

Ledwie wypuścił Antosia ze swych olbrzymich ramion, zwrócił się do mnie.

— A to ty! jak się masz! — rzucił mi jakby dobremu znajomemu.

— Czekajcie — dodał — zrobię wam miejsce, siądziemy razem.

Odszedł, a właściwie odtoczył się od nas, by pożegnać swego dotychczasowego towarzysza, jakiegoś młodzieńca w wytartej kurtce, który niezbyt chętnie opuszczał stół zastawiony przysmakami.

— Znasz go? — spytałem spiesznie Antosia.

— Nie, a ty?

— Zaledwie z widzenia.

— Któżto taki?

— Redaktor Rzępała.

— Do milion piorunów, ależ to napaść, ja nie mam czasu.

Nie mogłem odpowiedzieć, bo Rzępała stał już przy nas, biorąc bez ceremonii obu pod ramiona.

— Chodźcie, moi drodzy, pogadamy. Antoś chciał mu się oprzeć.

— Ależ... zaczął.

— Cicho — zawołał Rzępała z tajemniczą miną — ten młodzieniec, którego przed chwilą pożegnałem, przyniósł mi nowinę, no! mam teraz w garści pół Lwowa! Powiem wam, ale sub rosa!

— Może innym razem, szanowny panie — odezwał się Antoś — za chwilę odjeżdżam...

— A cóż? myślisz, że nie wiem skąd i dokąd. Poświęcenie wapiennika dopiero pojutrze, a ja tam wpadnę, jak Boga mego, bo każdy przemysłowiec to jakby mój syn rodzony.

Staliśmy już przy stoliku.

— Panie Skowron — huknął Rzępała stentorowym głosem — daj nam pan Jarzębiaka z Izdebnika, ale moją butelkę, znaczoną, rozumiesz pan?

— Czy jaki odmienny gatunek? — rzuciłem pytanie.

— Podług mego przepisu, a coza pyszności! zobaczysz, wiecznie będziesz wspominać. Ho, ho, stary Rzępała z niejednego pieca chleb jadał i wie niejedno.

Tymczasem przyniesiono kieliszki, a właściwie kielichy, które radzi nieradzi musieliśmy wypić duszkiem.

— A teraz młodzieńcze — zawołał Rzępała do Antosia — załatw twoje sprawunki, abyś nie spóźnił pociągu. Sam cię odwiozę na peron.

Antoś skwapliwie zwrócił się do lady, nie zwracając uwagi na zbyt poufały ton tej przemowy, a Rzępała pakując w olbrzymią gębę widelec, na którym było niemal ćwierć funta szynki, dał mi znak drugą ręką, abym szedł za jego przykładem. Udawałem, że

jem, chociaż nie miałem wcale apetytu. Zato Rzępała pracował zawzięcie, nic nie mówiąc, i dopiero po jakim kwadransie, w ciągu którego zdołałem całą gazetę przeczytać, gdy już pochłonął cały talerz szynki, pudełko sardynek, masę kawioru i dwie butelki porteru, zagadnął mnie wreszcie:

— Cygara masz?

— Palę tylko papierosy.

— Toś fuszer!

Chłopak sklepowy na dany znak niósł już cygara. Rzępała dziesięć sztuk co najlepszych schował do kieszeni, a włożywszy jedno do ust, zwrócił się znów do mnie:

— Nie masz bracie ognia?

Acz z pewną niechęcią, przyniosłem mu zapałki. Nie podziękował nawet, ale zapaliwszy cygaro i rozparłszy się na krześle, wypuścił z ust wprost niemal na mnie olbrzymią falę niebieskiego dymu i wskazując okiem na Antosia, rzekł z tajemniczą miną:

— Poczciwe chłopisko!

— Panowie znacie się oddawna? — pytałem z wielką ciekawością.

— Albo to raz patrzyłem, jak go w skórę trzepali.

Szczególniejsza legitymacya znajomości pomyślałem, ale Rzępała ciągnął dalej.

— Znam to od małego berbecia, jeszcze mu koszulina z tyłu wisiała. Nigdy nie przypuszczałem, że z mazgaja wyrośnie na człowieka.

Tłumaczył się zręcznie więc atakowałem dalej:

— Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział Antosia mazgajem, zawsze miał wiele energii i samodzielności.

— Ojcu to zawdzięcza!

— Odumarł go w młodym wieku — zauważyłem —

cieszący się już w duchu, że skonfunduję Rzępałę, ale tenże z największym odparł spokojem.

— Wiem, ale krew zawsze swoje zrobi, jakim był ojciec, dziad, pradziad, takim jest i syn.

Chciałem replikować, ale Antoś rozpłacał się właśnie i zbliżył się do stołu z panem Skowronem, aby obliczyć koszta przekąski.

— Ja wszystko sam płacę — huknął Rzępała.

— Ależ panie dobrodzieju — prosił Antoś — niechże pan mi sprawi tę przyjemność...

— Jak chcesz, to płać, ale drugim razem, pamiętaj, będziesz moim gościem, a i ty także — dodał zwracając się do mnie. Przyprowadzę was tu w jaki piątek na śledzia i sam go przyprawię. Palce będziecie oblizywać.

Dorożki zajechały. Mieliśmy już wsiadać, gdy Rzępała odezwał się:

— Antiquo more, należy się wam wstrzemienne, a nie czekając na naszą decyzyę, huknął na służbę: Benedyktynka!

— Zapomniałem o tym trunku — ozwał się nieśmiało Antoś — możeby wziąć na pojutrze butelkę.

— Co? butelkę? — zawołał Rzępała — a toćby cię wszyscy wyśmiali. I znów, nie pytając Antosia, zwrócił się do Skowrona: zapakujcie dziesięć butelek.

— Pocóż aż tyle? — pytał Antoś.

— Poco? — odparł Rzępała — trącając się z nami kieliszkiem, znajdzie się tam u ciebie nie jeden, co sam da radę butelce.

— Ależ ja nie chcę urządzać pijatyki.

— A cóż myślisz, że twoich gości zajmie twoja fabryka?

— Zaprosiłem protektorów przemysłu krajowego, dziennikarzy, ludzi starszych.

Rzępała machnął ręką.

— Poco cię mam pozbawiać iluzyi — rzekł — siadajcie lepiej do dorożki i jazda do hotelu po rzeczy. Spotkamy się na dworcu, Rzępała nie skrewi, ale pamiętajcie smyki, abym długo nie czekał.

— Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu — zawołał Antoś.

— No, no, zobaczymy! — odparł Rzępała wsiadając do drugiej dorożki.

— Szczególny człowiek — odezwał się Antoś — gdyśmy podjeżdżali do hotelu.

— Dotąd wiem tylko tyle, że je za dwóch, pije za trzech, a gada za dziesięciu.

— Z tem wszystkiem wie niejedno.

— Zapewne, ale kto odnajdzie prawdę w jego gadaninie.

— Przysłuchać się jednak nie zawadzi.

— Chyba dla tego, że zna prawie wszystkich.

— Spieszmy się tedy.

Jakoż w kilku minutach załatwił Antoś rachunek hotelowy, wsiedliśmy napowrót do dorożki, a wśród wesołej gawędy na temat lat minionych, czas przeszedł nam tak prędko, że nim spostrzegliśmy się, dorożka zatrzymała się przed portalem dworca.

Antoś uporał się prędko z zakupnem biletu i nadaniem pakunków tak, że jeszcze przed pierwszym dzwonkiem weszliśmy do sali restauracyjnej drugiej klasy.

Przy jednym ze stolików czekał już tu na nas Rzępała w towarzystwie jakiegoś staruszka w skromną odzianego czamarkę.

Ledwie nas spostrzegł Rzępała, podniósł się z miejsca i postąpił ku nam.

— Chodźcież nudziarze! Zapoznam was z pułkownikiem Plagowskim.

Staruszek sprawił na nas bardzo miłe wrażenie. Mówił niewiele, ale w tem co mówił tyle było serdecznego zainteresowania się z świeżo poznanymi ziomkami, tyle w słowach szczerości i prostoduszności, że mimowoli za serca ujmował.

Po kilku chwilach ogólniejszej rozmowy zwrócił się Rzępała do Antosia.

— Dużo naspraszałeś darmozjadów?

— Kilkadziesiąt osób, ale zaręczam, że samych porządnych ludzi.

— Pułkowniku słyszysz? — zawołał Rzępała do Plagowskiego — ten młodzian ręczy naraz za kilkadziesiąt osób różnych partyj i odcieni.

Plagowski nic nie odpowiadając, uśmiechał się dobrotliwie.

Rzępała ciągnął dalej, mierząc Antosia przejmującem spojrzeniem:

— Porządnym jest w oczach dzisiejszego pokolenia każdy co ma pieniądze. Porządnym jest Gruda, ekskrawiec, co schował pieniądze dane mu na umundurowanie powstańców i dziś ma dwie trzypiątrowe kamienice, porządnym jest Grotter, co łupił szlachtę w 1846 roku, a dla swego pokrycia fałszywie ją denuncyował, porządnym jest Marguscheș, co na lichwie dorobił się kroci, a jest nim także Haczykiewicz, co poluje za karyerą, a ludzi tumani, że chce reformować demokracyę polską. Czy nie tak pułkowniku?

Staruszek słuchając, odłożył na bok małą fajeczkę, a gdy Rzępała skończył, westchnął tylko głęboko.

— Ty pewnie zaprosiłeś Haczykiewicza? — pytał redaktor.

— Musiałem — bronił się Antoś — wszak to wybitny członek komisyi przemysłowej.

— Przytem referent dla spraw rolnictwa krajo-

wego i teatru — dodał Rzępała złośliwie twarz przekrzywiając — mimoto mogę cię zapewnić, że na wsi prawie nigdy w życiu nie był, do teatru nie uczęszczał, a na przemyśle tak się zna jak kura na pieprzu.

— Jednakże... ośmieliłem się wtrącić.

— Ma gębę i coś tam połapał z gazet, a między ślepymi, jednooki królem, czy nie tak pułkowniku.

Plagowski dał znak potakujący.

— Pysznickiego oczywiście także prosiłeś?

— Jakżebym mógł pominąć redaktora tak poczytnej gazety jak jego „Przyszłość".

— Oj dobrze powiedziałeś „jego" Przyszłość, bo jemu istotnie o nic więcej nie chodzi. Był ultraradykałem, teraz jest ultrakonserwatystą, gdyby wybuchła nie daj Boże rewolucya, podburzałby równie dobrze z trybuny. Ale bądź spokojny, ty zaprosiłeś Pysznickiego, a ja przywiozę „Pysznicką".

— Ależ szanowny panie, na zebraniu nie będzie kobiet.

— No, no — mówił Rzępała śmiejąc się — przecież takiego gościa nie wyrzucisz za drzwi.

To mówiąc, podniósł w górę sękaty kij bukowy, na którym się zawsze wspierał.

— Nie wyprawiajże tylko awantur — ozwał się Plagowski.

— Pułkowniku, nie potrzebujecie upominać starego żołnierza, jak się wybierzecie ze mną, poddam się subordynacyi, choćby ręka nie wiem jak świerzbiała.

— Ależ serdecznie proszę pana pułkownika — ozwał się Antoś.

Staruszek na znak przyzwolenia podaną rękę uścisnął.

— Czem chata bogata tem rada — mówił Rzę-

pała — z kieszenią przyjadę pustą, bo mój dzienniczek, „Czyste ręce“, ledwie dysze, ale przywiozę ci za to paru zacnych weteranów, poczciwego ojca Plagowskiego i sędziwego Darowskiego, no zgoda?

— Całem sercem.

— Będziesz przynajmniej wiedział, że masz u siebie przynajmniej dwóch ludzi porządnych.

— Redaktorze! — protestował Plagowski.

— Cóż chcecie ojcze — replikował Rzępała — słyszeliście przecież kogo prosił, a wiem i o innych nielepszych.

— Skądże redaktor tak wie dokładnie?

— Bo znam ten świat nie od dziś i jak chcesz wyrecytuję ci dalszy zastęp twych porządnych.

I nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej.

— Mühling przez „üh“, reporter od wyciągania wszystkich brudów, aby do reszty zochydzać co polskie w bezmyślnych kuryerach warszawskich i naszych, Turski ekssuplent, co dziś trzęsie finansami kraju, wygryzłszy intrygą poczciwego Wrotnowskiego, Sapiński alfa i omega na polu pedagogicznem, nadęty jak paw, a ociężały jak żółw, Krzykacki, redaktor codziennej „Pukawki“, który zamiast argumentami, grubiaństwami wszystkiego chce dowieść, Kargel, co „oporządził“ zakład dla sierót w Drohowyżu, przyjaciel Haczykiewicza i intimus tego ostatniego, Figielski, co przy tak potężnej protekcyi z pospolitego defraudanta wyrósł na dyrektora spółki wytwórczej producentów powiatu tuczapskiego. Takich będziesz miał gości. Czy mam jeszcze dalej wyliczać?

— W jakże czarnych barwach przedstawia ich redaktor.

— Pociesz się jednak, będziesz miał także nieco lepszych: kilku hrabiów, co opłacają takich Pyszni-

ckich, aby ich okłamywali, że się w kraju dobrze dzieje, kilkunastu poczciwych szlagonów, którzy nie umieją rozpoznać się w sytuacyi i lecą bezmyślnie w przepaść, a wreszcie kapłanów, którym pomimo autonomii zakneblowano usta.

— Ci robią, co mogą — wtrącił pułkownik.

— Oddaję im tę sprawiedliwość i bronię nawet szlagonów naszych, a nawet, nawet nie zupełnie potępiam panów hrabiów, ale jednak nie mogę powiedzieć, że się w kraju dobrze dzieje.

— Miejmy jednak w Bogu nadzieję, że będzie lepiej — odezwał się Antoś.

— W młodych przyszłość — dodał Plagowski — byleście nie potępiali przeszłości, a budowali bez wytchnienia...

— Z ciosowych kamieni — dorzucił Rzępała — nie patrząc na dzisiejszych politycznych lekkiewiczów i szalbierzy partyjnych...

Ozwał się drugi dzwonek. Nastąpiły pożegnania, a za kilka minut ruszył z miejsca pociąg, uwożąc Antosia do fabryki.

Odwieźliśmy z Rzępałą Plagowskiego do pałacyku Młockich, gdzie jako rezydent skromne zajmował mieszkanie, poczem rozstałem się z moim krzykliwym towarzyszem, który mi na odchodnem rzekł:

— Mam opinię rewolwera, ale niech cię to nie przeraża, nie obdzieram nikogo, a niejednego wsparłem. Zastanów się tylko nad tem, czybym poruszył sumienia, gdybym pisał w rękawiczkach. Wyplułby każdy letnią wodę i po krzyku, a tak niech piorunują na mnie, ale niech się liczą z własnymi postępkami, dopóki nie będą mogli powiedzieć, że mają czyste zamiary i czyste ręce.

W ponurem zamyśleniu wyruszyłem do domu.

Przechodząc koło kawiarni miejskiej, zobaczyłem na werandzie mimo późnej godziny Haczykiewicza, Kargiela i Figielskiego w licznem kole znajomych. Namiętne głosy donośnie brzmiały wśród głuchej ciszy nocnej, a słowa „stańczyki“, „zdrajcy“, „karyerowicze“ biły w me uszy jak złowróżbny głos puszczyka. Przechodziłem dalej koło resursy miejskiej. Przez pootwierane okna widać było stoliki do kart, a przy nich całe zastępy graczy. Przytłumione okrzyki „dwie lewy“, „as ker“, „trzymam“, „moja wygrana“, płynące z ust panów demokratów zdawały się wtórować tym echom, które dochodziły mnie jeszcze od kawiarni miejskiej. O kilkadziesiąt kroków wreszcie jaśniały okna resursy magnackiej. Szeregi dorożek i powozów stały obok chodnika, a złośliwa twarz księżyca odbijała się w mosiężnej gałce szwajcara, który rozprawiał na progu z woźnicami.

— Dużo dziś panów? — zapytałem.

— Pełniusienko — odparł — ale przyjedzie jeszcze więcej, bo to sejm teraz, proszę łaski pana.

— Czy jakie posiedzenie?

— Gdzieby zaś — proszę pana — ot karty i nic tylko karty, a człowiek stać musi aż do rana bez całą noc.

Wstrząsnąłem się mimowoli.

Stary Rzępała miał jedak wiele racyi.

* *
*

W mojem własnem przekonaniu byłem od owego czasu bardzo skromnym człowiekiem, któremu ani urzędowe stanowisko, ani dochody nie pozwoliły zajmować się tak kapryśną i wymagającą damą, jaką jest aż dotąd polityka galicyjska. Płaciłem punktualnie składki do kilku towarzystw, których pożyteczność uznawałem, od czasu do czasu drukowałem bez-

imiennie jakiś mój artykuł w poczytniejszym dzienniku krajowym, przy wyborach wreszcie nie naradzając się z nikim, wedle mego sumienia składałem mój głos do urny i na tem kończyły się wszystkie moje polityczne przedsięwzięcia. Prawda jednak i to, że od czasu do czasu wychyliłem kieliszek „gorżkiej“ z jakimś redaktorem, a w okresie wyborów bombę piwa w handelku, przysłuchując się w milczeniu namiętnym sporom i odgrażaniom.

Zajechawszy atoli na skromnym wózku chłopskim przed bramę tryumfalną nowej fabryki Antosia i przedstawiwszy się jego gościom w charakterze osobistego przyjaciela gospodarza, przekonałem się ku memu wielkiemu zdziwieniu, że wśród skromnych festonów u stóp olbrzymiego wapiennika, poważnie zielenią przystrojonego, urosłem nagle na jakąś półoficyalną osobistość tem ważniejszą, że reprezentanci wszystkich niemal partyj w mojej dotychczasowej neutralnej pozycyi upatrywali wystarczające warunki do przyjmowania ich poufnych zwierzeń i złośliwych o przeciwnikach uwag. Antoś zbyt bystry, aby tego nie dostrzec, ucieszył się jednak z tego najwidoczniej, gdyż szepnął mi do ucha z naciskiem:

— Staraj się rozerwać moich gości, będę ci wdzięczny.

Sam zdjąwszy kapelusz, podbiegł do księdza kanonika, który dokonawszy aktu poświęcenia, gotował się właśnie do przemowy.

Stałem obok redaktora Krzykackiego, który w ordynarnej mowie tłómaczył najbliższym, że łożenie tak znacznych kosztów na nowy wapiennik, gdy tuż obok stoi drugi, wcale jeszcze dobry, jest marnotrawstwem grosza publicznego i wytworem niezdrowej konkurencyi.

Starałem się go przekonać, że tak nie jest, że

tu idzie o przeciwstawienie przemysłowi wyzyskującemu przemysłu zdrowego, opartego na uczciwości wobec robotników i publiczności, na zastosowaniu zresztą nowych doświadczeń i wynalazków, ale mnie zbił z tropu, mówiąc ku uciesze swych satelitów.

— Czuj duch! Pomeranz niegorszy od twego kamrata, a konkurencya jest konkurencyą.

Byłem oburzony tą uwagą redaktora „Pukawki“ i gotowałem się do zawziętej repliki, gdy go Mühling pociągnął za rękaw.

— Chodźcie ojcze na papierosa, bo klecha zaczyna bredzić.

Kilku obywateli gniewnym okiem spojrzało na Mühlinga, który jednak śmiał się sam ze swego dowcipu, prowadząc poza bramkę Krzykackiego, wysuwającego się leniwym krokiem w asystencyi kilku znajomych.

Pysznicki, który stał opodal i widocznie wszystko słyszał, mruknął półgębkiem:

— Oczajdusza!

W tej chwili, od małej improwizowanej ambonki, ozwał się potężny głos: „silentium“, wszyscy się skupili i wśród głębokiej ciszy rozpoczął kanonik przemowę, podnosząc doniosłość inicyatywy i akcyi obywatelskiej w sprawach przemysłu krajowego i przemawiając od serca do licznie zgromadzonych robotników, aby w nowej pracy, jaka im się nastręcza, upatrywali dowód łaski Bożej, dostarczającej im nowych, uczciwych środków do obrony przed nędzą. Przestrzegł także zacny kanonik robotników, aby nie słuchali złych doradców, którzy starają się zasiać niezgodę między dworem a gminą, gdyż wybudowana fabryka świadczy najlepiej, że obywatelstwo robi co może, aby się przyczynić szczerze do pomyślności kraju.

— Brawo! — zawołał hr. Bombalski a z nim kilku obywateli.

— Kadzidło smakuje stańczykeryi — bąknął Kargel.

— Zawracają chłopom głowy i basta! — potwierdził Haczykiewicz.

— Panowie cisza — kanonik mówi — zawołał Pysznicki.

— Tu nie idzie o pańską „Przyszłość“, ale o lud — odparł Haczykiewicz.

— Słuchajcie! — ozwały się liczne głosy.

Jakoż znów nastała cisza i kanonik mógł kończyć oracyę:

— Mając w pamięci — mówił — wzniosłą Chrystusową zasadę, abyśmy się społecznie miłowali, z radością widzę, że obok założyciela tej fabryki, jego najbliższych współpracowników i zastępców pobożnego ludu polskiego, który w tej fabryce ma znaleść zarobek uczciwy i obywatelską na czas niedoli opiekę, zgromadzili się także bardzo liczni reprezentanci obywatelstwa i mieszczaństwa, światli urzędnicy i ludzie pióra, dygnitarze autonomiczni i wytrwali bojownicy o swobody autonomiczne i pomyślność ekonomiczną tej części naszej nieszczęśliwej ojczyzny. Jeśli ludzie różnych zasad i przekonań zbierają się do łącznej pracy dla dobra kraju, a pod hasłem Opatrzności Boskiej, to z nieba spływają na nich promienie Boskiego zmiłowania i Boskiego błogosławieństwa, którego wam wszystkim z sercą życzę.

Z jednej strony głośne oklaski, z drugiej strony niecierpliwe pomrukiwania towarzyszyły tym słowom.

Gdy obywatele cisnęli się, aby uścisnąć dłoń księdza kanonika, Kargel odezwał się:

— Ja do Kanossy nie pójdę.

Mühling, który się znów z Krzykackim zbliżył, dodał głośno:

— Nie ma sojuszu ze stańczykami.

Krzykacki poparł ten okrzyk słowami:

— Zawsze kończy się na tem, abyśmy szli potulnie w niewolę klechów i panów.

— Polska demokracya nie potrzebuje niczyjego protektoratu — zauważył Haczykiewicz.

— Ależ wspólna praca nie jest protektoratem — zauważył Antoś, który zbliżył się do tej grupy z hr. Bombalskim i z innymi.

— Pracą niczyją nie gardzimy — odparł na to Turski.

— Turski grawituje do stańczyków — rzucił Krzykackiemu w ucho Mühling.

— Masz racyę psianogo — odparł tenże półgębkiem — dusze lokajskie zawsze do siebie trafią.

— Panowie — rzekł głośno hr. Bombalski — nie obłudnie, ale szczerze pragniemy takiej wspólnej pracy, o jakiej mówił właśnie ksiądz kanonik.

— A my dążymy do postępu, zwalczając wszelki zastój — odpowiedział Krzykacki.

— O jakiż zastój chodzi? — pytał Bombalski.

— Każdy winien pracować dla siebie i za siebie — odparł Krzykacki.

— Czyż przeszkadzamy takiej pracy?

— Trzymacie lud w powijakach, a on pragnie samodzielności — zawołał Haczykiewicz.

— Mogę panów zapewnić, że cieszymy się każdym nowym objawem życia wśród naszego ludu, byle rzetelnym.

— Czyli innemi słowy: byle tylko pod waszą kontrolą, a my jej nie przyjmujemy — rzekł Krzykacki.

— Źle mnie pan zrozumiałeś, my sprzeciwiamy

się jedynie podburzaniu ludu — mówił Bombalski z naciskiem.

— Tak, zapewne, nie należy podsycać namiętności — wtrącił Turski.

— Należy tylko zdrowe pierwiastki zaszczepiać w serca ludu — przemówił z powagą Sapiński.

— Karyerowicze — syknął Mühling.

— Z tem wszystkiem lud ma prawo do samodzielności — odezwał się Haczykiewicz.

— Wielka racya, panie radco — z ogniem zawołał Antoś — ale jeśli pragniemy dobra kraju, nie można lekceważyć i innych pracy społecznej czynników. Wszakże brzmi nam w uszach pobudka wieszcza: Razem! w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!

Niemal ogólny ozwał się aplaus, który byłby zakończył dyskusyę, gdyby Krzykacki nie zareplikował:

— Nie potrzebujemy żadnych protektorów i żadnej łaski od panów. Kraj ma po uszy wszelkiego wstawiennictwa i wszelkiej stańczykeryi.

Mimo całej nieprzyzwoitości tej przemowy zauważyłem z całym spokojem:

— Cóż więc ma robić obywatelstwo, które pracuje uczciwie i uznaje potrzeby wspólnej pracy, bez której niczego dokonać nie podobna.

— Niech pilnuje swego, lud da sobie sam radę.

— A czegoż w takim razie wy panowie chcecie od ludu? Wszakże my bliżej tego ludu jesteśmy i lepiej pojmujemy jego potrzeby.

— Co my chcemy, to nasza rzecz — rzekł Krzykacki.

— Demokracya, panowie, musi sama stanowić o swoim losie — zawołał Mühling.

Dalsza dyskusya stawała się wręcz niemożliwą, gdy na szczęście ozwały się silne trzaskania z batów,

jakby wystrzały i przed bramkę tryumfalną zajechały trzy chłopskie wózki, które o tyle miały świąteczny wygląd, że powozili dorodni młodzieńcy w krakowskich strojach, a konie również krakowskie miały chomąta.

Adwersarze mimowoli zamilkli i rozstąpilli się nieco, aby zrobić miejsce nowo przybyłym. Lud zaś, pod fabryką zgromadzony, na widok krakusek wykrzyknął: „witajcie!“

Z wózków wytoczył się Rzępała w okazałym polskim stroju, a z nim pułkownik Plagowski ze wstążeczką orderu virtuti militari na piersiach, poważny wiekiem i wzrostem Darowski i kilku innych. Antoś postąpił na powitanie.

Rzępała ucieszony wrażeniem, jakie zapewne umyślnie wywołał, dumnie podniósł głowę do góry i wsparty na karabeli, a spokojny o posłuch, gdy stał w otoczeniu tak zacnych weteranów, zawołał stentorowym swym głosem:

— Zacny gospodarzu, wielebne duchowieństwo, szanowni panowie obywatele i kochani bracia! Osiwiali w bojach żołnierze polscy, którzy krew przelewali za ojczyznę, pragną uczestniczyć w dzisiejszej uroczystości, aby uczcić zacność usiłowań naszego obywatelstwa, które się garnie do wspólnej pracy z ludem i mieszczaństwem polskiem. Spodziewam się, że nas chętnem sercem przyjmiecie w wasze grono i zawołacie, jak wołali nasi ojcowie w pamiętnym dniu trzeciego maja: wiwat wszystkie stany.

Ten i ów z zebrania pomrukiwał, ale robotnicy huknęli tak donośnie: wiwat, że tym okrzykiem wszelka opozycya stłumioną została.

Gdy cisza zaległa, przemawiał sędziwy Darowski, a słowa życzeń dla gospodarza, płynące z ust jego, z bezwzględnym przyjęto aplausem.

Następnie Antoś zaprosił swych gości na przekąskę, a to zaproszenie partya Krzykackiego przyjęła niemal z zapałem.

Wszyscy spieszyli do dużej sali z drzewa umyślnie wystawionej, a przystrojonej zielenią i chorągwiami o barwach narodowych.

Honorowe miejsce zajął kanonik, obok niego pułkownik Plagowski, Darowski, hr. Bombalski, Sapiński, koło niego ulokował się Pysznicki, dalej kilku obywateli, Haczykiewicz i jego satelici, na drugim końcu Krzykacki ze swoimi, a na uboczu, koło gospodarza, Rzępała. Rad był wprawdzie usiąść wyżej, ale że go nie bardzo proszono, kontentował się szarym końcem, z niemniejszą fantazyą zajmując pozostawione sobie miejsce.

Zasiadłem obok. Zaraz też zwrócił się do mnie.

— A co smyku? he?

Uśmiechnąłem się, nic nie mówiąc.

— Zobaczysz — dodał — jak ja ich jeszcze w kozi róg zapędzę. Patrz na Pysznickiego jak pobladł ze strachu, a Haczykiewicz! O znam ja ich znam, chce to błyszczeć i jaśnieć, ale drży, aby tem silnie nie wstrząsnąć, bo by obleciała pozłótka i blaga, a zostałaby nicość.

Przytakiwałem, nie mogąc obszerniejszej podjąć dysputy.

Na prośbę Antosia musiałem mu bowiem dopomagać w obsługiwaniu gości. Stół, przy którym zasiedliśmy, znajdował się w samym środku improwizowanej sali, a po obu bokach pod ścianami zastawione były jeszcze dłuższe stoły dla tych wszystkich robotników, którzy przy fabryce od pierwszej chwili znaleźli zatrudnienie. Antoś pełnił więc patryarchalnym obyczajem rolę gospodarza przy tych dwóch drugich

stołach, pozostawiając na mej opiece stół dygnitarski. Musiałem więc być kolejno przy wszystkich i choć przez chwil kilka z każdą grupą kilka słów wymienić, słuchając sprzecznych uwag, co do których w roli wicegospodarza nie mogłem się oświadczyć. Natomiast serdecznie dolewałem trunku, aby uspić namiętności, które nie umilkły jednak ani na chwilę.

Jedynie ksiądz kanonik z Darowskim i najbliższymi sąsiadami rozmawiał o sprawach przemysłowych i o nowej fabryce. Wszystkie inne grupy nawet obecnością włościan i robotników nie dały się powstrzymać od politycznych sporów i złośliwych ucinków.

— Czuj duch! co tam masz w garści — mówił do mnie Krzykacki.

— Piwo, redaktorze.

— Ano, to dalej, wino to dla Pysznickich, popatrz jak żłopie, mało się nie zachłyśnie.

Spojrzałem na Pysznickiego, zaledwie dotknął ustami kieliszka.

— Pasie się na pańskim chlebie, jemu to nie pierwszyzna — wtrącił któryś z młodszych satelitów tej grupy.

— Zerżniemy go jutro w „Pukawce" za artykuł o wyborach.

— Albo co się stało? — wtrąciłem.

— Nie wiesz pan, że nasz Krzykacki kandyduje do rady miejskiej?

— Pierwszy raz słyszę.

— Więc największe akty publicznego życia dla was są niczem!

— Przepraszam, nie ominąłem jeszcze żadnych wyborów.

— A więc podaj rękę obywatelu — rzekł uroczyście Krzykacki — jesteś urzędnikiem, ale nie jesteś

służalcem — takich cenię. I mówiąc to, wycałował mnie na poczekaniu.

— A ten twój pan Antoni, jakże tam?

— Dzielny człowiek, pracuje, wszakże pan widzi.

— Tak, ale czy to nasz?

— On jest przy każdej dobrej sprawie.

— Wypadałoby, aby sypnął na wybory — zauauważył jakiś piskliwy głosik, on poprze nas, a my jego, ręka rękę myje.

— Nie gadajże świństw, przecież nie potrzebujemy ręki wyciągać.

— Ale każdy powinien się legitymować jakich jest zasad.

— Także gadaj — odparł Krzykacki — potrzebujemy ludzi niezłomnego charakteru.

— Niechże ojciec pogada z gospodarzem.

— Zrozumże zakuta pałko, że nie mogę, bo o mój wybór chodzi.

— To może pan pomówi ze swym przyjacielem, zwrócił się do mnie Mühling.

— Pan znasz lepiej sprawę, zauważyłem.

— Dobrze — odparł sentencyonalnie Mühling — przyłożę do niego moją miarę, mam przekonanie, że się nie okaże wstecznikiem.

— Gdy podszedłem do Haczykiewicza i jego grupy, wymyślał on właśnie na czem świat stoi na partyę Krzykackiego.

— Rozbijają — mówił — szeregi demokratyczne, poniewierają ludzi zasług wieloletnich, wszystko to kompromituje tylko obóz lewicy, który ponieść musi porażkę przy wyborach.

Gdy mnie spostrzegł, ujął mnie bez ceremonii za klapę tużurka.

— Mało się znamy — rzekł — ale uważam pana

za uczciwego człowieka, który służy całem sercem dobrej sprawie.

Skłoniłem się w milczeniu.

— Powiedzże mi szczerze z kim trzyma twój przyjaciel z nami (tu wskazał na swe otoczenie) czy z nimi (przy tych ostatnich słowach głowę zwrócił ku Krzykackiemu).

— Mój przyjaciel — odparłem — radby szczerze pracować na polu przemysłowem, aby mógł choć po jakimś czasie poszczycić się dodatnimi rezultatami.

— Takich nam potrzeba! — zawołał Haczykiewicz.

— W takim razie mój przyjaciel spełni oczekiwania pana radcy.

— Pragnę w nim jednak widzieć człowieka zdeklarowanych zasad, a niepokoi mnie w tem zebraniu Krzykacki, a jeszcze więcej Pysznicki.

— A Rzępała — ozwał się Kargel.

— O tym już nawet nie mówię — rzekł Haczykiewicz — choć z miny zauważyłem, że mu o niego najwięcej chodziło.

— Musi się to wszystko wyjaśnić i to dziś jeszcze, zakonkludował, a ja przyzwany przez Antosia, musiałem odejść na chwilę i nie mogłem dowiedzieć się na razie, co i w jaki sposób zamierza wyjaśnić pan radca.

Antoś wyspowiadał się przedemną, że ciepłe potrawy jeszcze nie gotowe i radby obecnie przedstawić swój wynalazek co do ogrzewania pieców tym gościom, którychby to interesowało.

Zakomunikowałem to donośnym głosem szanownemu zebraniu protektorów przemysłu krajowego, zaznaczając doniosłość wynalazku, który i przy innych fabrykach może być z łatwością zastosowany, pociągając za sobą wielką oszczędność materyału opałowego, co wobec ciągłego trzebiena lasów wielce

jest pożądanem. Atoli powstał tylko jeden hr. Bombalski.

Rzepała zaś odezwał się:

— Przyjdę ja tam do was, a tymczasem pójdę oglądnąć pokłady wapienne, bo to moja specyalność. Biorę ze sobą zacnego inżyniera Strugę, sekretarza towarzystwa politechnicznego, którego przywiozłem gospodarzowi ze Lwowa.

— Jeśli się panowie znają na pokładach, radbym się do nich przyłączyć — rzekł hr. Bombalski — zwracając się do mnie.

— Mówią, że redaktor Rzepała jest w tych rzeczach znawcą — odparłem, nie zwracając uwagi na konwulsyjne ruchy Pysznickiego, który mówił tymczasem do hrabiego:

— Niechże się hrabia nie kompromituje, Rzepała, to rewolwer.

— Umię ja się z bronią obchodzić — odpowiedział zagadnięty, a głośno dodał — idę z panami obejrzeć pokłady.

Rzepała w progu nań już czekał i z wielką galanteryą pierwszeństwo w opuszczeniu sali pozostawił.

Antoś stał już przy swych rysunkach w przyległej kancelaryi, aby ciekawym wyjaśnić swój wynalazek. Zawiódł się jednak nieboraczysko, bo do kancelaryi wszedłem sam jeden. Spadł na krzesło i chwilę nic nie mówił. Naraz głowę podniósł, bo znalazł się jeszcze jeden zwolennik wynalazków. Był nim redaktor Pysznicki.

Z zapałem ludzi pracy, przeświadczonych o doniosłości naukowych wyników, jął mu Antoś wyjaśniać rysunki, atoli Pysznicki przerwał mu prędko odzywając się:

— Ależ nie o to chodzi, szanowny panie.

Antosiowi ołówek z rąk wypadł.

— A o cóż panie redaktorze?

— Przyszedłem, aby pana ostrzec.

— Cóż takiego?

— Siedzę w pośród obywateli i słyszę co mówią. To bratanie się z Rzępałą i z Krzykackimi, karczemna dyskusya po kazaniu i cały Haczykiewicz ze swoją drużyną, mogą pana narazić na złe oko w obozie konserwatywnym.

— Nie mogłem przecież pomijać innych redakcyj.

— Bardzo słusznie, ale jednak wrażenie jak najgorsze.

— Cóż więc pan radzi.

— Radzę z całego serca zawrzeć natychmiast z nami sojusz.

— Nie rozumię.

— Oto akcya naszego dziennika — rzekł Pysznicki, dobywając z kieszeni zadrukowaną ćwiartkę papieru — za trzysta złotych reńskich możesz sobie pan kupić nietylko lojalne, szczere poparcie całej naszej partyi, ale głos na zebraniach stronnictwa. Czy pan rozumiesz ogromną tego doniosłość.

— Chcę pracować w obranym zawodzie, niech to panu wystarczy.

— Kogoś jednak trzeba mieć za sobą.

— Sądzę, że staną za mną wszyscy ludzie dobrej woli.

Pysznicki uśmiechnął się.

Antoś z pewnem zakłopotaniem dobył pulares i kładąc pięćdziesiąt złotych reńskich, rzekł:

— Oto dwuroczna prenumerata na pański dziennik. Nie żądajcie więcej od początkującego przemysłowca.

Pysznicki ledwo miał czas schować pieniądze, gdy w drzwiach zjawił się Haczykiewicz:

— Może przeszkadzam, rzekł.

— Właśnie wychodziłem — odezwał się Pysznicki nieco zmięszany.

— Chciałem właśnie pana ostrzedz — zawołał Haczykiewicz do Antosia po jego odejściu — abyś się byle z kim nie wdawał. Sztandar demokratyczny powiewać może tylko nad głowami ludzi czystych i nieposzlakowanych.

Antoś mimowoli wziął znów za pulares.

— Kto nas szuka musi się zdeklarować jasno i otwarcie. Nie znosimy żadnych konszachtów ze stańczykeryą.

— Odmówiłem właśnie nabycia udziału na dziennik konserwatywny.

— Szczerze winszuję, bo to dowód, że chcesz służyć tylko poczciwej sprawie.

— Całem sercem.

— Bardzo dobrze. Otóż rozważ pan, że lewica ma w rękach całą akcyę przemysłową, a gdy my zajmiemy się panem, nie zginiesz.

— Szczerze jestem obowiązany.

— Zaraz panie, odmówiłeś jednym, przyjmże dłoń, jaką drudzy podają. Oto udział na nasz dziennik demokratyczny.

To mówiąc, wydobył Haczykiewicz ćwiartkę zadrukowanego papieru.

— Szanowny panie radco — odezwał się Antoś — cenię poparcie pana i jego obozu, ale w dorobku będąc, proszę, abyś raczył przyjąć na razie pięćdziesiąt złotych reńskich jako dwuroczną prenumeratę na wasz dziennik.

— Co? — zawołał Haczykiewicz — pan nam śmiesz rzucać jałmużnę. Demokracya polska jest ubogą, ale ceni swą godność.

— Niechże mi będzie wolno dodać jeszcze na inseraty w waszem piśmie drugie pięćdziesiąt złotych reńskich...

Haczykiewicz zwrócił się do mnie.

— Co pan na to?

— Wierzę w najlepsze intencye mego przyjaciela.

— Sądzisz pan, że nie skompromituje naszego sztandaru.

— Mój sztandar, to praca zapobiegliwa w obranym zawodzie dla dobra całego kraju i wszystkich warstw narodu — zawołał rozdrażniony nieco Antoś..

— Lawirowania wprawdzie nie lubię — rzekł Haczykiewicz — ale że z czasem całkiem do nas się nawrócisz, podaję ci rękę, która popierała zawsze zacne przedsięwzięcia.

Nagle zbladł Haczykiewicz jak płótno, zobaczywszy wchodzącego Rzępałę.

— Pan radca plany już zbadał i duplikaty ściąga — brawo — zawołał tenże od progu.

— Sprawa, którą omawialiśmy, zbyt jest świętą — rzekł Haczykiewicz — abyś pan w nią miał wchodzić.

— To też nie jestem ciekaw, proszę schować gotóweczkę bez żenady.

Haczykiewicz udawał, że nie zważa na Rzępałę i schowawszy pieniądze, pożegnał Antosia.

— Pokłady masz śliczne — zawołał Rzępała — powiadam ci, istna mennica, to też jak widzę, rozdajesz zawczasu zadatki.

— Nie warto o tem mówić — odparł Antoś.

Rzępała brał już w rękę rysunki, gdy w drzwiach stanął Mühling.

— Jak Boga mego, nowa pompa! — huknął Rzępała.

Mühling chciał się cofnąć, ale go Antoś zatrzymał.

— Dla nas dwóch — odezwał się wówczas Rzępała, wskazując na Mühlinga — chyba tu za ciasno. Wolę wyjść.

— Dziękuję panu! — rzekł Mühling ze złośliwą uprzejmością.

— Nie dziękuj, aż się dowiesz za co — krzyknął rozdrażniony Rzępała — oto wiedz, że jeśli chcesz doić, to krowy stoją tam o dwieście kroków stąd.

To powiedziawszy wyszedł, zabierając ze sobą rysunki.

— Czemże mogę Panu służyć — pytał Mühlinga Antoś.

— Za uprzejmość i gościnność pana radbym mu oddać przysługę i przestrzec go... przemówił Mühling drżącym nieco głosem.

— Przed kimże?

— Przed tym (tu wskazał za odchodzącym) i przed Pysznickim.

— Tylko tyle?

— A w dodatku chciałem panu ofiarować poparcie Krzykackiego, jutro wybory, on kandyduje, pan powinieneś się znać na rzeczy.

Antoś wyjął pulares i kładąc na stół pięćdziesiąt złotych reńskich, rzekł:

— Oto dwuroczna prenumerata na wasz dziennik, więcej uczynić nie mogę.

To mówiąc, wyszedł szybko z kancelaryi.

— Już go widzę obałamucili stańczyki — zauważył Mühling.

— Nie sądzę — odparłem — mój przyjaciel ma swoje własne przekonania.

— W takim razie opętał go Rzępała.

— I co do tego przypuszczania pańskie są mylne.

— Koniec końcem — rzekł Mühling — to nie jest człowiek naszych zasad.

To mówiąc, schował pieniądze i, skinąwszy mi głową, wyszedł.

We drzwiach zetknął się z Rzępałą, który rysunek odnosił.

— No cóż, panie Mühling — rzekł doń tenże — podój się udał?

— To nie moja, ale pańska specyalność.

— Stul-no żydku gębę — odparł Rzępała — bo jak Boga mego, oćwiczę co się zowie.

Mühling już jednak nie słuchał, a po chwili i my obaj przeszliśmy do sali, gdzie kanonik wnosił właśnie zdrowie gospodarza.

Jak się przekonałem, w czasie tych wszystkich przepraw zakulisowych, goście nie próżnowali i spożyli już wszystkie dania, które teraz zakrapiano toastami.

Czy mam ich długą kolej wyliczać i opiewać wymowę Kargela, gdy pił zdrowie Łapińskiego i swadę tego ostatniego, gdy pił zdrowie Turskiego, czy mam podziwiać dalej świetną dyalektykę Turskiego, gdy podnosił zasługi Haczykiewicza.

Dość jeśli wspomnę o podniosłem wrażeniu słów tego ostatniego, gdy wyniki usiłowań swoich przypisał z całą skromnością niespożytym zasługom partyi demokratycznej. Na znak Figielskiego podniesiono do góry mowcę na ramionach, a on wznosząc ponad zgromadzonymi ręce swoje jakby do błogosławieństwa, rzekł rozrzewnionym głosem: dziękuję wam moi drodzy.

Jeszcze tak wisiał w powietrzu między niebem a ziemią, gdy Rzępała wylazł na krzesło i zawołał:

— Piję także zdrowie demokracyi (tu Haczykiewicz zrobił ruch odpychający oboma rękami), ale nie

pańskiej, panie oberkomisarzu, możesz być co do tego spokojnym, ja piję zdrowie tej demokracyi, która nie jest przywilejem żadnej partyi, ale żyje w serdecznem poczuciu całego narodu i wszystkich warstw jego, tej, którą reprezentują przezacni weterani Darowski i Plagowski, tej, co krew własną przelewała i nie lękała się twardej pracy, tej, co nikomu nie złorzeczy, ale wszystko miłuje, tej wreszcie, co pogardza waszą partyjną robotą, ale modli się za wami do Boga, abyście się nawrócili.

Nie podobna opisać zapału, jaki te słowa wywołały. Zapomniano kto je mówił, a oklaskiwano myśl, która mimowoli trafiała wszystkim do serca.

Tem większe oburzenie zapanowało w grupie Haczykiewicza. Ale czcigodny pułkownik Plagowski nie dopuścił do dalszej polemiki i zakończył szereg toastów wnosząc staropolskie: kochajmy się.

— Sporów dzisiejszych nie pojmuję, mówił. Gdy ojczyzna wzywa do pracy, to jakby do broni wzywała. Nie może utrzymywać, że ją kocha, kto się w takiej chwili spiera. Panowie, gdybyśmy się nie byli spierali lat temu pięćdziesiąt, gdyby była wówczas większa między nami karność, a między wodzami harmonia ściślejsza, tobyśmy dzisiaj... i głośne łkanie wydobyło się z piersi starca, a to łkanie przemówiło wszystkim więcej do przekonania, niż najwymowniejsze słowa...

Jakoż wnet zajeżdżać zaczęły furmanki, zabierając gości, którzy mieli najbliższym pociągiem odjeżdżać, a gdy po hucznem pożegnaniu, po nowych okrzykach, po odnawianem coraz strzemiennem, ostatnia odjechała bryczka, Antoś wydawszy służbie wieczorne dyspozycye, zaprowadził mnie wreszcie do swego dworku.

Tu dopiero padł na fotel jakby wielkim przytłoczony ciężarem i zawołał do mnie niemal z rozpaczą:

— O Boże! jakichże mamy wodzów! teraz zaczynam poznawać, dlaczego nasz przemysł z trudnością się dźwiga.

— Ale się dźwignie! zobaczysz! — odezwałem się, chcąc go pocieszyć.

— Co do mnie — rzekł — wytrwam na obranem raz stanowisku.

W milczeniu dłoń mu uścisnąłem.

II.

Pierwsze poparcie protektorów.

Następnego dnia, po uroczystem poświęceniu wapiennika w Grodziskach, wracając wieczorem z bióra do domu, zakupiłem po drodze po egzemplarzu wszystkich lwowskich pism codziennych, aby przeczytać opisy tego uroczystego aktu. Mimo wszystkiego, co się w czasie onej fety obiło o moje uszy, ani chwili nie wątpiłem, że relacye będą najprzychylniej brzmieć dla Antosia i jego przedsięwzięcia, gdyż wszystkie osobistości, jakie były w dniu owym w Grodziskach, występowały w charakterze protektorów krajowego przemysłu i byłem przekonany, że choćby z tego względu, widząc znaczny wkład kapitału w podjęte przedsięwzięcie, a przytem zdolności i pracę mego przyjaciela, wydadzą mu bez względu na jakiekolwiek partyjne zatargi chlubne świadectwo, zdolne obudzić interes budowniczych, przedsiębiorców budowli i fachowych inżynierów.

Ze spokojem też, jakiem mnie to przeświadczenie przejmowało, wypiłem szklankę herbaty, a zapaliwszy papierosa, wziąłem się do czytania nabytych dzienników.

Najpierw wpadł mi w rękę organ Krzykackiego „Pukawka“, który omawiał sprawę we wstępnym artykule p. t. „Zgubna konkurencya“.

Artykuł ten brzmiał dosłownie jak następuje:

„Ciągła przewaga wszelkiego rodzaju wstecznictwa w każdej dziedzinie narodowej pracy udaremnia wysiłki zdrowego postępu. Przemysł też krajowy, w którym tkwi zarodek siły żywotnej naszego społeczeństwa, dźwiga się wobec tego tylko pozornie, albowiem oligarchia szlachecka konwulsyjnymi krokami raka wszelki objaw postępu wstrzymać i cofnąć usiłuje. Opinia bałamucona przez zaprzedane możnowładztwu dzienniki konserwatywne, nie może tego ani dostrzec, ani należycie ocenić. Wszelką bowiem blagę szlachecką przedstawiają ze zwykłą bufonadą stańczykowskie agentury w kraju jako zdobycz ekonomiczną, a tłum pospolity, tak niestety przezywają lokajskie dusze zaprzedańców obywateli niezawisłych w kraju autonomicznym, przypuszczanym bywa jedynie do szopek rozmaitych, podnoszonych do znaczenia pierwszorzędnych wypadków w rozwoju ekonomicznym nieszczęśliwego kraju.

Na jedną z takich szopek wybraliśmy się onegdaj, chcąc zaprotestować przeciw donkiszoteryi paniczyków, którzy dla miłości tytułów i orderów bawić się raczą przemysłem krajowym. Żałować nam dziś jednak przychodzi poniesionych kosztów podróży, gdyż byliśmy oczywiście zagłuszeni okrzykami radości płatnych najmitów, którzy mieli sobie nakazane przez swoich chlebodawców nie dopuścić nas do głosu, a z pogwałceniem praw naszych obywatelskich i wolności słowa zniewolić nas umieli do wysłuchania znanych i wstrętnych bredni na temat dobrodziejstw, świadczonych krajowi przez hrabiów galicyjskich i obałamucone głowy zacofańców szlagonów.

W naszem przeto piśmie, które jest jedynym niezawisłym organem opinii publicznej i walczy niestrudzenie z wszelkiem wstecznictwem, prywatą i łapownictwem, pragniemy przedstawić ową szopkę tak jak na to zasługuje.

Chodziło o poświęcenie nowego wapiennika w Grodziskach.

Nie odmawiamy nikomu prawa do rozlicznych aktów jezuityzmu i bigoteryi, atoli czas już wielki, aby nie tumaniono podobnymi aktami szerszej publiczności. W Grodziskach jednak zajęły one trzyczwarte czasu tak, iż na dyskusyę fachową nie było już miejsca, gdy dodamy jeszcze do ceremonii kościelnych rozwlekłe kazanie miejscowego proboszcza, przy którem chłopi literalnie pousypiali, a starszyzna po kątach paleniem papierosów czas skracała. I to ma być nabożeństwo! Smutny zaiste objaw nowoczesnego faryzeuszowstwa.

Słuchając przemowy, a właściwie kazania księżowskiego (iura stolae w tej miejscowości bardzo są obfite), dowiedzieliśmy się, że cała przyszłość chłopstwa w opiece panów. Przeszło pół godziny piorunował kanonik oklaskiwany przez takich wsteczników jak redaktor „Pszyszłości“ Pysznicki i hr. Bombalski, na zgubność wszelkiej oświaty. Naturalnie: poco chłopu czytać i pisać, kiedy go dwór i bez tego zaprzęgnie do pracy. Skoro tylko kanonik skończył kazanie, pobudzono chłopów i kazano im krzyczeć w niebogłosy: niech żyje, zaco uraczono ich potem na koszt gospodarza wódką i kiełbasą, dwoma środkami, które nieoświecony biedny lud nasz trzymają w niewoli panów i szlachty.

Imieniem dygnitarzy przemawiał hr. Bombalski, który jeszcze nie miał czasu przegrać wszystkiego

w Monaco. Jakie plótł koszałki opałki najlepszy dowód, że nawet szlachcice słuchać nie chcieli i hurmą wyruszyli ku zastawionym stołom. Tu przy sutem jedzeniu bredził jeszcze Rzępała na temat nowej demokracyi, złożonej z hrabiowskich fagasów. Ktoś tam wniósł wreszcie: kochajmy się, bo to konieczne u nas, gdy wódka i wino w mózgach ogłupiałych zakręcą.

Wychodząc z sali ozdobionej festonami, zapewne na uczczenie hr. Bombalskiego i jemu podobnych, pomyśleliśmy sobie: i co z tego wszystkiego?

Najciekawsze jednak, że jakkolwiek wapiennik poświęcono, właściciel nie ma wcale wystarczających pokładów wapna, a jeżeli jakie ma, to w lichym gatunku i niezbyt obfite. Albowiem do Grodzisk przytyka wieś zacnego patryoty Pomeranza, który z ojca i dziada tu osiadł i od lat wielu założył wapiennik, nabywszy z olbrzymim kosztem najbogatsze wapniodajne sąsiednie terytorya.

Nowy wapiennik w Grodziskach ma więc jedynie na celu wytworzyć zgubną konkurencyę przez podwyższenie ceny robotnika, co się musi odbić na konsumentach obu fabryk. Jeśli dotąd miała racyę bytu jedna fabryka, dwie absolutnie utrzymać się nie mogą.

Przypuszczamy, że dawniejsza, oparta na bogatszych kapitałach i długoletniem doświadczeniu, mająca zresztą lepsze pokłady, zdoła się ostać wrogiej konkurencyi właściciela Grodzisk, ale niemniej straty poniesie, a te straty zaważą na szali ogólnego budżetu przemysłu naszego.

Dodajmy do tego, że nowy właściciel Grodzisk na gospodarstwie wcale się nie zna, bo drogą spadku, po jakiejś ciotce zapomnianej, dorwał się fortuny, że więc owacyjki w guście wczorajszej, winko i karteczki,

wysuszą dno złotej beczki, a będziemy mieć obraz szopki, jakiej byliśmy świadkami w Grodziskach.

Z gniewem rzuciłem wstrętny organ Krzykackiego i wziąłem się do czytania „Gazety demokratycznej“. Tytuł artykułu składał się z kilku pomniejszych tytulików, ujętych w klamrę. Aby zadowolnić wszystkich wielbicieli Haczykiewicza i jego polityki ad aeternam rei memoriam, artykuł wraz z tytułem w całości przepisuję.

„(Dalsza podróż inspekcyjna radcy Haczykiewicza w sprawach przemysłu krajowego. — Poświęcenie wapiennika w Grodziskach. — Mowa radcy Haczykiewicza o potrzebie ciągłego rozwoju przemysłu i o zadaniu demokracyi polskiej. — Niemiły dysonans z powodu niewłaściwego odezwania się redaktora Rzępały. — Głos łabędzi jednego z ostatnich. — Niestałość przekonań i zgubne tegoż następstwa. — Nowa akcya ratunkowa radcy Haczykiewicza w sprawie drenowania łąk. — „36“ godzin pracy bez wytchnienia.)“

Ostatnia sesya w wielkim wydziale w sprawie subwencyi dla lwowskiego teatru miała przebieg nadzwyczaj ożywiony. Referent, radca Haczykiewicz, po kilka razy musiał głos zabierać, aby wyjaśnić błędne zapatrywania niektórych mowców, a po jego ostatnim gruntownym i z wielką swadą przedstawionym wywodzie, sprawa odroczoną została do najbliższej sesyi. Pomimo, że posiedzenie zamknięto tuż przed godziną dziesiątą, niestrudzony radca Haczykiewicz następnego dnia pierwszym pociągiem kuryerskim odjechał do Grodzisk, aby w dalszej podróży inspekcyjnej, poświęconej sprawom przemysłu krajowego, zwiedzić tę miejscowość fabryczną i światłemi radami wesprzeć okolicznych obywateli. — Jakoż przybycia czcigodnego radcy oczekiwano w Grodziskach z niezwykłą radością,

a pragnąc dać temu wyraz u wjazdu do fabryki, ustawiono bramę tyumfalną, przystrojoną w chorągwie o barwach narodowych. Obywatelstwo okoliczne, wdzięczne panu radcy za podjęte trudy, zebrało się u bramy bardzo licznie, a na czele stanął obok marszałka powiatu, hr. Bombalskiego, właściciel fabryki i dóbr grodziskich, Antoni Grodziski, który dostojnego patrona powitał uroczystą przemową.

W towarzystwie radcy Haczykiewicza znajdowali się znany pedagog i publicysta Kargel, dyrektor Centralnego banku galicyjskiego, Turski, dyrektor Związku towarzystw wytwórczych, Figielski i wiele innych wybitnych osobistości. Właściciel fabryki, Antoni Grodziski, pragnąc upamiętnić bytność radcy Haczykiewicza w tej zaniedbanej dotąd okolicy, postanowił dokonać dnia tego aktu poświęcenia nowego wapiennika, świeżo wystawionego. Ze zwykłą sobie łaskawością radca Haczykiewicz chętnie na to przystał, poczem religijnego aktu dopełnił miejscowy proboszcz.

Kiedy kościelne pienia ucichły, zabrał głos radca Haczykiewicz i w świetnej porywającej mowie skreślił całe dzieje przemysłu krajowego. Z głębokiem skupieniem wśród ciszy niezwykłej, słuchali wszyscy słów dyktowanych przez wiedzę niezrównaną i gorącą miłość kraju. Nie było końca oklaskom po każdym ważniejszym ustępie. Mowca zaznaczył przy tej sposobności doniosłość faktu, że idea demokratyczna krzewi się już po dworach obywatelskich i dowiódł, że jest ona jedyną rozumną podstawą jakiejkolwiek w kraju akcyi społecznej, ekonomicznej i politycznej. Idea ta żąda wyrzeczenia się mrzonek przeszłości, ale w zamian za drobne poświęcenie zdrożnych egoistycznych nawyknień, ofiarowuje jako upominek dla ojczyzny serca ludu, wychodzącego z pieluch wieko-

wego zapomnienia i mnożącego w miliony narodowe zastępy.

Mowa ta sprawiła tak potężne wrażenie, że nikt już słuchać nie chciał redaktora Rzępały, który z niezwykłym cynizmem przedrzeźniał świetną przeszłość demokracyi polskiej.

Doskonałą odprawę dał zarozumialcowi jeden z „ostatnich“, jeden z tych wielkich bohaterów, których tylu krew przelało w obronie politycznego testamentu, rozerwanego przemocą na trzy części narodu. Łabędzi głos sędziwego pułkownika Plagowskiego wszystkich też do łez poruszył.

Dzień ten byłby jeszcze dodatniejsze wydał rezultaty, gdyby nie chwiejność w zasadniczych sprawach miejscowego obywatelstwa. Acz smutnemi nauczone doświadczeniami, nie umie ono zrzec się chętki przewodzenia, a że samo jest leniwe i gnuśne, wybiera do swego zastępstwa ludzi, z którymi chorągiew demokracyi polskiej nie może mieć nic wspólnego. Takich ludzi obecność ujemnie tylko świadczyć mogła o istotnych zamysłach gospodarza i dlatego nie było w zebraniu tego serdecznego wylania, które wywołuje zazwyczaj powiew demokratycznego ducha.

Co do fabryki, jest ona dopiero w początku — co będzie zobaczymy, a pragniemy niebawem zanotować o niej szczegóły najpomyślniejsze.

Powróciwszy z nużącej podróży, niemal bezzwłocznie przystąpił radca Haczykiewicz do akcyi ratunkowej w sprawie drenowania łąk i zaraz następnego dnia przewodniczył osobiście odnośnej ankiecie. „36“ godzin wytrwał tedy w nieustannej pracy. Człowiek iście niezwykły.

Przeczytawszy ten artykuł, rzuciłem mimowoli okiem na datę „Gazety demokratycznej“. Nie pomy-

liłem się jednak, gdym kupował numer, to był egzemplarz z dnia dzisiejszego, opisujący tę samą uroczystość, na której byłem obecny.

Teraz dopiero zrozumiałem, co mi mówił Rzępała o polityce Haczykiewicza.

Z kolei wziąłem w rękę konserwatywną „Przyszłość“.

Redaktor Pysznicki pisał: „Przemysł krajowy dźwiga się ciągle dzięki ofiarom obywatelstwa wiejskiego. Wczoraj mieliśmy tego nowy dowód, uczestnicząc w uroczystości poświęcenia nowego wapiennika w Grodziskach, majątku będącego obecnie własnością Antoniego Dołęgi Grodziskiego. Matka jego była z domu Karska, córka Jana, której brat stryjeczny ożeniony był z hrabianką Taraszewską, a siostra przyrodnia poślubioną była cześnikowiczowi Ściborzyckiemu. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że jeden z Grodziskich był pod Wiedniem i że w opisach wojny chocimskiej znajdujemy także wzmiankę o walecznych rycerzach tego rodu. Obecny dziedzic dóbr grodziskich cieszy się wielką życzliwością marszałka powiatu, hr. Bombalskiego, który raczył osobiście uczestniczyć w pięknej uroczystości. Było też kilkunastu obywateli okolicznych, między innymi Jacek Warski, świeżo zaręczony z hrabianką Eweliną Motylińską“.

„Zwracał także między gośćmi uwagę znany sportsmen Olszyński, którego klacz, „Prakseda“, zdobyła drugą nagrodę na ostatnich wyścigach krakowskich. Ceremonia poświęcenia wapiennika odbyła się z nadzwyczajną uroczystością przez miejscowego proboszcza kanonika X., który wyłuszczył w przemowie dobrodziejstwa spływające na lud wiejski z nieustannej opieki dworu i wykazywał bardzo słusznie złe następstwa nieprzyzwoitych agitacyj, które się starają naru-

szyć patryarchalny stosunek między dworem a gminą. Po ceremonii kościelnej odbył się wspaniały obiad, na którym nie brakło toastów. Szkoda tylko wielka, że płeć piękna, ta grande atraction wszystkich obywatelskich zebrań, nie mogła w tej uroczystości uczestniczyć, gdyż młodziutki gospodarz nie dał się dotąd oczarować jej powabom. Jest jednak nadzieja, że w tem sroższą pójdzie niewolę. Nie chcemy zgrzeszyć niedyskrecyą, a zresztą karnawał najbliższy i tak to wyjaśni. Wszakże tak pięknie skoligacone domy nie powinny ginąć bezpotomnie“.

Ledwiem doczytał końca, gdy do pokoju mego wpadł jak bomba Rzępała.

— Okropne, ohydne, niegodziwość — wykrzykiwał od progu — a podając mi rękę, dodał: czytałeś?

— Jeśli idzie o artykuły — odparłem — dopiero co je przejrzałem.

— Masz teraz czarno na białem co to za gałgany, pieniądze wzięli i jeszcze biedaka sponiewierali.

— Antoś istotnie zmartwi się ogromnie.

— Dowiedzże się, żem im sprawił cięgi okrutne.

Spojrzałem mimowoli na kij sękaty.

Rzępała się uśmiechnął.

— Myślisz, żem obił gałganów, toby jeszcze gorzej było, bo by za męczenników uchodzili, ale ja im lepszą sprawiłem łaźnię. Czytaj.

Mówiąc to, wręczył mi świeży numer swojego pisma, jeszcze mokry, widocznie dopiero co wyrzucony z pod prasy.

Sam stanął nademną i czytał głośno tytuł:

„Wielki podój krów w Grodziskach. — Sztuczki Mühlingów i manewry Pysznickich. — Nowa blaga Haczykiewicza. — Trzy łapówki w jeden dzień. — Alians Krzykackiego z Pomeranzem. — Kto jest

Pomeranz, a kto jest Grodziski. — Nowy wynalazek Antoniego Grodziskiego. — Pokłady wapna w Grodziskach. — Akt poświęcenia nowej fabryki. — Przemowa pułkownika Plagowskiego, weterana wojsk polskich. — Jak stoją sprawy przemysłu w tym powiecie. — Projekt wielkiej kościarni w dobrach Stanisława Warzyckiego“.

Opisu nie podobna było na razie czytać. Zajmował bowiem szesnaście bitych stron tekstu, przekonałem się jednak natychmiast, że dział fachowy obrobiony był z wielką starannością i znajomością rzeczy, a wszystkie ataki zwrócone do przeciwników politycznych, opierały się na faktach prawdziwych. Styl przytem cięty, wyrażenia dosadne.

— Coza szkoda — pomyślałem — że takiego pióra nikt w swoim czasie nie poparł!

Jedyny dziennikarz, który się na przemyśle rozumiał nie miał nigdy sposobności prowadzenia tego działu, w którymkolwiek z naszych pism codziennych.

Rzępała nie pozwolił mi długo rozmyślać nad egzemplarzem swego pisma.

— Słuchaj — rzekł — zrobisz mi, o co cię poproszę.

— O ile będę mógł, z całej duszy.

— Poszlij więc ten numer twemu Antosiowi, bo mnie widzisz nie wypada. Gotów pomyśleć, że Rzępała-rewolwer wyciąga łapę, a ja, jak Boga mego, futro zastawiłem, aby numer wykupić z drukarni, ale łapówki nie chcę za żadne skarby świata.

Przyrzekłem oczywiście zastosować się do życzenia redaktora, a tymczasem zaprosiłem go na szklankę ponczu, po który co prędzej pchnąłem wyrostka do pobliskiej cukierni.

Gdyśmy usiedli naprzeciw siebie, zapytałem Rzępały:

— Wytłómacz mi redaktorze skąd się bierze ta obojętność naszych dzienników dla spraw przemysłu krajowego, dla wszystkich wogóle zagadnień ekonomicznych.

— A powiedzże mi smyku — odparł z ferworem Rzępała — czy w czasach, kiedy cię rózgą napędzali do książki, byłeś w stanie pisać takie referaty, jakie wypracowujesz dziś w biórze? Prawda, że nie? Otóż, ciągnął dalej, nie czekając na moją odpowiedź, prawie wszystkie dzienniki nasze posługują się niedouczkami i młokosami, juścić takie wiercipięty nawet o reporterce nie mają wyobrażenia.

— Czemuż nie powołają do tego sił fachowych?

— Wiele tych sił fachowych nie ma, a że ich nie ma wiele, każda po krótkim czasie do czegoś dojdzie, a jak nasz do czegoś dojdzie, to już nie przystępuj bez kija. Jeśli ma jaki temat do trzech choćby artykułów, założy osobny tygodnik fachowy, ale nie zdobędzie się nigdy na spopularyzowanie swej wiedzy w pismach codziennych, zwłaszcza uboższych. Trafi się zaś człowiek światlejszy i zacniejszy, to znów znajdzie się między młotem a kowadłem: da artykuł do „Przyszłości", okrzyczą go stańczykiem, da do „Pukawki", powiedzą że radykał, a da do „Gazety demokratycznej", powiedzą że liberał. Koniec końców publiczność na tem traci, bo zamiast porządnej strawy, dostaje zabarwioną miksturę.

— Czemuż ta publiczność nie manifestuje swych życzeń.

— Pytasz, a wszakże czytałeś dzisiejszy artykuł takiej naprzykład gazety demokratycznej. Czy nie ładnie tam piszą o demokracyi, o milionach nowych żołnierzy polskich, o zbawieniu ludu, o poświęceniu dygnitarzy autonomicznych, o zasadach i o stałości przekonań. Otóż to wszystko, mój drogi, są zręczne

łapki na niedoświadczonych. Słoninka przysmarzona pachnie. Strapieni i biedni ludzie biegną co żywo, a w tem spada zatyczka i osadzeni już w łapce. Gdybyś nie był sam w Grodziskach, możebyś i ty uwierzył w prawdziwość tych andronów, jakie o sobbie kazał popisać Haczykiewicz.

— Zapewne!

— A widzisz! a przecież tysiące ludzi nie posiadających żadnej prawie inteligencyi czyta gazety i wierzy w powagę rzeczy drukowanej.

Długo w noc rozprawialiśmy o tej sprawie, a poncz tymczasem wystygł zupełnie i cygara zagasły.

— Bodajże cię — zawołał Rzępała — hora canonica minęła, a my bałakamy bez końca. Bywajże zdrów, a poszlij moje pismo Antosiowi.

— Może redaktor być o to spokojnym.

— Niech się biedak choć trochę pocieszy po tem pierwszem świetnem poparciu ze strony swych przyszłych protektorów.

III.

Rywale.

Gdy po dokonanem poświęceniu nowego wapiennika w Grodziskach i po sutej uczcie pospieszyli wreszcie goście lwowscy na dworzec kolejowy, zastali tu zaledwie kilku nowych towarzyszów podróży, przeważnie starozakonnych. Nikogo to nie mogło uderzyć, bo u nas na 100 podróżnych 75 procent przypada na ludność żydowską, co najlepszym dowodem w czyich rękach w rzeczywistości handel i przemysł spoczywa. Nie wynika z tego, aby wobec każdego żyda wrogie zajmować stanowisko, bo nic w tem dziwnego, że z tego zysk ciągnie, co my ciągle jeszcze niestety lekceważymy. Godzi się jednak zaznaczyć fakt, czego nie uczynił atoli żaden z gości pana Antoniego Grodziskiego. Popici, a więc w dobrych humorach, tłustemi na deser częstując się dowcipami, chodzili oni po peronie jak ludzie, dla których wyłącznie świat jest stworzony. Jeden Mühling odłączył się nieco od wszystkich i niespokojnym wzrokiem szukał kogoś wokoło.

Grupa chałatowców stała na boku rozmawiając w żydowskim żargonie z Pomeranzem, który zajmował taką pozycyę, iż mógł zarazem obserwować gości

Grodziskiego. Widocznem było, że i on kogoś oczekiwał.

Naraz wzrok jego padł na Mühlinga i postąpił ku niemu. W tejże chwili i Mühling go spostrzegł, bo z niezwykłem ożywieniem zbliżył się do Pomeranza.

— Odejźmy na bok — mruknął, podając mu rękę — poczem obaj z Pomeranzem posunęli się aż ku rampie kolejowej.

Tu dopiero stanął Mühling i odezwał się półgłosem, pilnie oglądając się w koło czy ich kto nie słucha:

— Wygrałeś pan.

— Nu co to za wygrana, jak ten kiepski waryat wystawił taki wapiennik.

— Ale się nie zna na rzeczy, zraził sobie wszystkich. Krzykacki oburzony.

— Nu to ja właśnie jadę, aby go uspokajać, i mówiąc to, uderzył ręką o wypakowaną kieszeń surduta.

— Tylko ostrożnie, bo to honorowy człowiek.

— Co robić, ja się znam na te honorowości, un będzie chciał bardzo dużo, a to moja śmierć, jak panu dobrze życzę.

— Nie panie, on nic nie weźmie.

Pomeranz ujął namiętnie dłoń Mühlinga.

— Co pan gada, jak on nic nie weźmie, to ja naprawdę wygrał.

— Trzeba jednak dać na wybory jutrzejsze i kupić udziały na „Pukawkę“.

Pomeranz puścił ręce Mühlinga i za głowę się ujął.

— Waj mir! a ja panu nie gadał, że te honorowe ludzie to gorsze od zwyczajne łapowniki.

— Ale Grodziski będzie zgubiony.

— Nu co mam robić, jak tak, to ja jadę.

— Bez tysiąca złotych reńskich szkoda pańskiego trudu.

Pomeranz zamyślił się. Tymczasem sygnał się ozwał. Trzeba było szukać miejsca w wagonach.

— Więc? — pytał Mühling.

— Dam tysiąc i dam dwa — zawołał Pomeranz — ale ja będę się potrzebował przekonać, że Grodziski naprawdę zgubiony.

— Więc siadaj do wagonu.

— Nu, ja jutro będę u pana.

Uścisnęli sobie ręce. Mühling odbiegł w drugą stronę i oparł się aż o Krzykackiego.

— Czuj duch — zawołał Krzykacki — co tak lecisz.

— Mówiłem z Pomeranzem — szepnął mu Mühling z tajemniczą miną.

— No i co?

— To nasz!

— Siadajże psianogo do wagonu, bo mamy dziś jeszcze we Lwowie robotę w „piekiełku".

— Ależ tam będzie pijatyka, a mnie i tak już łeb pęka.

— To ci go zlejemy zimną wodą i będziesz pił do rana.

— A „Pukawka"?

— Zrobią za nas wolontaryusze, czy mało tej hołoty?

— Niechże ich redaktor przynajmniej pochwali, aby nie klęli.

— Ty wiesz swoje, a ja wiem swoje. Besztaniem utrzymuję karność, a jak którego zwalę, to wywołuje zapał. Stulże gębę i marsz do wagonu.

Tymczasem w innym wagonie, obok Turskiego i Haczykiewicza, zajmował miejsce Pomeranz.

— Żałuję mocno, żem nie miał sposobności odwiedzić pańskiej fabryki — odezwał się Haczykiewicz po przywitaniu.

— Nu jest czego żałować, bo by się pan przekonał co moja fabryka to nie taki drobiazg jak ta, tu wskazał Pomeranz w stronę Grodzisk.

— Wieleż lat zajmuje się pan przemysłem?

— Co to wiele lat, jak ja się urodził to ja już handlował.

— To pan musisz mieć znaczny kapitał — wtrącił Turski.

— Skromne oszczędności od niejedzenia i niepicia.

— I co pan robi z pieniądzmi — pytał dalej Turski.

— One za mnie same pracują.

— Gdzież pan jedziesz?

— Ja sobie jadę do Lwowa, kupować obligacye Centralnego banku za dwakroć stotysięcy.

— Niechże pan siada bliżej, proszę pana — przemówił bardzo uprzejmie Turski.

— Może szanownego obywatela poczęstować cygarem — rzekł Haczykiewicz — wyciągając kilka sztuk.

— Od pana radcy, to ja mogę przyjmować — odparł Pomeranz, biorąc jedno z podanych cygar — bo my się znamy nie od dziś, pan radca będzie sobie przypominać.

— Ależ oczywiście szanowny panie — odrzekł szybko Haczykiewicz, jakby się obawiając jakiej niedyskrecyi ze strony Pomeranza.

Atoli żyd mrugnął doń jedynie znacząco i zwrócił rozmowę na wybory do Izby handlowej i przemysłowej, które niebawem miały się odbyć.

— Będziesz się pan zapewne ubiegał o mandat? — zapytał Turski.

— Nu ja wiem na pewniaki, że ja będę wybrany.

— W takim razie będziemy pana częściej widywać we Lwowie.

Żyd dał znak potakujący głową.

— Gotowi pana jeszcze wybrać prezesem — zauważył Haczykiewicz.

— I to być może — odparł Pomeranz, bawiąc się grubym złotym łańcuszkiem od zegarka.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

Haczykiewicz wyciągnął się na ławce i zmróżywszy oczy drzemał.

Turski z miną męża stanu palił wonne cygaro.

Pomeranz kręcił się czegoś niespokojnie. Zdecydował się wkońcu zwrócić do Turskiego.

— Panie dyrektor!

— Co tam, kochany Panie Pomeranz?

— Nie słyszysz pan, co to jest z tym Golickim?

— Dzielny człowiek, wybudował całą ulicę domów, jutro ma być u mnie.

— Co on może chcieć od pana?

— Dostarczamy mu kapitału obrotowego.

— Jak to może być, kiedy on więcej winien jak ma czystego na hipotekach.

— Mylisz się pan, jego aktywa przechodzą stan bierny o stotysięcy złotych reńskich, nie biorąc w rachubę, że gdyby domy posprzedawał, zebrałby z pewnością dwa razy tyle. Prosił właśnie o nowy kredyt budowlany i jutro ta sprawa ma się rozstrzygnąć.

— A jak ja mu będę otwierać konkurs, to co będzie?

— Czyżby był panu aż tyle winien.

— Może więcej jak pan dyrektor myśli.

Turski zamyślił się.

— Pan nie wierzy? czy mam przekonywać?

— Owszem, wierzę i dziękuję za wyjaśnienie. Ochroni to bank przed stratami.

— Ja myślę! — odparł Pomeranz, jadowitym uśmiechem wykrzywiając usta, a po chwili dodał przyciszonym głosem: a kiedy mam jutro przychodzić po te obligacye?

— Za całe dwakroć, powiadasz pan?

— Co ja mówię, to pewne.

— To zakupno poprawi opinię banku.

— Panie dyrektor, a czy to nie nasz bank?

— Przyjdź pan o dwunastej.

— A Golicki?

— Odprawię go przed jedynastą z niczem.

— Ale mnie pan nie będzie przy nim wspominać?

— Boże broń.

Ozwał się gwizd przeciągły lokomotywy i miarowe wołanie konduktorów: Lemberg-Lwów, Zwanzig Minuten Aufenthalt, dwadzieścia minut rozjazdu!

— Wstawaj pan — wołał Turski na Haczykiewicza.

— Rzępała, co?

— Ależ nie, Lwów.

— To co innego, chodźmy, do widzenia panie Pomeranz.

— Pamiętaj Pan o dwunastej jutro, dodał Turski.

Pomeranz za nimi powoli wychodził.

— Nu, oni oba myślą, co oni coś znaczą, ale jak żydzi zechcą, to ich nie będzie, mruczał do siebie.

Krzykacki z Mühlingiem przeszli obok.

— Nu, tych wszyscy mają za czystych, a oni przeszli wszystkie łapowniki.

Dnia następnego było już po godzinie jedynastej, gdy do głównego kantoru budowy domów Golickiego,

wszedł sam szef, Kazimierz Golicki, i odrzuciwszy kapelusz, opadł na fotel, zakrywając twarz oboma rękami.

Po małej chwili weszła do tegoż kantoru drugiemi drzwiami młoda, wysmukła i piękna kobieta, na palcach przystąpiła do pogrążonego w myślach Golickiego i przypatrywała mu się czas jakiś, a ciemna chmura i na jej twarz wypłynęła, spędzając bezpowrotnie uśmiech swobodny, z jakim tu wchodziła.

— Czemu to mój pan taki smutny?

Golicki podniósł głowę, a łzy błyszczały w jego oczach.

— Co się stało — mówże — nalegała młoda kobieta.

— Nieszczęście! — jęknął Golicki.

— Przecież, może kto zachorował, mama? twój ojciec?

— Wszyscy zdrowi.

— Więc cóż?

— Turski odmówił mi dalszego kredytu poraz pierwszy i bez powodu.

— Cóż za nieszczęście, dasz sobie i bez tego radę.

— Liczyłem na 30.000 złr., które dziś miałem otrzymać z centralnego banku. Pomyśl tylko, że nowa budowa zaczęta, że w sobotę potrzebuję na wypłatę ludzi.

— Zastawimy nasze wszystkie kosztowności, nie martw się.

— Pomeranz za chwilę tu przyjdzie, dziś miałem mu wypłacić 20.000 złr.

— Dwadzieścia tysięcy! Wielki Boże!

— W kasie, nie wiem, czy jest dwa tysiące!

— Mężusiu, tylko nie rozpaczaj, nie poddawaj się nieszczęściu, nie mieliśmy nic, gdyśmy się pobierali, damy sobie radę, Bóg z nami.

— Moja biedna Zosiu! — jęknął znów Golicki — przyciskając do łona młodą kobietę, która nie mogąc się powstrzymać załkała głośno.

W tej chwili wbiegły do pokoju dwie małe dziewczynki z twarzyczkami aniołków.

— Mama płacze! — wołała starsza — co tatuś zrobił mamie!

Młodsza nie czekając wyjaśnienia już płakała.

— Ależ nic mi nie jest, uspokójcie się dzieciaki, idźcie bawić się lalkami — mówiła przez łzy pani Zofia.

— Nie, my nie pójdziemy, my nie opuścimy mamy! — zawołała starsza.

Dzwonek się ozwał.

— Pomeranz! — z rezygnacyą odezwał się Golicki.

— Uspokójże się mój drogi, bądź mężnym — prosiła żona.

— Wyprowadź dzieci.

Sam podszedł do drzwi i otworzył.

Przybywał jednak nie Pomeranz, ale jego faktor Szloma.

— Co mi Szloma przynosi nowego? — pytał Golicki, starając się zapanować nad swojem wzruszeniem.

— Co ja przynoszę, to pan wie dobrze: weksle na 20.000 złr. i duże puste torbe na pieniądze.

— Kiedy ja nie mam pieniędzy.

— Jakto pan może nie mieć, kiedy dzisiaj jest termin.

— Mogę zaprolongować na sześć miesięcy.

— Aj, waj, co to prolongacya, pan Pomeranz ma także termina i potrzebuje pieniędzy.

— Spotkał mnie nieprzewidziany zawód.

— To bardzo paskudny interes.

— Szloma coś poradzi, ja się odwdzięczę.

Szloma zamyślił się, potem jakby sobie coś przypominając, zapytał.

— Grodziskiego pan zna?

— Mój kolega.

— To pan może od niego brać wapno.

— Rad nie rad, będę musiał wziąć jedną partyę.

— A jak to wapno będzie złe?

— Dla czego ma być złe?

Szloma mrugnął znacząco oczyma.

— Niech pan bierze wapno od Grodziskiego — rzekł — a potem niech pan zrobi wielki krzyk w gazetach, że wapno jest złe.

— Mógłbym go przez to zgubić, a to przecież dobry człowiek, szkoda go.

— A pana nie szkoda? jak Pomeranz nie sprolonguje weksli, to pan będzie jeszcze prędzej zgubiony.

— Więc Pomeranz żąda tej usługi w zamian za prolongatę?

— Co on ma żądać, ja panu od siebie radzę.

— Niechże się pan z taką radą nie odzywa więcej, bo pana każę wyrzucić! — odparł z gniewem Golicki.

— Poco taki krzyk! Pan weksli nie płaci i jeszcze pan krzyczy. Pomeranz zgłosi konkurs.

Golicki wziął się za głowę, Szloma czekał u drzwi.

— Zapłacę dziesięć procent — zawołał po chwili Golicki.

— Pomeranz chce gotówki, albo...

— Ale ja podłości nie popełnię.

— Jakie podłości, Grodziski ma złe wapno, a pan złego wapna nie potrzebuje przyjmować.

— A jak dostarczy dobre.

— Co to gadać, kiedy on dostarczy złe.

— No, jeżeli będzie złe, ale tylko pod tym warunkiem...

— Niechże się pan godzi, bo Pomeranz czeka.

— Jeśli będzie złe, nie przyjmę! — rzekł Golicki z widocznym wysiłkiem.

— I napisze pan do gazet.

— Chyba po to, aby mnie i Pomeranza zdruzgotał Krzykacki.

— Krzykacki! he, he, he, on jest nasz, niech pan czyta, i mówiąc to, wręczył Szloma Golickiemu numer „Pukawki“ z opisem uroczystości w Grodziskach.

— Jeżeli tak, napiszę, ale zastrzegam się pod warunkiem, że wapno z Grodzisk będzie niedoużycia.

— Nu, o to niech pana głowa nie boli.

Targowali się jeszcze co do terminu nowych weksli i co do procentu.

Ostatecznie Golicki podpisał nowe weksle z terminem płatności za trzy miesiące i zapłacił 12 procent z góry. Dał jeszcze Szlomie 50 złr. faktornego i wreszcie został sam.

— No i cóż? — pytała żona, wbiegłszy do pokoju.

— Na razie spokój — rzekł Golicki — ale jakże drogo okupiony.

— Więc zaprolongował?

— Tak, ale za cenę...

— No mówże Kaziu, mów...

— Za cenę mojego honoru.

— Jakiż ty biedny! — zawołała żona — rzucając się mu z płaczem na szyję.

Wieczorem tegoż dnia w małym pokoiku redakcyi „Pukawki“, który służył za pracownię naczelnemu redaktorowi Krzykackiemu, leżał tenże na obdartej sofie w zmiętem ubraniu i spał snem twardym. Światło lampy biło na jego twarz bladą i sponiewieraną,

oświecając niedostatecznie nie tyle skromną, ile brudną pracownię. Na biórku zarzuconem papierami, stała rozbita butelka, obok wywrócona szklanka, z której piwo spływało kropla po kropli na podłogę od dawna widocznie niezamiataną. Na ścianach nie było ani jednego obrazu, a tylko zegar zaprószony migotał bladą tarczą i milczał zawzięcie, gdyż nie było go komu nakręcić.

Od czasu do czasu wpadał do pokoju to chłopak z drukarni, to ktoś z personalu redakcyjnego, ale gdy Krzykacki na wszelkie odezwy był głuchym i spał dalej snem twardym, wychodził wzruszając ramionami.

Naraz weszło trzech ludzi: Mühling i dwóch gołowąsych wyrostków.

— Zwyciężyliśmy! — wołał Mühling od progu.

— Ale walka była zawzięta, co? — zagadnął jeden z towarzyszy z tryumfującą miną.

— Zasłużyliśmy się redaktorowi nieprawdaż? — dodał drugi.

— On też ceni waszą pracę! — z powagą rzekł Mühling.

— Mógłby nas już zamianować stałymi współpracownikami — mówił znów pierwszy.

— Bądźcie pewni, że was nagroda nie minie — zapewnił Mühling — ale przypilnujcież jeszcze owacyi dzisiejszej, a w nocy numer, bo znów pewnie nie dadzą wytchnąć naszemu szefowi. Patrzcie jak on spi biedaczysko.

Ale Krzykacki już się budzić począł i na poły we śnie pytał:

— He! kto tam, Mühling! gdzieżeś się zawieruszył psianogo.

— Wracamy z wyborów! zwycięstwo na całej linii!

Krzykacki zerwał się na równe nogi.

— Gadajże do djabła prędzej.

— Pan redaktor wybrany stanowczo, szewc Licheńko przeszedł, rymarz Kotowicz także, w nowej radzie będzie do dwudziestu naszych.

— Ale kłopotu musiało być nie mało.

— Te zuchy zadecydowali o kampanii. Na godzinę przed zamknięciem wyborów dowiedzieliśmy się, że przeciwnicy prowadzą nowych kilkuset wyborców. Co powiesz redaktorze, że ci młodzi obywatele taką burdę wyprawili, że policya musiała wkroczyć.

Zabrało to jednak tyle czasu, że nim przywrócono porządek wyborcy musieli się cofnąć.

— Dzielne z was draby! pójdziecie wysoko!

— Za redaktorem choćby w ogień! — zawołali obaj młodzieńcy.

— Za pół godziny przybędzie tu deputacya rękodzielników i przemysłowców złożyć gratulacyę, a Harmonia odegra marsza narodowego.

— Grzechotka! — zawołał Krzykacki.

Starszy z obu młodzieńców wystąpił nieco naprzód.

— Będziesz obecnym w czasie przyjęcia deputacyi i spiszesz, co tu mówić będą, ale po naszemu. Będzie pewnie gadał Kotowicz, to mu włóż w gębę, co potrzeba, on sam nie potrafi się wyjęzyczyć. Dodasz moją odpowiedź i o całej manifestacyi. To pójdzie na wstęp numeru. Macie tam jakie zapasy w drukarni?

— Jest artykuł p. t. „Nowe oszustwo Rzępały“ i drugi, cięty artykuł pana Mühlinga p. t. „Machinacye wsteczników“.

— Wpakujesz to wszystko w numer i przypilnujesz z Wackiem (tu drugi młodszy skłonił się) korekty. Potem możesz mnie odszukać „pod gruszką“ albo w „piekiełku“. Nie wiem zresztą, gdzie dziś psubraty pociągną.

— Pod „bratnią zgodą“ zamówiona już wielka sala. Harmonia ma przygrywać! objaśnił Mühling.

— Więc przyjedziecie do „bratniej zgody“ — zadecydował szef. I wam należy się wyżerka. Mühling spisze co tam będą gadać i da do ostatniej poczty.

Grzechotka i Wacek wyszli, kłaniając się nisko szefowi i radcy miejskiemu.

— A jakże tam żydzi? — pytał Krzykacki Mühlinga, porządkując rozburzone włosy.

— Nie chciałem przy młodych mówić — odparł Mühling — ale gdyby nie żydzi, przepadlibyśmy z kretesem.

— Więc Pomeranz?

— Zdobył nam swoim wpływem prawie wszystkie głosy żydowskie, ale otóż i on.

We drzwiach wchodowych stał istotnie Pomeranz, zadyszany, zasapany.

— Oj, mało nie padnę, panie redaktor, taka wielka robota.

— A pocóż pan łazisz, kiedyś chory — odezwał się Krzykacki.

— Jak o pana redaktora wybór idzie, to żeby ja umierał, jeszczebym poszedł.

— Dziękuję ci obywatelu, umię to ocenić.

— Nu, co tu dziękować, mnie tak od serca poszło.

— Niechże pan siada.

— Mnie się spieszy na pociąg, a ja chciał panu pierwszy powinszować, żeby redaktor wiedział, co na Pomeranza liczyć można.

— Wiem o tem.

— A wie pan redaktor, że ja wasze udziały skupuję.

I mówiąc to, pokazał Pomeranz cały plik kwitów udziałowych.

— Cieszy mnie to, jeżeli chcesz służyć dobrej sprawie — odparł Krzykacki — bo ja dla innych rzeczy nie dam mego dobrego imienia.

— Jak pan może myśleć, żeby ja chciał dla siebie źle.

— Ale dla kraju, dla ojczyzny.

— Nu, jak mnie będzie dobrze, to przecie i dla kraju lepiej.

— Zapewne — wtrącił Mühling — majątek obywateli majątkiem kraju.

— Jak to pan powiedziałeś? — pytał Pomeranz.

— Co wiedział to powiedział, a teraz ja panu powiem słowo ostatnie jakem Krzykacki: udziały kupuj, a w sprawach pisma ja pan.

— Ale pan będzie mnie uwzględniać.

— To już rzecz Mühlinga, niech pisze o panu co chce, byleś nie zrobił brudu.

— Co pan mówi, pan chyba nie zna starego Pomeranza, u mnie mój honor więcej znaczy jak pieniądze, pan się mógł dziś przekonać.

— Więc zgoda?

Żyd spojrzał pytającym wzrokiem na Mûhlinga.

— Oczywiście, że zgoda — rzekł tenże — układ jest tajny, a w zamian za pomoc dla pisma masz pan nasze poparcie. Możesz się teraz ubiegać choćby o prezesurę Izby handlowej.

— Nu, ja przystaję teraz na wiceprezydenta.

Harmonia już grać zaczęła pod oknami. Mühling wyprowadził Pomeranza bocznemi drzwiami.

— Ma pan tu sto złotych reńskich dla siebie, sto rozumie pan — mówił przy pożegnaniu Pomeranz — a niech pan pamięta na te sprawę z Grodziskim i na te wybory do Izby handlowej.

— Licz pan na nas — zawołał Mühling i drzwi zatrzasnął.

Tymczasem Grzechotka wniósł drugą lampkę, a redaktor zaczął ściskać członków deputacyi.

„Mości redaktorze dobrodzieju, ozwał się przewodniczący deputacyi. Przemysłowcy, rękodzielnicy polscy ucieszeni twoim dokonanym dziś wyborem na radcę miejskiego, przyszli ci tego z serca powinszować, bo uznają w tobie jedynego obrońcę przed żydowskim uciskiem i samowolą możniejszych. Jesteśmy ludzie pracy, więc nie umiemy mówić uczenie, ale temwięcej pragnęliśmy ciebie uczcić i o naszej wdzięczności zapewnić. Zapraszamy cię więc na wspólną przekąskę pod „bratnią zgodę“. Nim zaś tam pódziemy, schylamy przed tobą głowy, jako przed redaktorem jedynego pisma polskiego, co z odwagą broni maluczkich, co z prawdziwym zapałem broni interesów rękodzielnictwa i przemysłu krajowego. Niech żyje nasz trybun, nasz opiekun, nasz dobrodziej i nasz ojciec! Wiwat redaktor Krzykacki!“

Nastąpiły znów pocałunki, poczem przemówił Krzykacki:

„Dziękuję wam za uznanie, chociaż pracując spełniam tylko obowiązek. Wiek obecny wymaga nie słów, ale czynów. Pełniąc służbę publiczną w trudnych warunkach, jestem zawsze gotów do każdej uczciwej akcyi obywatelskiej. Jeżeli będziecie mnie nadal popierać, zwyciężymy w walce z ciemnotą i wstecznictwem. Wydaliście okrzyki na moją cześć, a ja wołam: niech żyje lud polski, wiwat!“

Muzyka zagrała marsza Dąbrowskiego i przy tych dźwiękach wyruszył Krzykacki w otoczeniu deputacyi na ulicę, gdzie go przywitano nowymi okrzykami.

Rzepała stał naprzeciw w bramie domu i śmiał się ironicznie.

Przechodziłem właśnie tamtędy i pospieszyłem go powitać.

— No cóż, czy to nie szopka? — zapytał mnie z naciskiem.

— Publiczność jednak pozna się na tem — odpowiedziałem.

— Ta publiczność wybrała go przecież dziś do rady miejskiej.

— Więc artykuł „Pukawki“ o poświęceniu wapiennika nikogo nie oburzył?

— Raczej mu zjednał zwolenników.

— Jakto?

— Kupcy powiedzieli, że konkurencya istotnie jest szkodliwą, a przyjaciele Krzykackiego orzekli, iż występując przeciw Grodziskiemu złożył dowód niepospolitej odwagi cywilnej.

— Doprawdy, koniec świata!

— Nie mój drogi, tylko zagłuszenie rzetelnego poczucia obywatelskiego.

* *
*

Antoś Grodziski, zakładając fabrykę, poczytywał to za punkt honoru, aby produkt zamawiany był jak najlepszy. Wiedział on doskonale, że w fabryce Pomeranza rozmaitych używano środków, aby przy zachowaniu wszelkich pozorów doskonałości produktu, ilość jego do jak najmożliwszych granic w sposób sztuczny powiększyć i pomnożyć przez tę nierzetelność w dwójnasób dochody. Wiedział też, że z tego powodu ustawiczne były skargi, a Pomeranz niejeden proces przegrał. Liczył więc Antoś na ogromne powodzenie swej fabryki, jeśli publiczność otrzyma istotnie zamówioną

jakość produktu i jeśli pod tym względem nowy wapiennik wyrobi sobie dobrą renomę.

W tej więc myśli zaprowadził bardzo ścisłą w fabryce kontrolę, a obowiązki kontrolora złożył w ręce jednego ze swych dawnych kolegów, człowieka żonatego, na którego uczciwości mógł bezwarunkowo polegać.

Dając przytem produkt niewątpliwie lepszy i co do jakości i co do miary, nie powiększył wcale ceny, a również wcale jej nie zmniejszył, tak że na konkurencyę nie mógł się Pomeranz wcale uskarżać, albowiem pod niejednym względem w lepszem znajdował się położeniu.

O jakiejkolwiek konkurencyi szkodliwej interesom tej gałęzi przemysłu nie mogło być zresztą mowy już z tego względu, że same nowe budowle we Lwowie, nie wspominając już miast okolicznych, spotrzebować mogły dwa razy tyle, ile oba wapienniki wyprodukować mogły.

Oceniali tak sprawę wszyscy ludzie fachowi, których zdania zasięgał Antoś przedzałożeniem fabryki i dlatego zupełnie był pod tym względem spokojny.

Drugą sprawą niemniej ważną był stosunek do robotników.

Grodziska nie miały tak licznej ludności, aby mogły dostarczyć potrzebnego robotnika. W okresach kampanii budowlanej trzeba go więc było rekrutować z dalszych okolic i dostarczyć takiemu robotnikowi zaraz od pierwszego dnia możności wyżywienia się.

Pomeranz załatwiał tę sprawę w ten sposób, że à conto wynagrodzenia od pierwszego dnia pracy wydawał asygnaty do karczmy, którą sam prowadził, i w ten sposób za wódkę i bardzo nędzne pożywienie

odbierał robotnikom trzyczwarte zarobku. Czasem, któryś z nich na to wyrzekał, ale że okolica była uboga i o zarobek wogóle bardzo było trudno, przeto zakrzyczeli go zazwyczaj towarzysze pracy, a kilka kieliszków wódki, dodanych gratis na frasunek, uspokajały go w zupełności.

W następstwie tego jednak ci nawet robotnicy, co od lat kilku u Pomeranza pracowali, do niczego nie przyszli, a nędzny ich wygląd i podarte łachmany, stanowiące jedyny przyodziewek, smutnie świadczyły o ich poniewierce. O jakiemkolwiek życiu moralnem tych nędzarzy nie można było już nawet mówić, gdyż wspólne legowisko dla niewiast, mężczyzn i dzieci i ciągłe wysiadywanie w karczmie, podniecały tylko dzikie instynkta tak, że wszelki nierząd, kłótnie, bijatyki, bluźnierstwa i świętokradztwa, kradzieże, przytem i inne moralne upadki było na porządku dziennym.

Antoś zbyt dobrze przekonał się o tym okropnym stanie rzeczy przed założeniem fabryki, aby nie miał tego uwzględnić po jej założeniu. Postanowił tedy po długiej naradzie z miejscowym proboszczem, że robotnicy nie będą dostawać żadnych kwitów do karczmy, i że wogóle nie będzie im wolno do karczmy uczęszczać, a natomiast korzystać będą ze sklepiku wiejskiego, jaki dla nich niemałym kosztem w Grodziskach założył. Obmyślił przytem uczciwe noclegi z uwzględnienem wymagań płci i wieku i pewnym był, że tą drogą zapewni sobie wdzięczność robotników, a dla swej fabryki siły lepsze i pracowitsze.

W taki sposób, pod każdym względem dodatnią rozwijając działalność, Antoś uczuł tem boleśniej krzywdę, jaką mu wyrządziła prasa lwowska wszystkich niemal kierunków, gdyż głos Rzępały nie mógł niestety na opinię publiczną oddziałać, a tem mniej

wywołane przez pisma codzienne uprzedzenia zwalczyć. Rozważał więc właśnie Antoś, coby mu w takim składzie rzeczy uczynić należało, gdy z Ułaszówki, majątku Stanisława Warzyckiego, o pół mili od Grodzisk odległego, przywiózł konny posłaniec list następujący:

„Kochany Antosiu! Rodzice moi zapraszają cię na skromny obiadek w kółku rodzinnem dziś o godz. 3., a ja na pogawędkę w sprawie mej kościarni. Twój Stanisław“.

Liścik ten nietylko odpędził z przed umysłu Antosia zmorę dziennikarskich potwarzy, ale go w dodatku niemało ucieszył. Był to jedyny stosunek sąsiedzki, który od czasu objęcia majątku ze szczególną troskliwością pielęgnował, a bliżsi rodziny Warzyckich utrzymywali, że obok przyjaźni Stasia Warzyckiego pociągał go tam daleko potężniejszy magnes pod postacią uroczego dziewczęcia, jedynej siostry Stanisława, Maryi.

I dziś, wyjeżdżając do Ułaszówki, ubrał się Antoś z wielką starannością i przypilnował osobiście, aby i koczyk nienajgorzej się prezentował.

Stary Alojzy Warzycki, który przy swoich 80 latach i sławie jednego z najlepszych gospodarzy szanowany był w kraju jako prawdziwy patryarcha całego powiatu, cenił pracowitość i zapobiegliwość Antosia i chętnem okiem patrzył na stosunek przyjaźni, łączący go z jego synem Stanisławem, również młodym i energicznym człowiekiem. Byłby może nawet nic nie miał przeciw widocznej sympatyi, jaką Antoś wzbudził od pierwszej chwili w Maryni Warzyckiej, atoli w sprawie tej miała głos decydujący jego małżonka Ewelina z hr. Łotockich, która przy wielu wybitnych przymiotach umysłu i serca miała tę jedyną

słabość, iż uważała Łotockich za ród tak sławny i wielki, że mu chyba książęce w dostojeństwie dorównać mogły. Co do Antosia, nie przypuszczała nawet, aby mógł zamarzyć choćby o jej córce, którą przeznaczyła w duchu dla któregoś z najznakomitszych dygnitarzy w kraju. Przyjmowała go też z życzliwością kobiety, oceniającej gościa z wielu innych względów i zniżającej się doń z tej przyczyny z wysokości rodowego swego dostojeństwa.

Antoś tego w ten sposób nie pojmował, gdyż nie miał sposobności studyować dotąd charakterów kobiecych, a choć mu panna Marya w oko wpadła, wypierał się tego najsolenniej przed samym sobą, albowiem był zdania, że obowiązki obranego zawodu nie pozwalają mu jeszcze teraz myśleć o ożenieniu się.

Jakoż przyjmując dnia tego zaproszenie na obiad do Ułaszówki, ani przypuszczał, że mógłby tam być zniewolony do rozpatrzenia tej kwestyi z innej także strony.

Pod koniec obiadu, w czasie którego rozliczne w ożywionej rozmowie poruszano sprawy, pan Alojzy podniósł kieliszek i rzekł do Antosia:

— Mój wiek sędziwy nie pozwolił mi przybyć na pańską uroczystość, abyś jednak nie myślał, że lekceważę twoje usiłowania, pragnąłem cię widzieć co prędzej w domu moim i pomyślności z całego serca życzyć.

I pani domu podniosła na te słowa swój kieliszek, a panna Marya po białka oczu zarumieniona, tak spojrzała na Antosia, że mimowoli krew mu do głowy uderzyła.

Kiedy następnie, pan Alojzy przyzwyczajony do ulubionej stambułki zabrał gościa na czarną kawę i papierosa do swego pokoju, gdzie Staś tylko zebrania dopełniał, wprost go już zapytał:

— Powiedzże mi, panie Antoni, dlaczego się nie żenisz?

Antosiowi znów krew uderzyła do głowy, choć sam nie wiedział dlaczego i piąte przez dziesiąte wyjaśnił, że ma ogrom pracy i obowiązków.

— A toż dwoje pono prędzej udźwignąć potrafi, aniżeli jedno.

— Tak mówią, ale wprzód trzeba dom urządzić.

— Ty urządzisz, a kobieta poprzewraca wszystko po swojemu, lepiej już doprawdy, abyście się razem urządzali.

— Sam będąc, mogę zaoszczędzić — bąknął Antoś.

— Otóż to właśnie najfałszywsza zasada, a już zbijać cię nie będę, bo mi się drzemka po objedzie należy. Powiem ci tylko, kochany panie Antoni staropolską zasadę: im warstat pracy większy, im dom obszerniejszy, tem niezbędniejsza dobra żona, bo bez niej nic zaoszczędzić niepodobna, a wielebyś zaoszczędził, stokroć więcej rozkradną źli ludzie. Bądźże zdrów, panie Antoni, a pamiętaj, że źle człowiekowi samemu na świecie.

Antoś pocałował w ramię staruszka i odszedł ze Stasiem, aby za chwilę pojechać z nim na drugi koniec wsi, gdzie postawiono budynki przeznaczone na fabrykę nawozów sztucznych z kości, czyli jak pospolicie mówią: kościarnię.

Pewny był, że mu przez drogę Staś wytłómaczy zagadkowe słowa ojca, atoli tenże rozpoczął natychmiast ożywioną z nim rozmowę na temat kościarni, prosząc, aby za dni kilka pojechał z nim do Lwowa, gdzie na walnym zjeździe towarzystw rolniczych pragnął Warzycki przedstawić plan swej fabryki i zapewnić sobie moralne poparcie obywateli.

Antoś przyrzekł oczywiście wziąć udział w zjeździe i przygotować nawet statystyczne dane do ewentualnej dyskusyi.

Oglądnęli następnie budynki fabryczne, magazyny i kancelaryę i pożegnali się wreszcie z uczuciem szczerej radości, że podejmując pracę na polu przemysłowem, mogą liczyć na wzajemne poparcie.

Gdy koczyk Antosia znikał na zakręcie drogi, Warzycki chustką jeszcze powiewał.

Atoli w zamyślonych oczach Antosia stała zarumieniona twarzyczka Maryni, jaką widział w chwili, gdy piła jego zdrowie, a w uszach brzmiały mu słowa pana Alojzego: źle człowiekowi samemu na świecie.

IV.

Akcya obywatelska i związek żydowski.

W biórach Banku książęcego, w którym w dnie zwyczajne zjawiała się zaledwie mała garstka klientów, teraz w okresie trwania kadencyi sejmowej ruch nadzwyczajny, przypominający dobre czasy tego banku, gdy w epoce pierwszego rozwoju Towarzystwa kredytowego ziemskiego pośredniczył w wyrabianiu pożyczek hipotecznych nieobdłużonej jeszcze szlachcie, a nie mając konkurencyi Banku centralnego i Banku obywatelskiego, skupiał u siebie cały ruch wekslowy. W ciągu lat to wszystko gruntownej uległo zmianie, tylko nadzwyczajne zdolności pierwszego dyrektora Moreckiego i ogromny wpływ głównego akcyonaryusza a zarazem prezesa Banku księcia Dłuskiego zapewniały tej instytucyi niezbędną powagę i udział w najważniejszych operacyach finansowych naszego kraju.

Ilekroć też zbierał się Sejm krajowy, komnaty bankowe zdawały się rozszerzać, tyle tam zjawiało się ogorzałych twarzy, więcej po radę do dyrektora Mo-

reckiego, spieszącego chętnie z pożądaną usługą, aniżeli dla zawierania transakcyi. Ale i interesa trafiały się niezłe.

Książę prezes, cały rok nieobecny, w takich czasach zjawiał się także w przyległym gabinecie prezydyalnym, a w toku rozlicznych narad były błyski dobrej woli i pożytecznej inicyatywy. Książę był przysłowiowo skąpy i o interesa banku dbały, ale że miał głowę nielada, wspólnie z Moreckim wymyślił zawsze coś takiego, co i obywatelstwu wiejskiemu i przemysłowcom korzyść przynosiło. W niejednym wypadku rezultaty byłyby nawet arcydodatnie, ale książę nie lubiał ryzykować, a milionowy zebrawszy majątek, skłaniał się raczej do powolnej likwidacyi banku, a przynajmniej do ograniczenia jego agend, aniżeli do podejmowania korzystnych nawet przedsięwzięć. Dyrektor Morecki musiał przeto nieraz lawirować i pokrywać tę apatyę księcia pana, która w jego wieku i stanie zdrowia niezbyt silnym znajdowała po części uzasadnienie.

W dniu, w którym wprowadzamy czytelnika do tej instytucyi, książę prezes spodziewanym był w biórach banku i dlatego ruch tam panował bardzo ożywiony.

W głównej kancelaryi koło zakratowanych okien kasowych przechadzali się rozmaici petenci, przeważnie wiejscy obywatele z ogorzałemi twarzami, a dyrektor Morecki rozmawiał to z jednym to z drugim, starając się zręcznie osłabić nadzieje jednych i zmniejszyć wymagania drugich.

Najdłużej jednak zatrzymał się Morecki przy hrabiu Bombalskim, który mu zaprezentował Stanisława Warzyckiego, pragnącego pozyskać księcia dla sprawy nowo założonej przez siebie kościarni.

Przemysłowiec Dziryt, właściciel fabryki cykoryi, także żywiej nieco zainteresował Moreckiego. Obaj życzyli sobie moralnego poparcia a nie żądali kredytu. Takich petentów cenił dyrektor Morecki nadzwyczajnie i wysilał swój umysł, aby nietyle dowieść swego wpływu, ile coś dodatniego dla petentów wyrobić.

Wreszcie drzwi wchodowe otworzyły się i pokazała się w nich skromna postać szczupłego mężczyzny o wybitnych rysach rodowych. Malowała się w jego twarzy pewność siebie i poważne zamyślenie, które mu pozwalało nikogo nie dostrzec i uniknąć w ten sposób zbyt długich powitań.

— Książę, książę — powtarzano sobie z ust do ust, gdy tymczasem dyrektor Morecki postąpił szybko naprzód, wprowadzając dostojnego prezesa do gabinetu prezydyalnego.

— Jak stoją nasze akcye? — pytał książę, zasiadając we fotelu i wygodnie zakładając nogę na nogę.

Dyrektor Morecki, z papierami w ręku, długo mu rzecz wyjaśniał, a książę słuchając referatu, to brwi marszczył, to czoło rozpogadzał, to znów niecierpliwym ruchem ręki brodę pociągał.

— Tylko nie angażujcie się zanadto w Borysławiu i miejcie się na ostrożności z Turskim — odezwał się wreszcie książę, rzucając wzrokiem na pozór obojętnym, a w gruncie rzeczy badawczym na zestawienie rachunkowe.

— Punkt ciężkości leży w tem — mówił dalej, nie spuszczając oka z rachunków — aby Turski nie mógł się nigdy dowiedzieć jakie dane mamy w ręce, bo spryt ma, chociaż mu wiedzy i rutyny nie dostaje.

— Sprawa konwersyjna z Towarzystwem kredytowem ziemskiem dowiodła naszej wyższości i samodzielności.

— Powiodło się to panu istotnie znakomicie, przyznaję.

— Projektowane Towarzystwo handlowe rokuje także piękne nadzieje.

— Myśl genialna — zawołał książę — ale żydzi nie powinni się zmiarkować, że to trochę przeciw nim skierowane.

— Starałem się wyjaśnić dyrektorom Banku obywatelskiego.

— Czyli raczej, mów pan żydowskiego.

— Trzymając się zasad księcia — odparł Morecki — używam zawsze wyrażeń najoględniejszych.

Książę uśmiechnął się łaskawie.

— Więc im wyjaśniłeś...

— Że Towarzystwo handlowe może i żydom wyjść na pożytek.

— Ale zapewne nie uwierzyli.

— Wyznaję, że się obawiają nieco.

— Trochę się bać powinni, to nie zaszkodzi, byleby nie pchnąć ich do namiętnej opozycyi, gdyż mogłoby to zaszkodzić naszym akcyom.

— Książę stanowi dla nich gwarancyę.

— Toteż pragnę pozostać na uboczu, nie wysuwajcie mnie naprzód, weź pan raczej Turskiego i Haczykiewicza.

— Byłoby to niezłe ze względu na żydów, ale Turski i Haczykiewicz gotowi rzecz zwichnąć.

— Nie trzeba im wszystkich kart odkrywać.

— Jak raz w to wejdą, to je i tak poznają.

— Ale zaangażujemy przez to Wielki wydział i Bank centralny, weź ich pan do głównego zarządu. W ostatecznym razie przeciw nim to już i ja bym stanął do walki.

— W takim razie bez obawy wezmę ich do współdziałania.

— Raczej do zafarbienia firmy — zauważył książę.

— Rozumiem — odparł dyrektor Morecki.

— Będziecie mnie dziś długo męczyć? — pytał książę.

— Zebrało się mnóstwo osób.

— Zmiłuj się, mam i tak posiedzenie Towarzystwa gospodarskiego.

— Przyszedł Warzycki.

— Ojciec?

— Nie, syn. Przyprowadził go Bombalski, chce pomówić z księciem o nowej kościarni.

— Czyli innemi słowy: nowa wojna ze żydami, a ja...

— Niechże książe będzie spokojny, niepodobna odprawić ich z niczem.

— Poproś tych lekkoduchów.

Morecki spojrzał pytającym wzrokiem.

— Szlachcic, średnio zamożny — tłómaczył książę — chce podjąć walkę z żydostwem na terenie, na którym usadowili się oddawna i mają najwyborniejszą do usług organizacyę. Czy to nie szaleństwo?

— Jeden padnie i drugi padnie — odparł Morecki — ale trzeci się utrzyma.

— Chcą więc paść wśród zawodu — z naciskiem rzekł książę — niemałe to poświęcenie, warto z nimi pomówić.

Po chwili hr. Bombalski prezentował Stanisława Warzyckiego.

— Ojciec pański zdrów — pytał książe Stanisława wskazując przybyłym miejsca.

— Dziękuję księciu, nogi go nieco bolą i dlatego nie mógł przyjechać na dzisiejsze zebranie Towarzystwa gospodarskiego.

— Nachodził się on dość przez lat 80 — zauważył książę — a co to był za gospodarz!

— Dziś jeszcze nie ociąga się od pracy — wtrącił Bombalski.

— Ale pan, jak słyszę — rzekł książę, zwracając się znów do Stanisława — zrywasz podobno z tradycyą ojcowską.

— Przeciwnie, powiększam tylko zakres pracy.

— Dużo pan wkładasz w kościarnię.

— Stotysięcy.

— Żal mi pana, możesz wiele stracić.

— Nie ma gospodarza wiejskiego, któryby nie potrzebował sztucznych nawozów — odezwał się znów Bombalski — a przekonany jestem, że dobra szlachecka firma będzie większą przynętą od niemieckich ze Szląska lub naszych żydowskich.

Książę skrzywił się nieznacznie.

— W stosunku do niemieckich fabryk chcielibyście przeto liczyć na czynnik patryotyczny, którego jednak oficyalne sfery nie będą mogły w akcyi ekonomicznej uwzględnić. Panowie nie powinniście zapominać, że kraj nasz jest integralną częścią państwa, w którem żywioł niemiecki ma wpływ poważny.

— Żaden rząd — odezwał się nieśmiało Stanisław — nie może stawiać przeszkód nowym przedsięwzięciom przemysłowym, które ostatecznie powiększają siłę ekonomiczną państwa.

— Zgadzam się najzupełniej — odpowiedział książę — atoli oceniając pańską fabrykę na równi z fabrykami na Szląsku, w Austryi dolnej i w Czechach, przez to samo przeciwstawi panu rząd konkurentów potężnych, którzy już wskutek wieloletniej działalności mogą dać cenę niższą, a przedewszystkiem żadnego nie potrzebują od rządu poparcia. Powiedzże pan sam czy to nie będzie stanowić przeszkody do jakiejkolwiek akcyi oficyalnej za panem?

— Nie myślę też zwracać się do sfer rządowych.

— Będziesz pan musiał, bo pomyśl tylko, że już podatki i taryfy kolejowe...

— Najważniejszą rzeczą wedle mego zdania jest solidarne poparcie obywatelstwa — zawołał Bombalski.

— Ale i najtrudniejszą — odparł książę — trudniejszą niż uzyskanie subwencyi rządowej lub oficyalnego zamówienia dla dóbr kameralnych.

— Nie pojmuję przyczyny tego pesymizmu — replikował Bombalski.

— W gruncie rzeczy obywatelstwo jest solidarne — zauważył dyrektor Morecki.

Książę z lekka się uśmiechnął.

— A czy to nie wiecie, że każdy szlachcic ma swojego żyda?

— Aby się nim posługiwać — wtrącił spiesznie Bombalski.

— Niech i tak będzie — z widocznem przejęciem mówił książę — szlachcic posługuje się żydem, zadowolony, że ma pokornego totumfackiego, ale ten żyd nie działa bezmyślnie, zapewniam pana.

— Przyznaję się otwarcie, że i ja mam mojego faktora Szlomę — odezwał się znów Bombelski — ale ten chyba prochu nie wymyśli. Spełnia rozkazy jak manekin.

— Zaraz to panu wyjaśnię — rzekł książę — uderzając w gałkę elektrycznego dzwonka.

Po chwili wszedł urzędnik.

— Panie Mirtenbaum, niech-no pan do zapisków tajnych popatrzy, dla kogo pracuje Szloma, faktor pana hr. Bombalskiego?

Urzędnik skłonił się i wyszedł. Hrabia zaśmiał się.

— Ależ dla mnie — rzekł.

— Cierpliwości trochę — odparł książę — czemże mogę panom służyć?

— Pan Stanisław — tłómaczył hrabia — pragnie uzyskać moralne poparcie Towarzystwa gospodarskiego.

— Na to zgoda, cóż więcej?

— Powtóre zaś, radby uprosić księcia...

— Abyś książę raczył dać mi pierwsze zamówienie dla rozległych dóbr swoich — dokończył już sam Stanisław.

— Niepodobna — odparł książę — wiążą mnie kontrakta, a przytem ze względów publicznych w tej właśnie chwili nie chcę wywoływać u żydów mniemania, że rozpoczynam przeciw nim kampanię. Później zrobię co będę mógł, na razie nie żądajcie rzeczy niemożliwych.

Wszedł Mirtenbaum.

— Znalazłeś pan? — zapytał książę.

— Szloma Kurzer, czy ten?

Hrabia potakująco skinął głową.

— Jest wiernikiem pana Pomeranza — rzekł urzędnik, opuszczając gabinet.

— Powiedziałem wam tedy wszystko szczerze — zauważył książę — wyciągnijcie stąd konsekwencye, a o dalszą pomoc napastujcie śmiało mego przyjaciela, dyrektora Moreckiego. Sam muszę spieszyć na zebranie gospodarskie.

Bombalski ze Stanisławem wychodzi. Ten ostatni z niemałem przygnębieniem. Morecki prosił księcia, aby jeszcze pomówił z Dzirytem.

— Skromny, pracowity przemysłowiec — mówił — nasz zwolennik, nie wypada go zrażać.

Książę dał znak potakujący, a za sekundę wołał już do wchodzącego Dziryta:

— Kochany panie, przepadam za kawą, ale bez cykoryi.

— A ja radbym właśnie zainteresować Towarzystwo gospodarskie sprawą plantowania cykoryi.

— Czyż to korzystne dla gospodarzy?

— Przynosi znacznie większy dochód niż buraki cukrowe.

— Spróbuję zasiać tam parę morgów, zanotuj kochany dyrektorze, jakże tam finanse panie Dziryt.

— Brak kapitału obrotowego.

— A Bank centralny od czego?

— Założono go dla poparcia przemysłu, ale przemysłowcy ledwo że się tam mogą docisnąć.

— Przecież ten Turski wasz, z inteligencyi, nie czuć go szlachcicem, powinien iść wam na rękę.

— Zarzucić mu nic nie mogą — mówił Dziryt — ale najprzykrzejsze, że spraw nie zgłębia, że się na nich nie zna.

— A co? nie mówiłem — zauważył książę z uśmiechem do Moreckiego — ma spryt, a brak mu wiedzy fachowej.

— Poparcie księcia znaczyłoby wiele — odezwał się Dziryt.

— O jakież poparcie idzie panu?

— Dyrektor Turski odmawia w zupełności kredytu, nie wierząc w powodzenie tego rodzaju przemysłu, jeżeli jednak książę...

— Ja mógłbym pana tylko dobić, bo jeżeli przemówię za panem, dyrektor Turski zaraz mi powie: a dlaczegoż Bank książęcy kredytu odmawia, ja zaś, jak pan wiesz, w nowe interesa nie wchodzę.

— Kilka tysięcy mogłoby zadecydować o powodzeniu fabryki, prosił Dziryt.

Morecki wtrącił:

— A możeby poszturmować do Haczykiewicza.

— Tak, myśl wyborna — odparł książę — to członek komisyi przemysłowej, niechże pan, kochany dyrektorze, napisze bilecik.

Morecki szepnął coś księciu, który natychmiast poprawił się.

— Albo nie, ja zaraz sam zatelefonuję. Niech mnie pan połączy, dyrektorze.

Sygnał odpowiedział.

Książę mówił przez telefon:

„Czy to szanowny radca?“

„Do usług, z kimże mówię?“

„Dłuski“.

„Uszanowanie księciu“.

„Do licznych kłopotów dodaję nowy. Zacny fabrykant pan Dziryt, pan go zna?“

„Znam, mości książę“.

„Potrzebuje pańskiego gorącego poparcia“.

„Nie był u mnie“.

„Chciałem wprzód uprzedzić o nim, dzielny człowiek“.

„O cóż chodzi?“

„Niech się pan nim zajmie, ale tak, jakto pan umie, z całą energią, a ze swej strony uczynię także wszystko możliwe. Zgoda?“

„Niechże przyjdzie“.

„Po zebraniu gospodarskiem“.

„Więc chcecie obrady zaprawić cykoryą“.

„Ciężkie czasy panie radco, nie stać nas na mokę. Do widzenia“.

„Sługa najniższy, księcia pana“.

Dziryt odchodząc, złożył księciu gorące podziękowanie, potem tenże uścisnąwszy Moreckiego, podniósł głowę do góry i nie zwracając uwagi na ukłony

dalszych petentów, z którymi już nie miał czasu mówić, udał się miarowym krokiem na obrady Towarzystwa gospodarskiego.

* * *

Na walne zebranie członków Centralnego krajowego towarzystwa gospodarskiego udałem się w towarzystwie Antosia, który po mnie w tym celu do bióra przyszedł. Byłem mu w duchu szczerze wdzięczny, gdyż pierwszy raz nadarzyła mi się sposobność przypatrzeć się fizyonomii zebrania, złożonego z samych obywateli wiejskich i przysłuchać się naradom, o których ważności i doniosłości byłem podówczas głęboko przeświadczonym.

— Szarlataneryа niedouczonej inteligencyi, tłómaczyłem przez drogę Antosiowi, jest mi już zbyt dobrze znaną, abym przywiązywał wagę do szumnych haseł demokracyi i postępu, jakiemi na liczniejszych zebraniach obudzają ogólny zachwyt trybuni-samozwańcy, osłaniający sztuczną draperyą frazesów samolubne dążenia do zajęcia wpływowych i dominujących stanowisk. Obywatelstwo jednak...

— Nie łudź się tylko zbytecznie — odezwał się Antoś.

— Sam będąc obywatelem ziemskim nie odmówisz zapewne tej warstwie wyższej inteligencyi, znajomości życia i bezwzględnego patryotyzmu.

— Mój drogi — odparł Antoś — patryotyzmu dowiodło obywatelstwo we wszystkich chwilach narodowych uniesień. Gdy szło o to, aby składać krwi i mienia ofiarę, kwiat młodzieży obywatelskiej szedł śmiało w ogień, a olbrzymie fortuny na cele skarbu narodowego, na podniesienie oświaty w kraju, na instytucye ogólnego pożytku. Ale przyznam ci się, że patrząc bez uprzedzeń, nie widzę praktycznego

patryotyzmu, który zasadzam na roztropnem a zapobiegliwem przedsiębraniu wszystkich środków do utrzymania ziemi we własnych rękach, do obrony własności wiejskiej, do podniesienia wreszcie kraju drogą rozwoju rolnictwa i przemysłu.

— Zobaczysz ten patryotyzm na dzisiejszem posiedzeniu.

Antoś w głos się rozśmiał.

— O naiwności! — zawołał.

Chciałem mu już wytknąć jednostronność, gdy na rogu ulicy przyłączył się do nas Stanisław Warzycki, który z panem Dzirytem szedł również na zebranie gospodarskie.

— U ciebie mina nietęga! — mówił Antoś do Warzyckiego.

— Bo mnie nieco zimną wodą oblał książę prezes.

— Z innymi nie mówiłeś?

— Prawie nie ma z kim. Zjazd bardzo nieliczny.

— Przecież mamy w kraju kilka tysięcy obywateli wiejskich — odezwałem się.

— Którzy jednak w życiu publicznem nie biorą udziału.

— Dlaczego?

— Nie chcą się narażać na ataki dzienników. Być pomówionym o wstecznictwo i nepotyzm za najlepsze chęci i rzeczywistą pracę, nie należy do przyjemności.

— To nie usprawiedliwia zupełnie apatyi.

— Ale każdy ma rodzinę, którą kocha, czyż może dopuścić, aby jego życie prywatne komentowane było w rozmaitych piśmidłach?

— Dlaczegoż nie obawiają się tego książę prezes, książę marszałek, hr. Bombalski?

— Bo prasa nie atakuje nigdy tych co mają za sobą siłę pieniężną.

— Ale całe obywatelstwo w zwartym szeregu miałoby tę siłę!

— Zapewne, ale nie mamy człowieka, któryby chciał i mógł być Deakiem polskiego obywatelstwa.

— A książę Dłuski?

— Jest szefem licznej dynastyi, pragnie utrwalić jej przyszłość i dlatego nie chce ryzykować nic więcej, prócz tego, do czego go zmusza obecne stanowisko.

— A dzisiejsze zebranie?

— Przypatrzysz mu się z bliska. Dlaczego mam pana z góry źle uprzedzać.

Walne zebranie zapowiedziane było na godzinę jedynastą, gdy przeto wchodząc do przedsionka, spojrzałem na zegarek i przekonałem się, że już była dwunasta, mimowoli odezwałem się do towarzyszy:

— Panowie, spóźniliśmy się.

Antoś i Warzycki uśmiechnęli się, kiwając znacząco głowami.

Mimoto jednak biorąc za klamkę, wstrzymałem niemal oddech, aby nie przerywać obrad. Atoli zaraz na wstępie spotkało mnie rozczarowanie. W dużej sali Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w której miało się odbyć zebranie, zobaczyłem zaledwie dwadzieścia kilka osób, spotykanych niemal na wszystkich w mieście zebraniach, rozmawiających w małych grupach o sprawach potocznych. Jedna grupa rozprawiała o wyścigach, druga spierała się o wynik wczorajszej partyi taroka, ci ogadywali szaleństwa jakiegoś młodego kobieciarza, tamci znów krytykowali księcia marszałka. Gdym z kilkoma rozpoczął rozmowę o rolnictwie, spojrzeli na mnie z widoczną niechęcią i wnet na inny przeszli temat. Zauważyłem natomiast, że bardzo

łaskawie przyjęte były komplementa, z jakimi sprawozdawcy dzienników zwracali się do niektórych osobistości, a gdym przechodził koło Mühlinga, tenże wyjął z zanadrza kilka arkuszy zapisanego papieru i rzekł z poczuciem reporterskiej dumy:

— Mam już wszystkie przemówienia.

— Jakto, zanim zostały wypowiedziane?

— A cóż pan chciałeś, abym się dał wyprzedzić Pysznickiemu?

— Więc są tu zwolennicy „Pukawki“?

— Nie panie, są tacy, co się z nami liczą.

Trudno było rozmawiać dłużej. Na estradę wchodzili właśnie: komisarz rządowy, książę prezes Dłuski, książę marszałek, ustępujący wiceprezes Strasza, członkowie wydziału: hr. Bombalski, docent uniwersytetu Lurs, redaktor Pysznicki i kilka ogorzałych zamiejscowych twarzy.

Garstka zebranych na sali skupiła się w pierwszych rzędach krzeseł.

Książę prezes spojrzał po zebranych, jakby ich liczbę ważył, potem powiódł zamglonym wzrokiem po ścianach i po suficie jakby szukając natchnienia, chrząknął dwa razy jakby odpychając ciężkość jakąś, co mu na piersiach spoczęła i począł mówić. Wyznaję szczerze, że mówił bardzo pięknie, że rozumnie tłómaczył doniosłe znaczenie zgromadzenia i cel towarzystwa, a gdy się rozgrzał nieco i z zapałem zestawił przeszłość kraju z chmurną i niepewną przyszłością, i mnie i wszystkich porwał.

Skończył wreszcie bardzo długą przemowę, w której jednak żadnego konkretnego dążenia nie wyraził, i podziękowawszy ukłonem za gorące oklaski, udzielił głosu gospodarzowi domu prezesowi Towarzystwa kredytowego ziemskiego JE. hr. Nassockiemu. Już z góry

salwą oklasków powitany tłómaczył Jego Ekscellencya w długim wywodzie zgromadzonym, że z radością ich wita w gmachu towarzystwa, które choć w innym kierunku zmierza jednak także do dobra obywatelstwa.

Z kolei również bardzo długo mówił komisarz rządowy, zapewniając o życzliwości rządu.

Nastąpiło sprawozdanie za rok upłyniony. Czytał je dobrą godzinę sekretarz Granowski, któremu Opatrzność nie udzieliła jednak daru wymowy, gdyż jąkał się i szeplenił w sposób tak niemożliwy, że już po kwadransie nikt go nie słuchał, a zacząwszy od księcia prezesa, skończywszy na członkach, wszyscy półgębkiem rozmawiać poczęli.

Przysunąłem się nieco do pana sekretarza, aby choć trochę połapać z jego referatu, ale prawie co słowo słyszałem: petycya do Wydziału krajowego, korespondencya z Wydziałem powiatowym, odpowiedź Ministerstwu sprawiedliwości, prośba o podwyższenie subwencyi, a w ostatecznym rezultacie szczere wyznanie, iż wydział czynił co w jego mocy, że pisał na wszystkie strony, że zewsząd odbierał zapewnienia życzliwości, że przygotowuje nowe petycye, że stara się o powiększenie dotacyi krajowej i rządowej, ale że z powodu nielicznego stosunkowo, a w niektórych okolicach wcale żadnego udziału obywatelstwa, pozostawia dalszej przyszłości rozwiązanie ważnych zadań towarzystwa gospodarskiego.

Pot mi wystąpił na skronie, gdy pan Granowski skończył czytać, gdyż oczekiwałem bardzo przykrej dyskusyi, atoli ku memu zdziwieniu pan referent zebrał nieskończone oklaski, a członek zgromadzenia Kowaczewski przemówił w te słowa:

„Słyszeliście panowie (tu ozwały się zewsząd głosy potakiwania) jak wiele pracy zadawał sobie wydział

towarzystwa, ile to poniósł trudu i z jak nadzwyczajną ofiarnością dążył do najświetniejszych rezultatów. Dlatego sądzę, iż będę rzecznikiem całego zgromadzenia, jeżeli wniosę całemu wydziałowi nasze uznanie i podziękowanie“.

Ogólny aplaus towarzyszył tem słowom.

Książę prezes zwrócił się do zebranych ze stereotypowem pytaniem.

— Żąda kto głosu?

Podniósł się jakiś niski człowieczyna, w wyszarzanej kurtce.

— Proszę o głos.

Książę skinął na znak przyzwolenia.

— Stawiam poprawkę — rzekł mowca — abyśmy osobno wyrazili uznanie Jaśnie Oświeconemu księciu prezesowi i pragnę to uzasadnić.

Nowe oklaski. Prezes dzwoni i ustępuje krzesła prezydyalnego wiceprezesowi, panu Straszy.

Mały człowiek pieje hymn pochwalny na cześć księcia, poczem wniosek przechodzi jednomyślnie, a książę napowrót objąwszy przewodnictwo, dziękuje zebraniu za zaufanie i obwieszcza, że na porządku dziennym wybór nowego wiceprezesa.

Następuje ogólne poruszenie, a wszystkich oczy zwracają się na pana Straszę, z którego twarzy przebija się zawstydzenie i skromność młodej dziewczyny. W tejże chwili zajmuje mownicę książę marszałek i wyjaśnia zebranym, że towarzystwo może się poszczycić niebywałą zdobyczą, iż jego długoletni wiceprezes, który około gospodarstwa krajowego niezliczone położył zasługi, powołany został na stanowisko referenta kultury krajowej w Ministerstwie rolnictwa.

Wyjaśnienie to daje powód do całogodzinnych przemów na temat zasług pana Straszy, którego na

wniosek księcia marszałka zaszczyca zgromadzenie godnością członka honorowego.

Następuje akt dziękczynienia pana Straszy, który znów w długiej mowie wygłasza program swej działalności na nowem stanowisku. Wysłuchałem z uwagą tego programu, ale dowiedziałem się tylko tyle, iż pan Strasza nie spodziewa się zdziałać wiele, będzie jednak starał się zrobić, co wedle sił potrafi.

Z kolei wniósł redaktor Pysznicki, aby wiceprezesurę złożyć w ręce hr. Bombalskiego. Przyjęto okrzykami radości, a hr. Bombalski wypowiedział przy tej sposobności swoje zapatrywanie na sprawę rolnictwa w kraju.

Słuchano go już z mniejszem przejęciem, bo wszyscy pomęczeni byli długiemi poprzedniemi mowami. Przyznaję się, że ja sam pragnąłem, aby już raz rozpoczęła się rzeczowa dyskusya. Jakoż doczekałem się. Po przemowie hr. Bombalskiego książę prezes oznajmił:

— Na porządku dziennym sprawa nowych przedłożeń rządowych o podatku zarobkowym. Referent profesor Lurs ma głos.

Oj Boże! co to był za referat! Kiedy nań dziś jeszcze wspomnę po dłuższym czasu upływie, zdaje mi się, że mnie odurza woń kadzideł wypalonych do uszu komisarza rządowego i że mam w ustach smak lukrecyi, który mi do wszystkiego apetyt odbiera. Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego panagiryka, którego wiersz każdy sławił mądrość i inicyatywę rządu i kazał radować się zgromadzonym, iż po uchwaleniu tego projektu rządowego spłyną na nich nieprzebrane zdroje dobrodziejstw.

Spojrzałem po zgromadzonych. Słuchali apatycznie pięknych retorycznych zwrotów, a tylko książę-

prezes uśmiechał się ironicznie, niecierpliwie gładząc brodę.

Ale muszę oddać sprawiedliwość zgromadzeniu. Znalazł się przecież człowiek odważniejszy, który zabrawszy głos po panu referencie, zgniótł go na miazgę.

Mowcą tym był jeden z posłów do Rady państwa. Będąc przytem zawołanym gospodarzem, wykazał licznymi przykładami, że opodatkowanie tych pomocniczych gałęzi przemysłu, które są podporą gospodarstwa wiejskiego, równa się kompletnej ruinie właścicieli mniejszych gospodarstw i nałożenia ciężkich kajdan obywatelom majętniejszym. Jeśli bowiem rząd chce opodatkować każdą krowę powyżej pewnej oznaczonej liczby i każdą produkcyę pomocniczą, to wobec systemu fiskalnego chłop zrezygnuje z przychowku i zaniecha wszelkiego przemysłu domowego, a co dziesiąty obywatel będzie wolał majątek wydzierżawić, niż narażać się na ustawiczne szykany władz skarbowych.

Sądziłem, że tak ważna sprawa wywoła ożywioną dyskusyę.

Atoli na zapytanie księcia-prezesa, czy żąda kto głosu, nikt się nie odezwał.

— Przystępujemy tedy do głosowania — przemówił książę. Kto jest za wnioskiem pana posła, aby oświadczyć się w petycyi do Rady państwa przeciw nowemu projektowi rządowemu o podatku zarobkowym, zechce rękę podnieść.

Podniosły się trzy ręce w górę.

— Przypuszczam — rzekł książę, ratując sytuacyę — że panowie nie uważali o jaki wniosek chodzi. Aby więc wyjaśnić, podaję pod głosowanie wniosek referenta, aby w petycyi poprzeć projekt rządowy.

Znów podniosły się do góry trzy inne ręce.

Książę uśmiechnął się ironicznie.

— Nie wiem — rzekł — jak panowie zapatrujecie się na sprawę.

Powstał szmer po tych słowach i żywsze spory przy stole prezydyalnym.

Wreszcie zabrał głos redaktor Pysznicki.

— Wnoszę — rzekł — aby sprawę odesłać wydziałowi do rozważenia.

Poseł, jedyny przeciwnik projektu, odezwał się.

— Jeżeli mamy zapobiedz ustawie, trzeba działać szybko.

Równocześnie ozwały się głosy: zamknąć dyskusyę.

— Kto jest za przekazaniem sprawy wydziałowi — pytał książę — zechce rękę podnieść.

Prawie wszyscy podnieśli ręce.

Poseł-opozycyonista opuścił zagniewany salę.

— Na porządku dziennym wnioski członków! — odezwał się prezes.

Słowa te przyjęto ogólnem niezadowoleniem. Wszyscy spoglądali na zegarki.

Hr. Bombalski zapewnił dla uspokojenia wzburzonych umysłów, że są tylko dwa wnioski i że lepiej zaraz je załatwić, niż zbierać się wieczorem, gdyż wielu z obecnych zaproszonych jest na obiad, jaki na cześć pana Straszy wydaje resursa szlachecka.

Słowa te zniewoliły większość do jakiejtakiej uwagi.

Hr. Bombalski przedstawił sprawę nowej kościarni Stanisława Warzyckiego, wyjaśniając doniosłość faktu, że obywatel ziemianin, którego imię powszechnie jest cenione, i którego ojciec wsławił się jako jeden z najlepszych gospodarzy, z ogromnym wkładem założył

kościarnię, której celem jest dostarczanie obywatelstwu nawozów sztucznych z mączki kościanej po tanich cenach i w dobrym gatunku. Ponieważ zaś założyciel jest tu obecny, zapraszam go przeto, aby sam sprawę swoją panom przedstawił, gdyż tylko przy ogólnem poparciu całego obywatelstwa przedsięwzięcie jego może być uwieńczone dodatnim rezultatem.

Bliżsi znajomi Stanisława Warzyckiego potakiwali tym słowom.

Większość pragnęła jednak zakończenia obrad. Prezes dzwonkiem o ciszę bezskutecznie upraszał, a w takich okolicznościach Stanisław Warzycki wzbraniał się wyjść na mownicę.

— Głosować, głosować! — ozwało się z kilku stron.

— Nie przedłożono dotąd wniosków — zauważył książę prezes.

— Wnoszę, aby sprawę przekazać wydziałowi — zaproponował jeden z obecnych.

— A ja wnoszę zamknięcie dyskusyi — zawołał mały jegomość w wytartym tużurku.

— Proszę o głos! — donośnie ozwał się Grodziski.

Wszyscy spojrzeli na młodego mowcę, który pierwszemi już słowami uciszył mruczenie najbardziej niecierpliwych.

„Jeżeliśmy się po to zjechali, mówił Grodziski, aby żadnej sprawy głębiej nie rozważyć, szkoda było naszego trudu. Sądzę, że ta sprawa, którą hr. Bombalski przedstawił, zasługuje na moment cierpliwej uwagi. Wasz, wypróbowany panowie i w ciężkich czasach doświadczony patryotyzm, wskaże wam niewątpliwie, że rolnik dobrze czyni, odwołując się do rolników w żywotnej sprawie tak bardzo zaniedbanego u nas rolnictwa“.

— Brawo, brawo! — krzyczeli teraz ci, co przedtem szemrali.

Grodziski mówił dalej.

„Jeśli kto z nas wkłada 100.000 złr. w przemysł rolniczy, to dotyczy to naszego wspólnego dobra. Sprzeciwiam się więc odesłaniu sprawy do wydziału, gdyż my sami sprawę dostatecznie znamy i należycie oceniamy, a proponuję natomiast, abyśmy uchwalili nasze zadowolenie z powodu założenia fabryki nawozów sztucznych przez pana Stanisława Warzyckiego i polecili wydziałowi, ażeby imieniem ogólnego zgromadzenia w osobnym cyrkularzu polecił nową fabrykę względom obywateli wiejskich“.

Jednomyślnie ozwały się oklaski.

— Wniosek przyjęty! — zadecydował książę.

Wszyscy zaczęli wstawać i gotować się do wyjścia.

Książę znów ich powstrzymał.

— Panowie! jeszcze jedna sprawa — przemówił miarowym głosem, nakazującym posłuch — znany nam wszystkim przemysłowiec, pan Dziryt, pragnie, aby ogólne zebranie zajęło się sprawą plantacyi cykoryi.

— Pan Dziryt nie jest naszym członkiem — tłómaczył jeden z obecnych.

— Sprawa wchodzi w zakres gospodarstwa wiejskiego — odezwał się hr. Bombalski — jestem za jej rozpatrzeniem.

— Panowie — ozwał się patycznie jeden z obywateli — stanę zawsze w obronie każdej dobrej sprawy, atoli wedle naszego regulaminu tylko członkowie mają prawo stawiać wnioski na ogólnem zebraniu.

— Podejmuję wniosek! — zawołał Warzycki.

— Regulamin powiada, że wnioski należy przedstawić wpierw wydziałowi — przemówił dr. Lurs.

— Tak jest, tak jest! — brzmiało zewsząd.

Wszyscy mieli już kapelusze w rękach.

— Czy pan stawia formalny wniosek — zapytał książę, zwracając się do Lursa.

— Stawiam wniosek przekazania sprawy pana Dziryta wydziałowi do rozpatrzenia i przedstawienia na najbliższem ogólnem zebraniu.

— To jest za rok! — zawołał Stanisław Warzycki.

Książę zadzwonił.

— Kto jest za wnioskiem pana Lursa.

Prócz Stanisława Warzyckiego, Grodziskiego i Bombalskiego głosowali za nim wszyscy.

— Porządek dzienny wyczerpany! — oznajmił prezes — książę marszałek ma głos.

— Z prawdziwą przyjemnością — mówił książę-marszałek — brałem udział w obradach tego zgromadzenia, które okazało tyle roztropności w rozpatrywaniu ważnych zagadnień dotyczących rolnictwa. Dzięki wam panowie, towarzystwo gospodarskie będzie się i nadal pomyślnie rozwijać z niemałym dla kraju pożytkiem. Zanim się jednak rozejdziemy pozwólcie, abym imieniem wszystkich wyraził księciu-prezesowi podziękowanie za trudy przewodnictwa.

Zabrzmiały gorące oklaski.

— Panowie — odezwał się książę-prezes — zaszczytne słowa księcia marszałka są wyrazem jego wysokiej dla nas życzliwości i odnieść je winienem nie do siebie, ale do naszego towarzystwa. Jeżeli komu, to przedewszystkiem księciu-marszałkowi jak i obecnemu tu delegatowi rządu za ich trudy winniśmy wyrazy serdecznego uznania.

Ponowny, gorący ozwał się aplaus.

— Dziękuję także wszystkim panom referentom i szanownym członkom za liczny współudział, który pozwala dobrze wróżyć o dalszym rozwoju towarzystwa.

Życząc wreszcie panom pomyślnych w tym roku zbiorów zamykam obrady Centralnego towarzystwa gospodarskiego.

Było już pół do czwartej, gdym wychodził z Warzyckim, Grodziskim i Dzirytem. Poszliśmy we czwórkę do Europejskiego hotelu na obiad.

Zasiadłem do stołu z miną chmurną.

— Cóż? jesteś zadowolony z wyniku obrad? — pytał mnie Antoś.

— Jakiż wynik? — odparłem — małe ustępstwo dla pana Warzyckiego ty sam wyjednałeś przytomnością umysłu, a poza tem...

— Powiedz raczej — zawołał Antoś — „a z tem" nawet obrady nie przyniosły nic dodatniego.

— Protestuję — odezwał się Warzycki — poparcie fabryki mojej może mi przynieść znaczne powodzenie, jestem ci szczerze zobowiązanym.

— Nie masz za co dziękować — rzekł Antoś — na cyrkularz nie zwróci nikt uwagi, szlachta nie lubi pism urzędowych. Zapewniam cię, że nie znajdzie się trzech nawet, którzyby na tej podstawie dali ci jakiekolwiek zamówienie.

— Załóżmy się!

— Zgoda, ale o co.

— O pięć butelek szampana.

— Nie przyjmuję takiego zakładu. Kto przegra, niech daruje jałówkę najbiedniejszemu zagrodnikowi we wsi.

— Masz moją rękę — zawołał Warzycki.

— Powiedzcież mi jednak — odezwałem się — dlaczegoż obywatelstwo choćby dla własnego dobra nie zwiąże się silniejszym węzłem. Do tego nie potrzeba żadnego Deaka, ale raczej odrobinę pamięci o przyszłości własnych dzieci.

— W tem już wina starych konserwatystów — odparł Antoś — gdyż hołdując powadze poszczególnych rodów, nie oceniają należycie siły, jaka tkwi w złączeniu poważniejszych zastępów obywatelstwa. Poruszył już tę sprawę Henryk Kieszkowski w osobnej broszurze, gdy mu szło o to, aby obywatelstwo na podstawie swego osobistego kredytu w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń, zakładało powiatowe towarzystwa zaliczkowe i towarzystwa ochrony własności ziemskiej.

— Ależ to myśl genialna — odezwałem się.

— Nie urzeczywistniono jej jednak, bo ci co mają wpływ niechętnie go ustępują innym, a dzielą się tym wpływem tylko z zaufanymi.

— Co o tem mówić zresztą — wtrącił Warzycki — u nas w powiecie obywatelstwo niejednegoby się podjęło i niejedno przeprowadziło, ale gdy marszałek powiatowy weźmie rzecz na siebie, wszyscy najchętniej zrzekają się ciężaru. Zdaje mi się, że i w sprawach krajowych taksamo. Obywatelstwo całegu kraju po większej części ofiarne i patryotyczne, ale jak starzy konserwatyści zapewniać zaczną, że oni czuwają nad wszystkiem, niewielu ma odwagę oprzeć się ich przewadze i wystąpić z samodzielną inicyatywą. Nie znajdzie się zaś chyba nikt w całem obywatelstwie, którybyby przyjął na siebie odpowiedzialność za usunięcie dotychczasowych kierowników większości konserwatywnej, raczej każdy obawia się, aby sami nie ustąpili, pozostawiając okręt bez steru.

— Jakaż więc was czeka przyszłość — zawołałem — jeżeli są tylko pozory świetności, pozory dobrobytu, pozory zapobiegliwości i pozory pracy.

— Odpowiedziałbym na to pytanie — rzekł Antoś — ale się obawiam, że mnie zakrzyczycie.

— Cóż znowu! — protestował Warzycki.

— Mówże! — zachęcałem ze swej strony.

— Przyszłość — rzekł z przejęciem Antoś — przyniesie z pewnością dodatnie owoce, jeżeli do wszystkich wymienionych pozorów dodacie pozory władzy i jeżeli te pozory władzy, cały splendor zewnętrzny pozostawimy do czasu starym konserwatystom, podając sobie natomiast ręce do wspólnej, niezgiętej pracy, gardzącej wszelkiem wywyższeniem się nad kogokolwiek.

— Brawo! — zawołał Warzycki.

— Więc dążmy do tego — mówił dalej Antoś.

— We dwóch, a choćby we trzech nie damy rady — odparł Warzycki.

— Ale są jednostki, które starczą za dziesiątki, bo przyciągają swem imieniem i swem stanowiskiem całe zastępy.

— Kogoż masz na myśli.

— Hrabiego Andrzeja.

— Starzy konserwatyści czuwają nad nim i nie pozwolą mu się wyemancypować z pod swego wpływu.

— Na szczęście, choć mało mówi, ma swoje własne zdanie.

— Dałby to Bóg.

— Przekonacie się o tem, gdy chwila nadejdzie,

Służba zaczęła przynosić potrawy, a że i koło innych stolików zasiadały coraz liczniejsze gromadki, przeważnie znajomych, przerwaliśmy poważną rozmowę, przechodząc do rzeczy potocznych.

— Czy wiesz — rzekł Warzycki do Antosia — że moje panie wybierają się z końcem miesiąca do Lwowa.

Zauważyłem, że Antoś zarumienił się jak pensyonarka i z pewnem zakłopotaniem rzucił niby od niechcenia:

— Czy tak?

— Pamiętaj — odparł Warzycki — musisz i ty przyjechać, bo jesteś już sekretarzem mamy od wszystkich sprawunków.

— A ty od czego? — bronił się Antoś.

— Moja kościarnia zjada mi cały czas.

— A mój wapiennik?

— No, no — odrzekł Warzycki — masz głowę nie od parady, a przyznasz, że kobietom nie godzi się niczego odmawiać.

— A więc panie życzą sobie tego? czemuż nie mówisz jasno?

— Bo i one zbyt jasno tego nie powiedziały.

Trąciliśmy się kieliszkami, a ja przypijając do Antosia, rzuciłem mu zręcznie:

— Na powodzenie sprawy.

Antoś znów poczerwieniał, dla niepoznaki szybko wychylając kieliszek.

* *
*

Przy placu Gołuchowskiego w hotelu Katza, jednym z najnędzniejszych na owe czasy, w małej izdebce od oficyn zebrało się u Pomeranza, właściciela fabryki, dóbr ziemskich i kilku domów we Lwowie sześciu żydów na naradę, z których każdy reprezentował jakąś gałąź przemysłu.

Sam Pomeranz, aczkolwiek gospodarz, leżał wygodnie na łóżku, podczas gdy goście w miarę swych fortun siedzieli to na stole, to na krzesłach, a jeden widocznie najbiedniejszy stał oparty o łóżko.

Zawodził on właśnie w żydowskim żargonie na temat swojej biedy, podczas gdy zebrani w ponurem milczeniu rozważali jego skargę.

— Ech kenn nischt mehr aufkymen auf de cykorje.

— Nuchim — ozwał się Pomeranz — ty chyba

jesteś meschuge, kiedy ty nie możesz wychodzić na taki interes.

— Ja myszlił, że on będzie milioner przez takie fabryka — zauważył majmorajny żydek w cylindrze usadowiony na krześle.

— Myszlem sobie — rzekł właściciel kościarni Sprinzer — co Nuchim ma albo całkiem schwaches kepełe, albo on sze puszcił na bardzo mądre szpekilacye.

— Was für a szpekilacye könnte ech machen? — bronił się Nuchim.

— Ty muszał schować pieniądzów i chcesz robić kryde.

— Waj mir! mnie jeszcze dalekie do takiego mondroszczi.

— Zugrze! — zawołał Sprinzer.

— Ech sug pod hajrem, man ganzer muss liegt in der Fabrik und ech hab 120 Joch Gründ und bei die Gojen epes a 30 tausend ranesz.

Zamilkł i spojrzał po zebranych podejrzliwym wzrokiem.

— To nie wszystko! — zawołał Sprinzer.

— Nu, poco takie giwałt robicz, ech hab pod hajrem gesugt, so werde ich noch epes zisetzen.

— Co ty sobie myszlisz, że ty gadasz z proste chłopy? — przemówił Pomeranz.

— Nuchim ociągał się, pejsy targał, wreszcie zapytał:

— Und wer ech noch hand 25 tausend ranesz von die obywatelski bank bekimmen?

— Wird a Geschäft, so wird muss san.

— Nu das Geschäft ist gur nischt schlecht.

— A co? — zawołał z tryumfującą miną Sprinzer — ja wiedział, co on robi szpekilacye.

— Sza! — ozwał się tajemniczo Pomeranz.

Wszyscy zbliżyli się do Nuchima, który zaczął mówić:

— Ech hab die Fabrik auf die Gojems Gründe gebaut und dann hab ech von dem Purez zugekojft und wenn der Purez bedarf a Gełd gaj ech auf sane Hypotek.

— Kepełe! — wtrącił marmorajny żydek.

— Sza! — upominał Pomeranz.

— Sportmeński, so heisst der Purez — ciągnął dalej Nuchim — er hat schojn 60 tausend ranesz herausgenommen und hat von der Towarzystwo 120 tysząców, nu, er ist schojn fertig. Jaby brał jego dżedzictwo Konty na szebie.

Oświadczenie to sprawiło na zebranych ogromne wrażenie.

— Er schmiesst sehr gescheid — zawyrokował Sprinzer.

— Er wird noch a groiser Purez — zauważył cylindrowicz.

— Aber wuss kimmt mir von dejm? — odezwał się Pomeranz.

— Wus hejst von dejm?

Pomeranz uznał za stosowne powstać i stanąwszy przed Nuchimem, tłómaczył mu na rozum następującą filozofię:

— Jak ty Nuchim nic nie miał, to ty przychodziłeś do mnie, bo ty wiedziałeś, co ja szwagier od wielki rabina. Nu ja tobie pożyczyłem i rabin za tobą prosił.

— Ech hab ałłes bezuhlt, i dem rebbe hab ech zwei mal bezuhlt — bronił się Nuchim.

— Ale teraz będziesz potrzebował znów rabina, aby zdusić Dziryta i Pomeranza, aby dostać von die obywatelski bank 25 tausend ranesz? Nu?

— Ech wer bezuhlen die Fatyge? Ver wus nischt?

— Fatygę? Bin ech a Faktor? Ja muszę mieć pięć procent czystego von die Geschäft, der Rebbe bekimmt drei procent, a in ałłe biere die da stehen bekimmen für Wechselgiro vor die obywatelski bank zwei Procent.

— Asojnes Geschäft ist ka Geschäft — ozwał się Sprinzer — ech schrab nicht fer zwa Prozent.

— Ech auchet nischt — zawołał cylindrowicz.

— Pss... sza! — zawołał Pomeranz — ja szwagier od wielkiego rabin powiedziałem i koniec. Wus schreit ihr a soj? Sprinzer potrzebuje rabina do kościarni, a Baszkies (tu wskazał na cylindrowicza) musi mieć rabina naprzeciw Bombalskiego do oferty na progi kolejowe. Szloma — mówił dalej wskazując na grubego opasłego żyda — to on mój, a Taubeles i Korniker robią ze spirytusem taki Geschäft, co oni będą zarabiać czterysta procent. Nu? ist ach nischt recht?

Żydzi obstąpili Nuchima, żądając wyższych procentów.

— Nuchim ty mnie słuchaj — rzekł Pomeranz — jak oni nie chcą podpisywać, to ja będę podpisał i wezmę całe 10 procent.

— To czemu Pomeranz nie bierze? — pytał Sprinzer.

— A jak on zrobi sztukę z konkursem, poco mam sam płaczicz?

— A co my mamy płaczicz? — wrzasnęli żydzi.

— Wy będzieci zarabiać od rabina. Nu? Git?

— Trzy procenta nasze — zawołał Sprinzer.

— Dwa i pół — odparł Pomeranz — aber ech red nischt mer.

Sprinzer i pięciu innych podali ręce.

— Nuchim — przemówił do rzekomo najbiedniej-

szego Pomeranz — cobyś nie zapominał: pięć procentów ja, dwa i pół procent te panowie, a dwa i pół procent rebbe. Git?

— Nu was soll ech tin? — odparł Nuchim, podając weksle.

— Interschrabs! — zawołał Pomeranz do obecnych.

— In wus wird mit rebbe? — wszyscy zakrzyknęli.

— Nu! hört! Mój szwager to on sze modlił dwadzieścia doby, a potem powiedział tak: Naprzeciw Dziryta to on nie może nic gadać, bo Dziryt daje żydom dobre cykorye, a Nuchim misza swoje cykorye z ziemią pół na pół.

— Ja ne miszam, wer hat dus gesugt, że ja miszam? — wrzasnął Nuchim.

— Pss... sza! Rebbe wszystko wie! Rebbe mówi, co Nuchim zdziera skóre z biedne żydki po miasteczkach, a co żyd to nie gojm.

— Gott in behütt, das ist nischt war! — bronił się Nuchim.

— Jak rabin taki wielki mówi, to święte. Was hast di noch zu sugen?

— Rebbe ist rebbe. Ech sug auf den rebbe gur nischt.

— Ale rabin skazuje czebi za te paskudne spekilacye na osobne kare tysionc guldenów.

— Aj wajs mir! Das ist a gewałt!

— Pss... sza! jak ty będziesz wypłacał tego tysionc, to rabin będzie żądał, aby od Dziryta żydzi nie brali inne cykorye jak tylko koszerne.

— Was heist koszerne? Wie a soj ken a goj koszerne machen?

— Rabin mądry, powiedział co on mu da od szebie takiego szmajgełesa, co będzie czuwał, aby

cykorya Dziryta była koszer, a ten żydek, to on będzie wszystko tam wyszpiegowywał i pomagał naprzeciw Dziryta. Versteit?

— Aj wajs mir! Was fir a kepełe von dem Rebbe! — wołał z uniesieniem Sprinzer.

— A co ty będziesz gadał Nuchim na takie wielkie dobrodziejstwo od rabina, co on posyła do Dziryta twojej żony brat?

— Ech geb dem rebbe a tausender, er soll schmiesen mit die jüdlach von die ziemia, was ech nischt gib zu die cykorye — odezwał się pokornie Nuchim.

— Sejt? — zaśmiał się Pomeranz — zaczyna mówić gescheid, a on już się rzucał na naszego wielki rabin.

— A co będzie z moją kościarnią? — pytał Sprinzer.

— Nu, jak się rabin dowiedział, że ten Warzycki chce także zarabiacz na koszciach, to on zawołał: biedny Sprinzer! i taksze modlił, aż wynalazł taki sposób, że do wszystkie nasze synagogi pójdzie pismo od wielkiego rabina, żeby faktory nasze brali od Warzyckiego...

— Giwałt!

— Pss... sza! taki święty rabin zaraz dodał: ale tylko dla biedne zbankrutowane szlachcice na weksle.

— Da wird Warzycki pajgern.

— A soj! — potwierdził Pomeranz — a od dobre kundmany to wszystkie faktory mają iść do Sprinzera.

— In wenn sie werden nischt gehn?

— Taki wielki rabin powiedział i oni nie pójdą? Sprinzer uścisnął Pomeranza.

— Nu, a co ty jeszcze będziesz gadał na takie wielkie dobrodziejstwo, że rabin na faktora do Warzyckiego przeznaczył twego syn od siostry.

— Warzycki nie weźmie żyda na faktora.

— On nie weźmie dziś, ale on weźmie za rok, jak go katołyki okradną.

— Dlaczego go mają okraść?

— Bo jemu szę poszle na agenty takie katołyki, co są nasze i co są gorsze od wszystkie żydy. Nu, ty będziesz dawał za to wszystko rabinowi na podróż do kąpielów na jego chore nogi.

— Dam pięćset.

— Nu, ty dasz tysionc, ja wiem!

— Wenn anders nischt gajt.

— Gajt nischt!

— Si git! podali sobie ręce.

— A z wami — odezwał się do innych Pomeranz — to ja będę gadał jutro u szebie, bo wy muszicie brać na siebie agitacye przeciw Grodziski, aby się wywracał z cały swój wapiennik.

— Er ist schon tojd! — zawołał Sprinzer.

— Nu, on jeszcze jest zdrów — odparł Pomeranz — ale od niego nie wolno nikomu nic brać, ani wapna, ani zboża, ani woły, ani szwinie. Versteit?

— Si git! — zawołali wszyscy.

— Nu, to ja teraz idę do wielmożny nasz direktor von die obywatelski bank.

— Co te głupie katołyki założyli, aby ratować biedne żydki — zaśmiał się Sprinzer.

— Nasz direktor — ozwał się Pomeranz — biorąc kapelusz i laskę, to on tam szedzi z wendko jak nad stawem i łowi po cały Galicyi same grube ryby. Jak sze kogo boi, to mu zamyka pisk i pcha w Verwaltungsraty, a jak sze nie boi, to go wypicha z jego wsi i sadzi tam naszych.

— Ale go katołyki mogą wysadzać, jak się będą o tem przekonywać.

— Katoliki? oni go wszędzie wołają na wszystkie rady, bo on im ciągle mówi, co on jest polski obiwatel, demokrat. Versteit?

— Der wird noch finanzminister! — zadecydował Sprinzer.

— Naco jemu być minister, jak on jest milioner — odparł Pomeranz, żegnając na ulicy swych ziomków.

W kwadrans siedział już Pomeranz na wygodnej kanapie obok potężnego dyrektora Banku obywatelskiego pana Józefa Landigera, który do dwudziestego drugiego roku życia sprzedawał na ulicy zapałki jako Josel Landiszer.

Poufna serdeczna pogawędka pana dyrektora z Pomeranzem toczyła się w języku niemieckim. Bez trudu załatwił Pomeranz sprawę Nuchima, odbierając natomiast bez sesyi i bez cenzorów 25.000 złr.

Po odliczeniu pieniędzy, dyrektor zagadnął Pomeranza:

— Jakże powodzi się hr. Bombalskiemu?

— Nu, on popiera Grodziskiego i Warzyckiego.

— A czemu pan nie kupi jego majątku? tysiąc morgów ornej ziemi, to kawałek piękny.

— Jak mam kupować, kiedy on nie sprzedaje.

— Winien nam dwie raty hipotezne, a trzecia za pasem.

— Może zapłaci?

— Nie — odparł ze stanowczością dyrektor.

— Książę Dłuski mu pomoże.

— Nie da ani centa.

— Nu, niech go pan cziśnie, a ja będę kupował.

— Ale w zamian musi pan mnie dopomódz do nabycia kompletu dóbr Warzyckiego.

— Warzycki nie ma żadnych długów.

— Stanisław wpakował stotysięcy w kościarnię,

a jak przyjdzie córce wypłacić posag, znajdzie się na drodze bankructwa.

— Taki gospodarz!

— Co z tego? ale przeciw nam walczył tyle lat! Śmiał atakować Bank obywatelski.

— Zawsze kawałek czasu upłynie, nim go dogryziemy.

— Choćby dziesięć lat, mniejsza o to. I tak jeszcze dziesięć lat chcę wytrwać na stanowisku dyrektora. Potem osiędę w Ułaszówce.

— Nu, ja już zaczynał wojnę z tym Warzycki. Wielki rabin już go duszi.

— A ja duszę za to Grodziskiego. Co pan powiesz, panie Pomeranz, stary Warzycki chciał mu dać córkę za żonę.

— A pan dyrektor?

— Wyszukałem dla niej gołego księcia. Matka będzie uszczęślwiona, a stary zagryzie się.

— Nu panie dyrektor, ja jeszcze pogadam z rabinem. To święty człowiek.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie z nadzwyczajną serdecznością.

V.

Jak kobiety protegują przemysł krajowy.

Hrabia Bombalski siedział naprzeciw żony w sali jadalnej letniej swej rezydencyi i popijając białą kawę, mówił do niej:

— Ogromnego ćwieka zabił mi w głowę w czasie ostatniego pobytu mego we Lwowie książę Dłuski. Wystaw sobie Irenko, nasz faktor Szloma ma być wedle zapewnień księcia agentem Pomeranza.

— Nie mamy przecież z Pomeranzem żadnych interesów.

— Dlatego też właśnie nie mogę wykombinować dlaczego książę z takim naciskiem o tem wspominał.

— Ja zaś bardzo dobrze to pojmuję. Książę choruje na manię patryotyzmu i chcąc dowieść, że na tym punkcie jest lepszym od ciebie, wytyka ci Szlomę. Ale ja na twem miejscu byłabym mu wytknęła Hahna, Mirtenbauma i tych wszystkich żydów, których koło niego pełno.

— Więc sądzisz Irenko, że Szlomie możemy ufać?

— Tyle lat przecież nam służy i nie możemy mu nic zarzucić.

— Czasami na cenie oszuka, a czasem przy pożyczkach za drogi liczy procent.

— A któryż z nich lepszy?

— Masz słuszność. Nie mogę go odprawiać. Zna już wszystkie nasze interesa.

— I przyzwyczailiśmy się już do niego. Gdyby go brakło, nie wiem doprawdy, ktoby załatwiał moje sprawunki we Lwowie. I dziś muszę go wysłać, ale wpierw musisz mi dać kilkaset złotych reńskich, bo moja kasa już pusta.

— Co powiesz Irenko, że i u mnie niewiele znajdziesz. Ostatnim razem ograli mnie niemiłosiernie w resursie. Do dziś dnia odżałować nie mogę tej straty.

— Raty w Banku obywatelskim pewnie nie zapłaciłeś?

— A z czegoż miałem zapłacić, gdy mnie ograno?

— Było nie grać.

— Łatwo mówić to Irenko po stracie, ale wymówić się było trudno. Grałem z ludźmi naszej sfery.

— Więc co będzie dalej, mnie pieniędzy potrzeba koniecznie. Pisze mi właśnie księżna Gierymska, że powołują mnie na wiceprezesową bazaru krajowego. Trzeba będzie pojechać do Lwowa i przyjąć na siebie wszystkie patronesy, a jak wiesz,. nasz pałac we Lwowie zaniedbany ogromnie.

— Na wielkie koszta nie możemy się teraz narażać.

— Obmyśliłam też, aby upiększyć nasze salony jak najtańszym kosztem. Jeden z saloników radabym przystroić w kilimki krajowe. Przyznasz sam, że to będzie miła niespodzianka dla całego komitetu.

— Zapewne, ale rzecz najważniejsza skąd wziąć pieniędzy.

— A od czego Szloma?

— Masz racyę, trzeba zawołać Szlomę.

— Pójdę list napisać do księżnej, a potem ułożymy wspólnie listę sprawunków.

— Dobrze Irenko — odparł hrabia, całując rękę żony, która majestatycznym krokiem odeszła do swego pokoju.

Byłto prześliczny gabinet, z niezwykłym zbytkiem urządzony, w którym jednak nie było ani jednego mebelka zakupionego w kraju i ani jednego przedmiotu świadczącego o zamiłowaniu pani domu do prac swojskiego przemysłu. Naprzeciw drzwi, któremi hrabina wchodziła, wisiał jej portret malowany w Monachium przez jednego z zagranicznych malarzy, gdy miała lat siedmnaście. Wchodząc, mimowoli spojrzała na ten portret, a ciężkie westchnienie wydobyło się z jej piersi.

— Jakże to temu dawno — mówiła do siebie w zamyśleniu.

I przypominała sobie wszystkie zabawy swoje z tego okresu życia, gdy była przedmiotem podziwu licznych wielbicieli. Porównywała tę świetną przeszłość z dzisiejszem swem położeniem i znów westchnęła.

— Żyję teraz jak pustelnica wystawiona na wieczyste nudy w pustym domu lub nieznośne odwiedziny kilku sąsiadów.

Rozważając nad tem, zbliżyła się do prześlicznego mahoniowego biórka bogato złotem inkrustowanego i wziąwszy do rąk list księżnej, czytała go poraz może dziesiąty.

„Droga Irenko! Nie pokazałaś się w karnawale i nie przyjechałaś na wyścigi, obudzając niepokój całego towarzystwa, które w twych salonach znajdowało dawniej najpewniejsze przed nudami schronienie. Wszystkie nasze panie uknuły więc spisek, aby Cię przemocą do Lwowa spro-

wadzić, i postanowiły w tym celu obrać Cię wiceprezesową protektorek bazaru krajowego. Nie możesz się wymówić od tego zaszczytu, gdyż wszyscy wiedzą, jak żywo interesowałaś się Towarzystwem tkackiem w Korczynie i wyrobami koronek w Rymanowie. Przyjedźże więc na przyszły wtorek. W dniu tym wszystkie protektorki wybierają się wraz zemną do twego lwowskiego mieszkania, a chyba nie dopuścisz, aby nas z niczem odprawiono. Spodziewamy się także przyjazdu pani Warzyckiej z Ułaszówki, która również do komitetu zaproszoną została. Żegnam Cię droga Irenko z tą błogą nadzieją, że wkrótce przycisnę Cię do swego łona i nacieszę się lubym twym widokiem. Pozdrowienia Twemu mężowi. Twoja Halka".

— Jaka ona poczciwa — mówiła do siebie hrabina, zasiadając przed biórkiem. Chce mnie wydobyć gwałtem z mojej pustelni i ma zupełną racyę. Trzeba ożywić się widokiem dawnych znajomych, a przedewszystkiem wyrwać się stąd choćby na miesiąc.

Jakoż ująwszy pióro, skreśliła list następujący:

„Halko moja najdroższa! Dzięki serdeczne za Twoją pamięć. Nieraz myślałam o Tobie i o wspólnych naszych znajomych, rozmiłowałam się atoli tak w mojem wiejskiem zaciszu, że sama myśl o gwarze wielkomiejskim formalnie mnie przerażała. Z listu Twego przekonuję się jednak, że powinnam bezzwłocznie przybyć do Lwowa, skoro uznałyście za rzecz potrzebną zaopiekować się bazarem krajowym. Szczerze mówiąc, nie wiem, co jest ów bazar, którym mamy się zająć, ale ufam Twemu zacnemu sercu, że musi to być sprawa ważna i godna naszego trudu. To, co wspominasz o koron-

karstwie i wyrobach płótna, była to pasya więcej mego męża, jak moja. Ale jak wówczas na życzenie męża, tak dziś na Twoje wezwanie zajmę się, czem każecie, bylem tylko potrafiła. Do Warzyckich dziś jeszcze pojadę, aby się z nimi porozumieć. Zapewne wytłómaczą mi o co chodzi. Do widzenia tedy najdroższa Halko, pozdrawiam Cię z całego serca i łączę ukłony dla Twego męża i Twego syna Artura, który musi już być dorosłym mężczyzną. Mój Boże, zdaje mi się, że wiek cały Was nie widziałam. Do widzenia najdroższa. Twoja Irena".

Kończyła ten list, gdy mąż wszedł do pokoju.

— No i cóż? — zapytała — Szloma przyjdzie?

— Tylko co go nie widać.

— Możesz i tu go przyjąć — odparła Irena.

Ufrakowany lokaj meldował Szlomę.

— Moja Irenko — rzekł mąż — pomówiłbym z nim w kancelaryi.

— Nie, nie mój drogi, czasu nie mam, a przy mnie prędzej się skończy.

— Niech wejdzie! — skinął hrabia.

Szloma wszedł, kłaniając się nisko.

— Jakże tam ceny zboża? — pytał hrabia, nie wiedząc od czego zacząć.

— Zaraz proszę, jaśnie pan — odparł Szloma, za pierś się chwytając — niech tylko oddech złapię. Dla biednego żyda być w salonach u jaśnie hrabiny, to aż się w głowie przewróci.

Irena uśmiechnęła się zadowolona.

— Więc Szloma naprawdę do nas przywiązany?

— Żebym stąd nie wychodził, jak ja jaśnie państwa tak kocham, jakbym był syn od jaśnie państwa.

— Bo mówią, że Szloma z Pomeranzem trzyma?

— Na co jemu mam trzymać, co jemu z mego trzymania.

— Więc to nieprawda?

— Moje wrogi to wymyślili. Pewnie stary Rachmes nagadał, że mu jaśnie pan czynsz od propinacyi podnosił.

— Chcę wiedzieć — rzekł hrabia — o ile na ciebie mogę liczyć, potrzebuję pieniędzy.

— Nu, co jest, jasny pan moge się zaraz przekonać, co Szloma wiernie usłuży. Pieniądze bedo.

— A skąd?

— Przecie jasny pan ma pszenice?

— Ceny za niskie, chciałem oddać pszenicę tymczasem do krajowych składów zbożowych, ale nim odstawię i nim zaliczkę wypłacą, czas zawsze upłynie.

— Czekać nie mogę, pieniędzy potrzebuję zaraz — odezwała się Irena.

— W tych składach i tak zboża od jasny pan nie bedo przyjmować.

— Jakto nie przyjmą?

— Jasny pan wie, że u góry, to tam są panowie, co się na takim Geschäft mało znają, a u dołu to tam jest zięć od Rachmesa: Munczeles. Co on będzie mówił, to będzie heilig.

— To ja tego Rachmesa wyrzucę z karczmy.

— Można jemu wyrzucać, czemu ni? mój teść propinacye zaraz weźmie, ale zboża nie bedo za nic do składy przyjmować.

— Moje zboże przecież dobre!

— Żeby było najlepsze, to jak Munczeles zacznie brać w rękę i gadać, to wygada, że jest złe.

Hrabia zmarszczywszy brwi, chodzić począł po pokoju.

— Kończcież raz! — wołała hrabina.

— Nu, co robić — ozwał się Szloma — to trzeba przedawać pszenicę.

— Kupca masz?

— Oh, czemu ni, wiele jasny pan chce.

— Tu?

— Ktoby ztond kupcy brał. Wi Lwowie to ja mam kupcy na fury.

— Jak myślisz — pytał hrabia żony.

— Niech Szloma sprzeda pszenicę we Lwowie — odpowiedziała Irena.

— Ha! niech sprzeda!

— Teraz niech Szloma nastawi uszy i słucha, czego mi ze Lwowa potrzeba — ozwała się Irena.

— Żyd rękę do ucha przyłożył.

— Potrzebuję dwie sztuki płótna, weźmiesz od Paki Rosenthalowej w Krakowskiej bramie i powiesz, że płótno ma być tegosamego gatunku jak ostatnim razem. Trafisz?

— Cobym nie miał trafiać. Pake znam.

— Płótno przywieziesz na wieś, a Rosenthalową poprosisz, aby mi wyszukała co najpiękniejsze kilimki, wiesz co to jest?

— Takie dywany od nasze chłopy.

— Dobrze. Mają być duże i różnokolorowe i sztuk tyle, aby wystarczyło do obicia mojego saloniku niebieskiego w pałacu lwowskim. Rosenthalowa musi pójść obejrzeć salonik. Potem wystarasz się o tuzin talerzy drzewianych z napisami i o lampki rzeźbione z jednej sztuki drzewa. Czy tylko spamiętasz?

— Nasi żydki oni wszystko wiedzo.

— A jakiś tam bazar założyli, może w tym bazarze kupić.

— Bazar, to jest od zabawy dla wielkiego panowie, gdzieby tam kupować.

— Kup gdzie chcesz, byle towar był piękny i wyrabiany przez chłopów.

— Może jasna pani bedzie sobie jeszcze przypomnąć?

— Chciałabym także obrusik i dwanaście serwetek z koronkami z Rymanowa.

— Już ja dogodze jaśnie pani, same rarytne, zapewniał Szloma.

— Kupisz także dziesięć słoików musztardy, ale francuskiej i pięć funtów drożdży, ale prasowanych wiedeńskich. To na wieś dla kucharza. Spamiętasz?

— To przecie wszystko nic jeszcze, nie ma co spamiętać.

— Słuchaj, a wiesz gdzie jest sklep bławatny Reisli na Halickiej.

— Ohes mir, ja tam już buł.

— Prawda, przywieziesz mi stamtąd nowe próbki na suknię, a na rogu w gmachu Banku obywatelskiego jest Francuzka, wiesz?

— Z kapeluszami, ja wim.

— Weźmiesz stamtąd rysunki nowych fasonów.

— W pałacu każesz salony odczyścić, drzwi wylakierować i posadzki zapuścić.

— Mam bardzo sprytnego żydek, który wszystkiego potrafi.

— Dobrze, byle nie śmierdziało.

— To się będzie przez okno powietrze puszczać.

— Przypilnujże!

— A teraz — rzekł hrabia — pójdź Szloma do kancelaryi, pomówimy o rzeczach ważniejszych.

— A ja jadę na obiad do Warzyckich — zawołała hrabina.

* * *

Sędziwy Alojzy Warzycki, któremu stan zdrowia nie pozwalał już wszędzie osobiście zajrzeć, miał zwyczaj siadywać co rana na werandzie staroświeckiego dworku, skąd roztaczał się wspaniały widok z jednej strony na pola Ułaszówki, z dwóch boków lasami jakby wieńcem otoczone, z drugiej zaś strony na zabudowania gospodarskie, czyli na tak zwany folwark. Paląc fajeczkę, śledził w ten sposób staruszek cały ruch roboczy, dając wskazówki ekonomom, stajennym i dozorcom bydła. Nie potrzebował wykrzykiwać i zwyczajem niektórych gospodarzy poniewierać ludzi, bo sama jego obecność trzymała wszystko w karbach porządku i zapobiegliwej pracy. Z zatrudnionych na folwarku do karczmy nikt nie poszedł, bo w Ułaszówce karczmy nie było. Pan Alojzy nie mogąc ścierpieć żydowskiego wyzysku, przed laty jeszcze karczmarza wyrzucił a obszerny budynek, stanowiący dawną karczmę, z werandy również widoczny, mieścił z jednej strony urząd gminny, z drugiej strony izbę gościnną dla włościan, w której znajdowała się czytelnia ludowa. Włościanie z początku sarkali na tę przemianę, ale gdy poważniejsi obliczyli, ile oszczędzili czasu i grosza od chwili zniesienia karczmy, błogosławili w duchu swego ojca, jak nazywali sędziwego właściciela Ułaszówki.

Dnia tego pan Alojzy czuł się słabszym niż zazwyczaj, ale mimoto zajął miejsce swoje na werandzie, przypatrując się w milczeniu ukochanej swej Ułaszówce.

Po jakimś czasie nadszedł z folwarku syn jego Stanisław i z troskliwością dopytywać począł o zdrowie rodzica.

— Siły wytrzymałyby jeszcze niejedno — odparł pan Alojzy — gdyby nie zmartwienie.

Stanisław ze zdziwieniem spojrzał na ojca.

— Wydaje ci się to dziwnem wobec naszego dostatku — mówił tenże dalej — ale uważ mój synu, że ósmy mam już krzyżyk, a im dłużej patrzę na te zabudowania, na te pola, na te lasy, tem większy ogarnia mnie niepokój, aby ten kawałek ziemi ojczystej nie przeszedł w obce ręce.

— Przysięgam ci mój ojcze, że nigdy do tego nie dopuszczę.

— Wziąłeś się do fabryki, myśl szczęśliwa, ale w naszych stosunkach o powodzenie ciężko. Żony przytem nie masz i Bóg wie, jaką wybierzesz, a gdy chwila przyjdzie trudna, zaczną się długi najprzód bankowe, potem żydowskie, a wkońcu może przyjść do katastrofy.

Mówił to staruszek jakby w jasnowidzeniu, oczyma patrząc w daleką przestrzeń. Stanisław słuchał go w ponurem zamyśleniu nie śmiejąc przerywać ojcu, który tak dalej mówił:

— Los Maryni także nie jest zapewniony. Jabym ją wydał najchętniej za Antoniego Grodziskiego, chłopak zacny, wszak prawda?

Stanisław skinął potakująco głową.

— Założył także fabrykę — ciągnął pan Alojzy — kapitalik by mu się przydał, a że człowiek pracowity, moglibyście iść ręka w rękę. Ale nie mam odwagi wspominać o tem matce, bo jej się zachciewa Bóg wie czego. Tego co mam, dorobiłem się ciężką pracą, gdyż za waszą matką wziąłem zaledwie kilkanaście tysięcy posagu, ale jej się zdaje, że mamy książęcą fortunę. Ot, fatalne złudzenie i nic więcej.

Stanisław nie miał czasu odpowiedzieć, bo właśnie zbliżyła się matka uśmiechnięta, rozpromieniona, z listem w ręku.

— Miłą przynoszę wiadomość! — przemówiła — zajmując miejsce obok męża.

— Cóż tam moja droga! Przecież nie mamy w świecie nikogo, którkolwieby miał wobec nas szczególniejsze obowiązki.

— Przyjaźń z dawnych czasów...

— Nie ma karesu bez interesu, ale powiedzże, co to za przyjaźń?

— Księżna Helena Gierymska przypomniała sobie o mnie.

— Gierymska? czekaj-no! pewnie ta mała blondynka, próżna jak paw! Straciła ona za granicą więcej jak milion, teraz pewnie dewocyi oddana.

— Spoważniała mój drogi, zajmuje się bazarem krajowym i mnie do tego zaprasza. Niewymownie z tego się cieszę.

— I z czego to się cieszyć — odparł pan Alojży, odkładając fajkę — przecież Gierymska nie ma pojęcia o przemyśle krajowym.

— Ale ma licznych znajomych, ma stosunki, może zrobić wiele dobrego.

— A pamiętasz ty księcia Różyckiego. Miał nietylko stosunki, ale majątek w dodatku i to znaczny, a jak się zaczął bawić gospodarstwem, wziął jedną i drugą nagrodę na wyścigach, wszystkie Ekscellencye u siebie fetował, ale wkońcu wszystko stracił, a w jego majątku gospodaruje dziś żyd, niszcząc na kilka mil wokoło całą okolicę. Tak i z zabawianiem się w przemysł krajowy. Zbiorą się panie, zaczną unosić się nad jakąś rzeźbą, nad robótką jakiejś wieśniaczki, nagromadzą stosy rozmaitych wyrobów, rozstawią je w obszernych salonach i dopóki im się nie sprzykrzy, przychodzić będą do tych salonów na pogawędkę, na ploteczki.

— Ależ mój kochany, bazar może niemało przynieść pożytku.

— Tak, zapewne, przyniósłby pożytek, gdybyście zmówiły się, że będziecie brać tylko korczyńskie płótno i gdyby poczciwy Dziryt, potrzebując dziesiątki tysięcy glinianych garnków do sprzedaży lepszych gatunków cykoryi, mógł je otrzymać za pośrednictwem bazaru, ale gdzie wam to w głowie, jakbyście się obeszły bez Reisli i bez Rosenthalowej. Łudzić będziecie tylko producentów i okłamywać publiczność.

— A jednak ktoś się tem zająć musi.

— Niechże się zajmą osoby znające się dobrze na rzeczy, któreby wprzód sumiennie zbadały stosunki tych przemysłów, jakie pragną protegować, niechby osoby energiczne rozwinęły gorącą w kraju agitacyę, niechbym widział patryotyczne czyny, wtenczas z góry powinszowałbym dodatnich rezultatów, ale bawić się wtedy, gdy idzie o ciężką dolę pracujących, gdy idzie zresztą o przyszłość kraju, to niezbyt szlachetnie.

— Mówisz tak, jakbyś podejrzywał intencye Halki!

— A czyż uwierzyć mogę, aby wzywała cię do Lwowa w interesie bazaru? ona? taka wyrafinowana kokietka?

— Kobieta już w wieku...

— Ręczę, że jeszcze z pretensyami, już ja się znam! Pokaż mi zresztą jej list.

Z pewnym niepokojem, który się widocznie odbił na twarzy pani Warzyckiej, podała list mężowi.

Pan Alojzy nałożył z powagą okulary, a w miarę jak list czytał, brwi ściągał i oddając go wreszcie żonie, z politowaniem głową pokiwał.

— No, prawda, jak mnie serdecznie zaprasza?

— Dla swego synulka i naszej Maryni, ale nie

dla bazaru, a ja ci powiem, że i ten synalek wart swej mamy: próżniak i karciarz!

— Mój drogi, każdy młody człowiek musi się wyszumieć.

— Oj, czas ostatni, abyśmy się wyrzekli wszystkich szumowin. Kto ma stotysięcy rocznego dochodu, może tym dochodem o tyle rozporządzać, o ile roztropna pamięć o niezbędnych w majątku ulepszeniach pozwala, ale kto ma stotysięcy całego majątku, ten nie ma prawa szumieć, a jeżeli mimoto pieniądze marnuje, jeżeli je w karty przegrywa, mam go prawo nie szanować.

— Zważ jednak obowiązki reprezentacyjne księcia, jego wysokie stanowisko.

— Każde stanowisko w naszych stosunkach opierać się musi na własnej pracy, na dodatnich tej pracy rezultatach.

— Chciałbyś wszystkich porobić ekonomami.

— Nie, chciałbym nie dopuścić do wywłaszczenia żywiołu polskiego przez żywioł napływowy.

— Jużto szczególnie dbałeś o stanowisko swego rodu. Czemże jesteśmy?

— Polską szlachtą, która uczciwie broni odziedziczonego kawałka ziemi.

— Mogłeś być szambelanem, a nawet hrabią.

— Wreszcie wyspowiadałaś się szczerze. Chciałaś tytułów i zaszczytów, a zapomniałaś, że najwyższy tytuł i najwyższy zaszczyt to imię nieskalane dobrego obywatela kraju.

— Można jedno z drugiem połączyć, a miałoby to znaczenie dla przyszłości dzieci.

— Tytuł prowadzi do większej skali wydatków, a nas na to nie stać — odparł pan Alojzy z niezwykłym ogniem.

Pani Warzycka nie chciała dać jednak za wygrane i gotowała się do dalszej rozprawy; gdy Staś zawołał:

— Antoś przyjechał! jakto dobrze!

— Aa! przyjechał! skądże wiesz? — pytał pan Alojzy.

— Idzie ku nam z Marynią od strony ogrodu warzywnego.

— A tak, prawda — potwierdziła pani Warzycka. Jakoż istotnie smukła postać Grodziskiego ukazała się obecnym obok zarumienionej i niezwykle ożywionej Maryni.

— Oto mąż dla naszej córeczki wedle twojej opinii! — zawołała z gorzkim uśmiechem pani Warzycka.

— A cóż myślisz? — odparł spokojnie Warzycki — chyba o lepszego trudno.

— Ale póki ja żyję z tego nic nie będzie! — z gniewem odpowiedziała pani Warzycka.

Antoś przybywał w najgorszą porę, bo chociaż stary Alojzy miną nadrabiał i starał się być gościnnym, choć Marynia uroczo się uśmiechała, a Staś ze zwykłą przyjaźnią witał gościa, chmura poprzedniej gorączkowej rozmowy ciążyła na wszystkich.

Prawdziwem też wybawieniem całego towarzystwa z tej przykrej sytuacyi był niespodziewany przyjazd hrabiny Bombalskiej.

Obie starsze panie poszły też zaraz do gabinetu pani Warzyckiej na poufną pogadankę, pan Alojzy poszedł również, aby wypocząć po ciężkiej z żoną przeprawie, Stanisława odwołały obowiązki do fabryki, a tak młoda para miała zupełną swobodę w miłem sam na sam.

— Czy pan już wie, że wybieramy się do Lwowa?

— Słyszałem o tem i przybyłem właśnie, aby się o tem przekonać.

— Otóż powtarzam panu tę wielką nowinę.

— Dlaczego wielką?

— Mam wejść poraz pierwszy w świat.

— Czy panią ten świat tak bardzo zajmuje?

— Prawie go nie znam, ale mama cuda opowiada o wielkich domach w stolicy, o zabawach, o niespodziankach.

— I panią to wszystko pociąga?

— Jestem zaciekawiona, mam zresztą nadzieję bawić się, a pan jako mój przyjaciel, wszakże jesteś pan moim przyjacielem? — pytała Marynia, głos zniżając i zatapiając w Antosiu prześliczne swe szafirowe oczy.

— Najszczerszym — odparł Antoś rumieniąc się po białka oczu.

— Więc podzielasz moją radość?

— Niezupełnie.

— Jakto?

— Zbyt cenię życzliwość pani, abym nie miał drżeć o utratę jej względów.

— Dlaczegobym się miała zmienić dla pana?

— Sam nie wiem, ale mam jakieś dziwne przeczucie.

— Mówisz pan to tak smutnym głosem, że doprawdy przestaję się już cieszyć z projektowanej podróży.

— Nie miałem zamiaru zmniejszać radości, jakiej pani doznaje na samą myśl wycieczki.

— Przecież i pan przyjedzie do Lwowa?

— Wątpię czy będę pożądanym towarzyszem.

— Panie Antoni!

— Słucham pani!

— Wytłómacz się pan zaraz, dlaczego przychodzą ci do głowy takie myśli?

— Bo cenię panią więcej niż ci wszyscy, których pani pozna we Lwowie, bo uwielbiam panią taką, jaką jesteś i obawiam się zmiany.

Z kolei zarumieniła się Marynia, a spuszczając oczy, przysłoniła je długiemi rzęsami. Była tak piękna w tej chwili.

— Panie Antoni — przemówiła dźwięcznym swym głosem — zawstydzasz mnie swoją dobrocią, ale zapewniam cię, że nie zmienię się dla pana nigdy, nigdy, oto moja ręka.

I podnosząc znów oczy, podała mu rękę z takiem przejmującem spojrzeniem, że zmusiło ono Antosia do zaniechania wszelkich podejrzeń, wszelkich smutnych myśli.

Doświadczył nagle uczucia dziwnej w sobie przemiany i biorąc jej drobną, białą rękę, czynił w tej chwili w głębi serca postanowienie, przed którem nawet w myślach dotąd uciekał.

Pod wpływem tego uczucia słowa przemówić nie mógł, a tylko długi gorący pocałunek wycisnął na ręce Maryni.

Naraz, jakby grom z jasnego nieba, ozwał się z werandy głos pani Warzyckiej:

— Maryniu zapominasz, że pani hrabina chciała się tobą nacieszyć.

W tej chwili Antoś spotkał się z lekceważącem spojrzeniem pani Warzyckiej, które powiedziało mu więcej, niż najprzykrzejsze słowa.

* *
*

W kilka dni potem, gdy w południe wychodziłem z bióra, lokaj książąt Gierymskich doręczył mi uper-

fumowany bilecik księżnej Heleny, zapraszający do niej w „ważnym interesie“. O książętach Gierymskich zaledwie słyszałem, z tem większem więc zdziwieniem przeczytałem lakoniczny bilecik, a nie chcąc być niegrzecznym z wzorową punktualnością zadzwoniłem o oznaczonej godzinie do jej mieszkania przy ulicy Mickiewicza.

Salony nie były zbyt wspaniałe i gdyby nie liczne przodków portrety, byłbym je wziął raczej za skład rozmaitego gatunku mebli bez gustu i semetryi porozrzucanych. Widocznem było, że księstwo od niedawna przenieśli się do stolicy i że na prędce urządzili mieszkanie, które przy swej pretensyonalności ani powagi ani wdzięku wykwintnego urządzenia nie miało.

Zastanawiać się nad tem długo nie mogłem, bo zaledwie mnie zaanonsowano, wbiegła do pokoju starsza już dama, ale nadzwyczajnie żywa i przywitała mnie jak dawnego znajomego.

— Ogromniem rada, żeś pan przyszedł — mówiła — dyrektor Morecki wiele mi o panu dobrego opowiadał, pan masz być człowiekiem bardzo wykształconym i znasz się podobno na przemyśle. Było mi bardzo na rękę zasłyszeć o panu, bo przemysł jest teraz wielką moją pasyą. Chciałabym dźwignąć bazar krajowy. Mam powiedzieć, żem już nawet utworzyła komitet protektorek. Całe nasze towarzystwo będzie do tego należeć.

Wymówiła to wszystko nieomal jednym tchem, badawczo patrząc przytem na mnie, jakby śledząc wrażenia swej przemowy.

Nie miałem na razie powodu entuzyazmować się, podziękowałem przeto za zbyt korzystną o mnie opinię i z pewną nieśmiałością zapytałem, czem mógłbym dopomódz do tak poważnego dzieła.

— Ja wiem — odparła księżna — że pański czas jest drogi, pan jesteś człowiekiem pracy, sił niczyich wyzyskiwać nie chcę, pan otrzyma za swoje trudy wynagrodzenie.

Wyznaję, że mnie te słowa niemile dotknęły, zapytałem więc w dalszym ciągu o rodzaj zajęcia, jakie mi księżna przeznacza.

— Morecki będzie dyrektorem — odparła — Turski kasyerem, a pan sekretarzem, pan Morecki to panu bliżej wyjaśni, zasługa wielka, a honoraryum będziesz pan miał, to już moja rzecz, wszakże pan nie odmawia? Ja radabym z panem mówić o tem z godzinę, ale się dziś spieszę ogromnie, z prowincyi przyjechało mnóstwo osób, niechże pan pomówi z panem Moreckim, jestem pewną, że pan nie odmówi, do widzenia!

I nie czekając mojej odpowiedzi, podała mi rękę pozostawiając samego w dużym salonie, w którym znów pojawił się lokaj, aby mnie wyprowadzić.

Z dziwnem uczuciem opuszczałem salon, ale gdym się już znalazł na ulicy, rozważywszy rzecz całą, doszedłem do przekonania, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko udać się bezzwłocznie do dyrektora Moreckiego. Tenże zdawał się mnie oczekiwać, gdyż przerwał ważną jakąś konferencyę i zamknąwszy się ze mną w drugim pokoju, wyjaśnił mi, że księżna Gierymska pragnie się zająć bazarem krajowym, że istotnie wiele pań z towarzystwa i z miasta dla tego dzieła pozyskała i że są nadzieje, iż mogłaby stąd wyniknąć niemała korzyść dla przemysłu krajowego.

— Nie łudzę się — mówił — aby te panie wiele zrobiły, ale ruch raz wywołany, rozbudzi ogólne zajęcie się tą sprawą. Dlatego nie mogłem księżnej odmówić współdziałania.

— Ale do czegóż ja przydać się mogę? — zapytałem.

— Nie chciałem zrażać obozu „Gazety demokratycznej“ — odparł Morecki — bo przy zgodnej akcyi rezultaty mogą być większe, ale z drugiej strony nie mogłem dopuścić, aby ci panowie rzecz w swe ręce zagarnęli, bo wyzyskaliby to zaraz dla celów swej partyi ze szkodą samej sprawy. Wobec tego postanowiłem sekretaryat złożyć w ręce bezstronne i w tym celu radziłem księżnej poruczyć panu to stanowisko.

Podziękowawszy za zaufanie szanownego dyrektora, zapytałem jakie będą moje obowiązki.

— Wszystko jeszcze w stadyum projektów — odparł na to — ale rzecz się z czasem ułoży. Na razie będziesz pan spisywał protokoły obrad, zbierał potrzebne daty, korespondował z producentami i z publicznością zamiejscową.

— Nie wiem, czy przy moich obowiązkach urzędowych podołam.

— Nie będzie znów tak wiele pracy — upewniał mnie dyrektor — a gdyby bazar się rozwinął pomyślnie, ustanowimy stałych urzędników.

Przyrzekłem zastosować się na razie do życzeń dyrektora i księżnej.

— Pierwsze posiedzenie w niedzielę, w pałacu hr. Bombalskiej, o godzinie 8. wieczorem. Oto lista uczestników, niechże pan wygotuje zaproszenia, a raczej zaadresuje je tylko, bo jak pan widzi, kazałem litografować. Na posiedzenie musi pan oczywiście przyjść we fraku ze względu na panie i wieczorną godzinę.

Złożył przy tych słowach plik papierów i kart litografowanych w moje ręce i pożegnał uściskiem dłoni.

Zostałem więc sekretarzem pierwszego krajowego bazaru przemysłowego. Stało się to wprawdzie wśród

bardzo dziwnych okoliczności, atoli nie powiem, abym w gruncie serca był zadowolonym z objęcia posterunku, jak sądziłem, bardzo ważnego i bardzo wpływowego. Zadowolenie moje było tem większe, ile że pierwszy raz wychodziłem ze skromnych ram biednego urzędnika, aby wziąć udział w pracy publicznej. Snułem też w umyśle najpiękniejsze plany. Wyobrażałem sobie, że zdołam skojarzyć w bazarze najważniejsze gałęzie przemysłu domowego, że dla wyrobów tego przemysłu zbyt zapewnię, że wreszcie we wszystkich tych działach przemysłu produkcyę podniosę.

Rozesławszy zaproszenia, wziąłem się też do systematycznej pracy, aby zestawić ważniejsze ogniska przemysłu domowego, gdyż przekonany byłem, że zgromadzone daty pożądanym do obrad będą materyałem.

Przez kilka dni z rzędu nie wychodziłem prawie z domu w godzinach wieczornych, a po całych nocach pracowałem nad zestawieniem dat z rozmaitych sprawozdań i roczników fachowych, z broszur i nielicznych prac naukowych, omawiających niektóre przynajmniej gałęzie przemysłu domowego.

W toku tych prac przygotowawczych wyrzucałem sobie niejednokrotnie lekkomyślność, żem się zgodził na objecie tak ważnego posterunku, gdyż czułem to dobrze, iż wprzód należało na tem polu sumiennie przez kilka miesięcy popracować, aby nabyć pełniejszego zasobu wiadomości fachowych.

Nareszcie nadeszła niedziela.

Z uderzeniem godziny ósmej, w pełnej gali, wchodziłem w progi pałacowe hrabstwa Bombalskich. Serce biło mi gwałtownie na samą myśl, że w toku poważnych obrad mogę się łatwo zdradzić z niezupełnem opanowaniem ważnego przedmiotu. Odetchnąłem do-

piero swobodniej, gdy mnie lokaj wprowadził do dużego salonu, w którym prócz mnie nie było jeszcze żywej duszy. Salon skromnie ale gustownie był przybrany w kilimki krajowe, na stolikach małych obrusy i serwetki także krajowego wyrobu, tegożsamego pochodzenia, stały wreszcie do koła kubki drzewiane, talerzyki, koszyczki. Uznałem, że istotnie na zebranie protektorek bazaru krajowego trudno było o stosowniejsze przystrojenie salonu, wspaniale przytem kwiatami i licznem światłem przybranego. Balsamiczna woń lasów szpilkowych, rozpływająca się w barwnej światła atmosferze, niemniej korzystnie świadczyła o staraniach gospodyni domu, aby zaproszonym gościom miłą sprawić niespodziankę. W głębi salonu drzwi na oścież otwarte odsłaniały wnętrze dalszych komnat rzęsiście oświetlonych.

Zająwszy skromne stanowisko we framudze okna czekałem na przyjazd dostojnych protektorek. Jakoż po upływie pół godziny, która wydała mi się całym wiekiem, zajechał przed portal pałacowy ekwipaż i jak przez okno widziałem, wysiadała z niego księżna Gierymska z synem Alfredem. W tejżesamej chwili otworzyły się drzwi dotąd zamknięte z drugiej strony salonu, w którym się znajdowałem i ukazała się w nich hr. Bombalska.

Wysunąłem się naprzód składając ukłon głęboki, atoli hrabina przeszła koło mnie z podniesioną głową, nie zwracając najmniejszej na mnie uwagi i u drzwi wchodowych witała księżnę i jej syna. Zwróciłem mimowoli oczy na tego ostatniego. Byłto słuszny mężczyzna, w wieku lat trzydziestu, twarzy wybladłej, którą cechowała bezmyślna apatya. Starał się być nader uważającym, ale widocznem było, że go to męczy i że to czyni wyłącznie dla formy.

Po pierwszych przywitaniach, które zbyt długo trwały, księżna obejrzała się po sali. Kłaniałem się znów głęboko, atoli pomimo że mnie wszyscy dostrzec musieli, nikt nie zwracał na mnie uwagi.

— Zaczną się niebawem zjeżdżać — mówiła hrabina. W moim saloniku jest tylko pani Warzycka z córką.

— Niechże Alfredek pójdzie przywitać dawne znajome — odezwała się księżna.

Alfredek nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, a ja napróżno starałem się poraz trzeci, zwrócić na siebie uwagę przechodzących.

Hrabina z księżną rozpoczęła tymczasem poufną pogawędkę.

Pozycya moja stawała się coraz przykrzejszą. Nie miałem ochoty podsłuchiwać, a panie mówiły na nieszczęście zbyt głośno.

— Jakże znalazłaś Marynię? — pytała księżna.

— Powiadam ci prześliczna i dobrze ułożona. Furorę będzie robić w świecie.

— Wspominałaś im o Alfredzie?

— Naturalnie, powiedziałam wszystko, co o tak nadzwyczajnym młodzieńcu można powiedzieć.

— I cóż?

— Matka uszczęśliwiona.

— Sądzisz, że się powiedzie?

— Ależ pobłogosławisz ich w tym karnawale.

— Bardzobym się cieszyła, Alfredek dorasta i czas, aby się ustalił.

Postąpiłem parę kroków naprzód i teraz dopiero raczyła mnie zauważyć hrabina. Ponieważ mnie nie znała, zwróciła się do księżnej z pytającem spojrzeniem. Księżna skinęła mi wówczas głową i rzekła do hrabiny:

— Przedstawiam ci protegowanego dyrektora Moreckiego, pan ma być naszym sekretarzem.

— Niechże pan spocznie — przemówiła do mnie hrabina i zaraz odezwała się do księżnej, ale już w języku francuskim, jak gdyby znajomość tego języka zastrzeżoną była wyłącznie dla „towarzystwa".

— Trochę pospieszyliście się z wyborem sekretarza.

— A czy miałaś kogo innego na myśli?

— Naturalnie, przecież trzeba pasować Alfredka na męża, zajmującego się publicznemi sprawami.

— Kiedy ten chłopak nie ma do tego inklinacyi.

— Musi się poświęcić dla miłości starego Warzyckiego. Na panu Alojzym sprawi to wrażenie.

— Jest idea! nie ma co mówić, masz złotą główkę.

— Cóż jednak zrobimy z tym panem?

— Alfredek będzie sekretarzem, a ten pan będzie za niego pisał co potrzeba.

— Bardzo dobrze, ale może nie zechce.

— Biedny urzędniczyna, zapłacimy mu za to!

— Jeżeli tak, to nawet lepiej — zadecydowała hrabina.

Drzwi wchodowe otwarły się na oścież. Protektorki zaczęły się schodzić.

Księżna prezentowała je po kolei hrabinie.

— Pani Młynarska, dyrektorowa poczt i telegrafów; pani Wodecka, prezydentowa miasta; pani Oczapowska, prezydentowa sądu; pani Faleńska, radczyni miejska i aptekarzowa; pani Werner, wiceprezydentowa namiestnictwa; pani Zapalska, inspektorowa szkół i cały szereg dalszych pań, którato prezentacya sprawiła wrażenie, jak gdyby rządy w stolicy kraju spoczywały w rękach niewieścich. Przybyłe panie witały się nawzajem ze sobą i zajęły w porządku rang mężowskich

miejsca w głębi sali. Strojne ich toalety wskazywały na wielką wagę, jaką przywiązywały do zaszczytnego zaproszenia dam z „towarzystwa“, które kazały znów jeszcze z pół godziny na siebie czekać. Wreszcie i one zjawiać się poczęły w towarzystwie mężów, córek i synów. Przychodziły jak na raut wesołe, swobodne, sobą i swoimi zajęte. Paniom z „miasta“ zaledwie obowiązkowe oddały ukłony, a panie te znalazły się teraz w najfatalniejszem położeniu. Księżna wprawdzie zwracała się do jednej to do drugiej uprzejmie, a stereotypowe pytania o słocie o i pogodzie, o zajęciu nadzwyczajnem i zasługach mężów nie mogły znieść rozdziału między dwoma sferami, które zgromadziły się pod hasłem wspólnej pracy dla dobra przemysłu krajowego. Przybycie Moreckiego i Turskiego wlało dopiero nieco otuchy w panie prezydentowe, dyrektorowe, inspektorowe i doktorowe. Morecki szczególniej okazał się nieocenionym. Pokazało się, że znał wszystkie, a umiał każdej coś miłego powiedzieć, na chwilę nawet na kilku punktach pomieszać zdołał towarzystwo i ogólniejszą wywołał rozmowę... o karnawale i o wyścigach, o modach i o pogodzie, o wrażeniach z miejsc kąpielowych i o ciszy miejskiej.

O mnie nikt się nie troszczył, mogłem swobodnie obserwować wszystkich, z każdą chwilą lepiej czułem, że daleko stosowniejszym sekretarzem będzie Alfredek, bo w całem zebraniu nie było ani jednej postaci, którahy zrozumieć choć mogła doniosłość sprawy, stanowiącej przedmiot wspólnej wszystkich na przyszłość troski, a stąd wnosiłem, że się zacznie od niczego i skończy na niczem.

Gdy się przeto zbliżył do mnie dyrektor Morecki, sam mu oznajmiłem, że wedle mego zapatrywania sekretarzem powinien być ktoś więcej obeznany z „towa-

rzystwem" i dałem mu do zrozumienia, że księżna może już ma innego kandydata.

W tej chwili przechodził przez salon książę Alfred z panną Maryą Warzycką, na której całe zebranie sprawiło widocznie imponujące wrażenie, gdyż była rozpromienioną i raz poraz zwracała się z wesołym uśmiechem do swego towarzysza.

— Masz pan racyę — odparł na moje uwagi Morecki — znalazł się istotnie poważny kandydat. Wystaw pan sobie, że nikt nie mógł przypuszczać nawet, aby książę Alfred chciał się zająć bazarem, ale gdy się dał z tem słyszeć...

— Winienem mu miejsca ustąpić —,rozumię!

— Nie panie, trzeba go tylko zachęcić i pracę mu ułatwić.

— Rzecz niełatwa do przeprowadzenia, nie znam bowiem księcia.

— Pomówimy o tem — rzekł Morecki — tymczasem bądź pan tak grzeczny wygotować protokół dzisiejszych obrad i nie miej za złe, że księcia Alfreda ogłosimy sekretarzem. Dla pana to będzie nawet z niemałą korzyścią. Przekonasz się niebawem.

Po chwili rozpoczęło się posiedzenie. Bardzo dobrą przemowę o znaczeniu przemysłu wypowiedział Morecki, a z niezwykłym polotem wyraził następnie Turski zgromadzonem damom uznanie i entuzyazm całego społeczeństwa, które zdaniem mowcy dumnem będzie, widząc znakomite Polki na czele pracy społecznej. Zarząd wybrano oczywiście przez aklamacyę, oklaskując gorąco banalną przemowę księżnej Gierymskiej, która zaledwie kilka zdań zdołała wypowiedzieć. Wedle programu wybrano dalej dyrektorem bazaru jednomyślnie Moreckiego, kasyerem Turskiego, a z prawdziwym entuzyazmem przyjęto do wiadomości, że

ciężkie obowiązki sekretarza sprawować będzie książę Alfred.

Na uwagę Turskiego, że podstawę bazaru stanowić winien poważny kapitał zakładowy, popłynęły liczne wnioski co do sposobów zgromadzenia funduszów i stanęło ostatecznie na tem, że księżna Gierymska i hr. Bombalska przy pomocy wszystkich prezydentowych, dyrektorowych, inspektorowych i doktorowych urządzą na Górze zamkowej wspaniałą tombolę z podwieczorkiem, którego koszt wzięła na siebie księżna prezesowa.

Złożono więc hołd jej wspaniałomyślności i zamknięto żmudne obrady. Do salonu weszło teraz sześciu lokai, obnosząc herbatę, lody, ciasta i owoce. Morecki i Turski kroplisty pot z czoła ocierali, „towarzystwo“ skupiło się w zwarte kółko, panie z „miasta“ sprzedawały pietruszkę. Przez otwarte okna gwar miejski dolatywał. Niby pszczoły w ulu przesuwały się wzdłuż przyległego placu zapracowane postacie urzędników, kupców, przemysłowców, sług i robotników. Nikt z nich nie przypuszczał nawet, że w tejże chwili losy przemysłu krajowego spoczęły na... zaprojektowanej „tomboli“.

Bieg smutnych myśli, jakie się mimowoli budziły w mym umyśle, przerwało odezwanie się do mnie dyrektora Moreckiego, który mnie prosił, abym mu towarzyszył do jednego z dalszych salonów.

Zastałem tam księżną Gierymską i księcia Alfreda.

— Bardzo dziękuję panu — przemówiła do mnie księżna, żeś powolnym był memu zaproszeniu i pragnęłabym wedle sił moich panu to odwdzięczyć.

Skłoniłem się głęboko.

— Mój syn Alfred — ciągnęła dalej księżna,

wskazując na syna — mówi mi właśnie, że będzie potrzebował pańskiej pomocy.

— Tak, istotnie — odezwał się młody książę — sprawa ważna wymaga więcej znajomości rzeczy, niż sam ofiarować mogę.

— Mógłbym o sobie również to powiedzieć — odparłem na to — gdyż jakkolwiek dłuższy czas poświęcałem się sprawom przemysłowem, czuję to dobrze, że w wielu kierunkach studya moje uzupełnić potrzebuję. Jeżeli jednak moje materyały i wiadomości mogą się przydać księciu, z całą gotowością służyć mu będę.

— Widzi pan — rzekł książę Alfred — nie idzie mi wcale o kierunek lub o zestawienie jakichś dat naukowych, to rzecz naszego dyrektora.

— Kochanego pana Moreckiego, wtrąciła księżna.

— Czemże więc mogę służyć?

— Idzie o formalności bieżące, o protokoły, listy, zaproszenia. Jestem nawet gotów płacić panu za tę czynność po trzydzieści złotych reńskich miesięcznie.

— Żałuję mocno — rzekłem na to — że nie mogę się podjąć zadania, jakie mi książę przeznacza.

— Przecież to nie zabiera wiele czasu.

— Tem przykrzejszem byłoby moje stanowisko, gdybym brał wynagrodzenie, mając świadomość, że na nie nie zasługuję.

— Nie chcę nalegać — odparł książę Alfred — a w dowód moich dobrych dla pana chęci, przygotowałem już zaliczkę.

To mówiąc, wyjął z kamizelki kilka dziesiątek i położył na stole.

Spojrzałem na księcia z głębokim żalem, co musiał zauważyć, bo natychmiast poprawił się.

— Niechże pan mojej otwartości nie bierze za złe.

— Wcale nie — odparłem — napiszę nawet pro-

tokół z dzisiejszego posiedzenia, ale istotnie nie mógłbym podjąć się ofiarowanego mi stanowiska.

— Ci z inteligencyi — odezwała się po francusku księżna do Moreckiego — chcieliby przewodniczyć, a nie chcą pracować.

— Od pracy się nie uchylam, a dowodem najlepszym materyały, jakie już zgromadziłem, zauważyłem na to podając gruby zwitek papierów, owoc dłuższych moich studyów.

Księżna zmiarkowawszy, żem zrozumiał jej francuszczyznę, podała mi rękę mówiąc:

— Tem większa szkoda, że nie chce pan przyjąć propozycyi mego syna.

— Najmocniej przepraszam, ale nie mogę.

Po chwili opuszczałem salony pałacu Bombalskich.

Na schodach spotkałem zastępy prezydentowych, dyrektorowych, inspektorowych i doktorowych. Kiedy na górze „towarzystwo“ zaczęło dopiero bawić się z całą swobodą, one już spieszyły do domów, aby krewnym i przyjaciołom opowiadać o świetnem zebraniu. Jakoż i na schodach nie mogły się powstrzymać od okrzyków podziwu, pokrywając tem istotne wrażenie, które zbyt podniosłem być nie mogło.

* * *

Powróciwszy do domu, zastałem na biórku bilecik Antosia:

„Rzępała wyciągnął mnie i Warzyckiego do kiszki. Przybywaj natychmiast“.

Dla wyjaśnienia zaznaczam, że kiszką nazywał się w owych czasach długi pokój w cukierni Kosteckiego, która się mieściła w gmachu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W kiszce tej zgromadzali się późnym wieczorem ludzie talentu i pióra i tu zazwyczaj przy

czarnej kawie i koniakach, a przy większych uroczystościach pod godłem zamrożonych butelek szampana toczyła się ożywiona dyskusya o wszystkich sprawach publicznych, o stosunkach klubowych, o literaturze i sztuce, o prywatnem życiu jednostek, o kobietach, a wreszcie i o półkobietach. Zdania się krzyżawały, trunek do głośniejszych pobudzał okrzyków, czasem i kłótnia zawrzała, a wkońcu nowa kolejka koniaku godziła znów powaśnionych. Na zakończenie niewstrzymaną koleją biegły jovialitates na temat spodniczki, jakich dziś nikt chyba nie wymyśli i w nowej jakiejś knajpce nie wypowie.

Przeczytawszy bilecik Antosia mimo całego rozdrażnienia, w jakie mnie wprowadziło zebranie protektorek bazaru przemysłowego, przebrałem się coprędzej i pospieszyłem do cukierni Kosteckiego.

W samym końcu „kiszki“ w zagłębieniu ściany siedział na wyplatanym fotelu Rzępała, a obok niego Antoś i Warzycki.

Na mój widok Rzępała obie ręce do mnie wyciągnął:

— Jużeśmy sądzili — wykrzyknął — że pogardzisz zaproszeniem maluczkich.

— Coza myśl — odparłem z uśmiechem — wszakże to ja raczej jestem wobec was maluczkim, nic nieznaczącym urzędnikiem.

— Ale pani fortuna zagarnęła cię w swe objęcia, i odtąd...

— Nie mówcież językiem, którego nie rozumię.

— Więc ci powiem po chłopsku — rzekł z naciskiem Rzępała — za jedną rękę ujęła cię księżna, za drugą hrabina i stałeś się odrazu panem sytuacyi. Ho! ho! mój chłopcze, wiemy dobrze, że takie protekcye prowadzą do karyery. Że zaś nie żartuję, choć

mam łeb siwy, a cielsko ranami okryte, sam ci mego miejsca ustępuję. Prezyduj!

Powstrzymałem powstającego ręką, a zajmując wolno obok Antosia krzesło, odpowiedziałem z pewnem w głosie rozdrażnieniem:

— Jeżeliście mnie po to zapraszali, aby kpić ze mnie, woleliście się nie trudzić. I tak mało mi głowa nie pęknie.

— Jak Boga mego — zawołał Rzępała — pan sekretarz bazaru przyswoił już sobie ton Ekscellencyi ministra.

Antoś i Stanisław w głos się roześmiali.

— Przyjmijcież do wiadomości, że sekretarzem bazaru jest książę Alfred Gierymski, a ja sprawowałem dziś jedynie poraz pierwszy i poraz ostatni skromny urząd bezpłatnego pisarza.

I opowiedziałem przebieg zebrania, pomijając oczywiście szczegóły dotyczące siostry Warzyckiego.

— Bogu najwyższemu dzięki, żeś nie wpadł w kabałę — przemówił Rzępała — gdym skończył opowiadanie. Właśnie gdy wchodziłeś, mówiliśmy o bazarze. Myśl piękna, ale komu się brać do tego. Gierymska, to nie księżna Jadwiga, nie Zamoyska, nie z Działyńskich Potocka, ale jedna z tych dzisiejszych utytułowanych pań, które biorą się do spraw wielkich, aby pokryć swą istotną nicość.

— Sąd może zbyt surowy — wtrącił Warzycki.

— Myślisz, że chcę grać rolę Katona — replikował Rzępała — a mnie to ani w głowie. Ale zastanówcie się tylko, dlaczego w stolicy kraju, dlaczego w Krakowie kupcy chrześciańscy coraz rzadszem są zjawiskiem, dlaczego znikają poważniejsze firmy, a jak grzyby po deszczu wyrastają nowomodne bazary ży-

dowskie, dlaczegoż wreszcie tandeta wszelkiego rodzaju górę bierze w zawodzie kupieckim?

— Sądzę, że to znak biedy ogólnej w kraju — zauważyłem.

— Zmniejszenie się dobrobytu — odparł Rzępała — mogłoby usprawiedliwić skromniejszą życia skalę. Tymczasem przeciwnie. Wszyscy żyją na stopie o wiele świetniejszej. Już nie książę Dłuski, ale pan Bajdalski, kupiec korzenny, wyprawia bale, a w aksamitach i jedwabiach nie pokazują się bogaci ludzie, ale żony ubogich urzędników i licho płatnych rządców. Jakiś więc stan chorobliwy, jakaś dziwna gorączka błyszczenia opanowała społeczeństwo, popychając wszystko i wszystkich w kieszeń żydowską. Mitry książęce, korony hrabiowskie, tarcze szlacheckie i prastare zacne godła firm chrześciańskich walają się w kieszeniach Mordków, Meilechów i Pomeranzów. Jakże więc ci, którzy w tak okropnej żyją niewoli, mogą brać się do dzieła, wymagającego zupełnej niezawisłości, spokojnego umysłu i odpowiednich zasobów moralnych i materyalnych.

— Zdaje mi się jednak — odezwałem się — że niewszystkie osoby zebrane dziś u księżnej Gierymskiej tak lichą mają wartość moralną.

— Nie biorę w rachubę jednostek — zawołał Rzępała — ale ogół, a nie mówiąc o mężczyznach, których opanowała na całej linii gorączka władzy, wpływu, znaczenia i stąd wszelkie objawy partyjnej zaciekłości i intrygomanii, gotów jestem przedstawić ci po kolei wszystkie damy, jakie dziś widziałeś, a zobaczysz je bez wyjątku niemal w objęciach Reisli, Rosenthalowej, Baumingerowej, przekonasz się, że prawie wszystkie kupują u żydów nawet jadło i napitek, że wreszcie żadna z nich o wyższych celach

i narodowych obowiązkach nie ma pojęcia, a wtedy będziesz mógł osądzić, czy one dorosły do protektoratu nad przemysłem krajowym.

— A jednak, gdyby się tem szczerze zająć chciały.

— Gdyby, gdyby, naturalnie, że pierwszy czapki bym uchylił, ale inaczej się do tego zabrać potrzeba.

— Jakże to, kochany redaktorze?

— Czytałeś moją pracę o „Posłannictwie Polek“?

— Wyznaję, że nie.

— No to przeczytaj, a zobaczysz, że nie może wpłynąć na kraj żadna z kobiet, gdy sama życiem swem i czynami swymi nie we wielkich, ale w najdrobniejszych codziennego trudu wypadkach, nie okazuje hartu wzniosłej i szlachetnej duszy.

— Przecież tyle kobiet zajmuje się sprawami oświaty, dobroczynności, tyle kobiet składa dowody zaparcia się i ofiarności.

— Wyczytałeś to z gazet, a już Chrystus o takich powiedział: „wzięli zapłatę swoją“. Nie reklama, nie krzyk wielki, ale cnoty ciche, ukryte, życie godziwe, patryarchalne, miara w uciechach i w działaniu, dźwignąć może dawną Polek chwałę. To, co modne, to zawsze dyabła warte!

— Jakże więc kobiety nasze mają wejść na drogę, o której pan wspominasz?

— Niech będą kapłankami domowego ogniska, niech okazują ciche, rzetelne poświęcenie w spełnieniu obowiązków rodzinnych, niech wychowują dzieci w bojaźni Bożej, w czci dla ziemi rodzinnej i w poszanowaniu uczciwej pracy, niech ich serca jako magnes odciągną mężczyzn od błędnych ogników fałszu, pychy i blagi, a wtedy gdy wydadzą hasło: wspierajmy przemysł ojczysty, to słowo stanie się ciałem!

W milczeniu uścisnęliśmy dłoń Rzępały.

VI.

Przymierze „braci“.

W czasie naszej pogadanki w „kiszce“ u Kosteckiego przyłączył się do nas Struga i pewien przedsiębiorca licznych budowli. Ten ostatni wziął na chwilę na bok Antosia, aby z nim pomówić o znaczniejszej dostawie wapna, którego do swych budowli spiesznie potrzebował, a gdy następnie znów ogólniejsza zaczęła się rozmowa, ani opatrzyliśmy się, jak zegar uderzył pierwszą po północy.

— Chodźcie, bo zamykają cukiernię — odezwał się Rzępała.

— Kiedy tak, to chodźmy — odparł Struga — ale pod warunkiem, że nie do domu.

— A cóż to? pstro ci w głowie nicponiu? — huknął Rzępała — widzisz przecie, że mamy gości z prowincyi, toć nie możemy dawać im złego przykładu.

— Nie zawadzi naszym gościom, jeżeli zobaczą lwowskie „piekiełko“.

— Co znów za piekiełko? — pytał ciekawie Antoś.

— Jakto, nie znacie wcale piekiełka? — pytał ze swej strony Struga.

— Ależ nie wyłączamy się, chodźmy! — odezwał się Warzycki.

Prawdę powiedziawszy, rozgrzani winem, nie mieliśmy najmniejszej do spania ochoty, a noc była prześliczna i pełnem księżycowem światłem jakby wzywała nas do dalszej włóczęgi.

— Nie marudźcie ojcze — rzekł Struga do Rzępały — niech szlachta przypatrzy się nocnemu życiu mieszczuchów.

— Z przeproszeniem, brak ci piątej klepki — odparł redaktor — jeżeli w piekiełku chcesz szukać życia, ale jak wszyscy za tem, to i ja się nie wyłączam. Tylko pamiętajcie, że spotkamy tam Krzykackiego, a że mi już dwa razy na nogę nadeptał, gotówem go zapoznać z moją „pysznicką".

— A nie prały to już „Czyste ręce" Krzykackiego?

— To swoją drogą, a co kij to kij! Powiadam wam, że w pewnych wypadkach bez kija ani rusz.

— Nie macie znów ojcze takiej zawziętości w sercu — perswadował Struga — a przytem Krzykacki przy wadach ma i zasługi.

— Jakie? — burknął już w gniewie Rzępała.

— Weredyk prawdę tnie, za biednym się ujmuje, a kupić się nie da.

— Dobryś sobie! on weredyk! na wsteczników wykrzykuje, a popycha lud polski w łapy żydowskie

— Ale czyni to z przekonania.

— A Pomeranz?

— Jestem pewny, że nic od Pomeranza dla siebie nie wziął.

— Ale Pomeranz, Sprinzer i Landiger nabyli na własność połowę „Pukawki".

— Mimoto Krzykacki trzęsie redakcyą.

— Jak trzeźwy i jak jest w redakcyi, ale jak się spije lub nie dopilnuje, to rządzą Mühlingi i inni.

— Każdego można podejść.

— Już mi tylko takich rzeczy nie gadaj — obruszył się Rzępała — bo ty nie znasz jeszcze żydowskich kawałków, a za młodyś bratku, abyś ocenił, czy taki Krzykacki szkodliwie czy pożytecznie działa.

— Macie do niego żal ojcze, ale przekonacie się, że on wypędzi niebawem tych żydów z „Pukawki".

— Ciekawym jakim sposobem.

— Zbiera się koło niego garść ludzi takich, co mu dopomogą.

— Do przefujarzenia kilku godzin przy piwie, na to zgoda — odparł Rzępała — ale z tych krzykunów nie da nikt ani centa na „Pukawkę". Znam ja ten patryotyzm, co na gębie wszystko kończy.

— A Wilczura?

— O! tość dopiero trafił! Chcesz, aby taki Wilczura, główna sprężyna agitacyj socyalistycznych, działał przeciw interesom własnej partyi.

— Ależ już siedzi w „Pukawce".

— Młokos z waszeci! Siedzi, bo nabył jednątrzecią własności „Pukawki" i siedzi też nietylko w „Pukawce", ale i na karku Krzykackiego. Wynika z tego, że „Pukawka" należy w połowie do żydów, w trzeciej części do panów socyalistów, a Krzykacki nie ma już istotnie co lepszego do roboty, jak zalewać robaka. Niechże przynajmniej milczy, ciesząc się tak wierną drużyną, a mnie niech da pokój. Rozumiesz?

— Będę ja z nim gadał o tych żydach.

— Oczy ci zamydli i na czarne powiesz, że białe.

— A no, zobaczymy! — odparł Struga, otwierając drzwi „piekiełka".

Weszliśmy za nim do dużego lokalu przy jednym

z rogów ulicy Krakowskiej. Lokal ten przeznaczonym był na kawiarnię, którą wówczas zawiadował Dobrowolski. Wyrobił on sobie przywilej trzymania lokalu otworem przez noc całą, rzekomo dla wygody przyjezdnych, a w gruncie rzeczy dla spragnionych napitku i nocnych rozchoworów, których mu dostarczali w nieskończoność dziennikarze, literaci, artyści, aktorzy, agitatorzy, wszelkiego rodzaju trybuni ludowi i kandydaci na wielkich ludzi. Tu wysiadywał długie godziny nieboszczyk Grabowski, tu Lam zgromadzał około siebie swych wielbicieli, tu sławna „Łączność i Zgoda“ ferowała wyroki na swych przeciwników w Radzie miejskiej, tu Haczykiewicz w osobnym kątku układał z zaufanymi plany kampanii wyborczej, tu Rzępała ciął reprymendy młodym i starym, tu wreszcie królował Krzykacki i jego cały obóz. Stosy dzienników jak chorągwie różnych przekonań i politycznych aspiracyj zwieszały się na wszystkich dokoła ścianach, kule bilardowe uderzały o siebie nieustannie, zmieniając co godzina walczących, a brzęk kieliszków niby szczęk oręża znamionował we wszystkich salach animusz walczących „na gębę“. Wszystko to zaś razem tonęło w gęstych dymu obłokach tak, że trzeba było dobrze wzrok wysilać, aby poznać kogoś ze znajomych.

Co do nas, nie mieliśmy zamiaru szukać tu kogokolwiek, a odnalezienia zacisznego miejsca podjął się Rzępała, który tu się obracał jak we własnym domu i zacząwszy od bufetowej, każdego niemal po imieniu witał. Mnie natomiast i moich obu przyjaciół jako nikomu nieznajomych oglądano jak rarogów. Od czasu do czasu dolatywał nas w tym przechodzie tłumiony okrzyk: „patrzcie, nowi satelici Rzępały“, ale nie zwracaliśmy na to żadnej uwagi, a Rzępała z miną

królewską krocząc przodem, uśmiechał się po każdym takim wykrzykniku, jakby mówił: „a cóż myślicie, mógłbym ich mieć takich tysiące“.

Tak postępując zwolna naprzód wzdłuż trzech czy czterech sal, mieliśmy sposobność otrzeć się o wiele grup oddanych namiętnej dyskusyi, a nawet zostaliśmy uszczęśliwieni łaskawem pozdrowieniem radcy Haczykiewicza, który raczył się zbliżyć na chwilę do mnie i do Antosia, szeptając w ucho nieznacznie: „przyjdźcież potem do mnie, pogadamy“.

Tymczasem Rzępała dotarł do miejsca, gdzie siedział Krzykacki, i stanąwszy przed nim w naszem otoczeniu, odezwał się:

— Przyprowadzam „Pukawce“ zbiega!

— Możesz go sobie zatrzymać — burknął Krzykacki.

— Jakto, zrzekasz się najlepszego obrońcy, pana Strugi?

— A jak struga jest, to dobrze — odparł Krzykacki, przyglądając się nam baczniej przymrużonemi oczyma.

— Przyprowadzam cały zastęp obywateli! — zawołał Struga.

— Macie co do gadania, to siadajcie, posuń się Mühling.

Pierwszy sekretarz Krzykackiego uczynił to z nadzwyczajnym pospiechem i zajął miejsce w samym kącie, aby być jak najdalej od Rzępały, który bez ceremonii zasiadł obok Krzykackiego, wskazując nam resztę miejsc do około stołu. Z nieznanych nam osób zajmowali przy tym stole miejsca jakiś młodzieniec o semickich rysach twarzy i Wilczura.

— Skądże was licho przyniosło? — rzekł Krzykacki, zwracając się do Rzępały.

— Do licha, dopierośmy przyszli — odparł Rzępała — tych panów, dodał, wskazując na nas, przywiodła tu ciekawość, a Struga podjął się dowieść, że licho nie tak straszne.

— Dajcież ojcze spokój — prosił Struga.

— Co ma sobie żałować, niech gada — odezwał się Krzykacki.

— Chcesz, to ja nie od tego — zawołał Rzępała — ale najpierw napijmy się wódki, zgoda?

Z naszej strony przez grzeczność nie robiliśmy opozycyi. Przyniesiono więc dużą tacę z kieliszkami, a Rzępała ująwszy dużą flaszkę Jarzębiaku, o który nie zaniedbał upomnieć się, rzekł do Krzykackiego:

— Pijże z nami poganinie, abyś miał więcej sił na mnie napadać.

— Napadam, bo i ty napadasz, a kto jest dziennikarzem, ten musi walczyć.

— Co tam, pijmy! — odezwał się Struga.

Wychyliliśmy kieliszki, a Krzykacki zniewolony trącić się z nami, raczył sobie przypomnieć Antosia i przywitać go przymrożeniem prawego oka.

— A i szlachta z nami! — zawołał.

— Otóż w tem sęk, że nie z tobą, boś ty przeciw niej — huknął Rzępała.

— Ja tam nikogo nie szukam — odparł Krzykacki:

— Z wyjątkiem żydów! — wtrącił Rzępała.

Krzykacki, wykrzywiwszy twarz, miał już na ustach odpowiedź, prawdopodobnie niezbyt parlamentarną, gdy siedzący obok Mühlinga młodzieniec z semickimi rysami twarzy, zerwał się z miejsca i przemówił z ferworem:

— Przedstawiam się panom, jestem żydem i szczycę się tem, nazywam się Jungmann, redaktor „Ojczyzny“.

— Bardzo dobrze — odparł niezmieszany tem

Rzępała — atoli wolno mi mimoto utrzymywać, że redaktor polskiego pisma nie powinien iść ręka w rękę z żydami.

— Pan niech nie zapomina, że „Ojczyzna“ jest także polskiem pismem.

— Niechże pan wytłómaczy, jaki ma cel ta „Ojczyzna“.

— Jest organem „Przymierza braci“, „Agudas achim“.

— Niby jakich braci?

— Żydów i Polaków!

— Jak Boga mego, pierwszy raz słyszę, aby bracia potrzebowali zawierać z sobą przymierze, jeżeli się poczuwają być synami jednej matki, chyba że to braterstwo niezbyt wyraźne.

— Idzie o oświecenie ciemnych mas żydowstwa.

— A jak pan sądzi, panie redaktorze „Ojczyzny“, możeby i waszą inteligencyę nie zaszkodziło oświecić o niejednem.

— Inteligencya żydowska założyła „Ojczyznę“.

— Cała? naprawdę? razem z panami Pomeranzem, Sprinzerem i Landigerem.

— Oni należą do wydziału towarzystwa, a szanowny redaktor „Pukawki“ jest naszym wiceprezesem. Właśnie dziś odbyło się posiedzenie nad żywotną sprawą kształcenia żydów w zawodzie rękodzielniczym i przemysłowym.

Krzykacki, który dotąd milczał, uznał za stosowne odezwać się:

— To masz na to odpowiedź, że ja z żydami trzymam. Pracuję nad uobywatelnieniem żydów, bo tą drogą miejsce lichwiarzy zajmą uczciwi rękodzielnicy, przemysłowcy i fabrykanci żydowscy.

— Pod wodzą twoją i panów Pomeranza, Sprin-

zera i Landigera, winszuję, ale zarazem otwarcie dodaję, że z tej roboty dla Polski nic!

— Jakto panie? — wołał Jungmann.

— Do pana nie myślę stosować tego co powiem, bo masz pan, jak widzę, zapał młodości, a dlaczegoż między młodzieżą żydowską, między naszem żydostwem wreszcie wogóle nie mam przypuścić szlachetnych wyjątków. Atoli nie wierzę w to wasze „uobywatelnienie“ żydów, jeżeli na ten cel ofiarowują cokolwiek Pomeranz i jemu podobni, a nazywam bałamuceniem opinii publicznej, jeżeli ich skąpe datki uzupełniać pragniecie chrześciańskim groszem i stwarzacie na ten cel osobne towarzystwo pod szumną nazwą „Przymierza braci“.

— Za pozwoleniem — odezwał się Jungmann.

— Niechże skończę — odparł Rzępała.

— Będziesz znów bajdurzył — zawołał Krzykacki — a tu idzie o to, aby zwrócić masy żydowstwa na lepszą drogę. Liberalna partya upatruje w tem wielki krok na drodze postępu i jest dumną z podjęcia tak doniosłego zadania. Dlatego nic sobie z tego nie robię, że mnie posądzasz o spółkę z żydami, bo jeśli moje dzieło powiedzie się, nie ja, ale kraj będzie miał z tego pożytek.

Jungman, Mühling i Wilczura bili brawo.

Ten ostatni dodał:

— W cywilizacyjnym pochodzie nie możemy zresztą pozostawać dłużej na dawnem separatycznem stanowisku, ale musimy się garnąć do wszystkich, którzy mają tesame cele podniesienia samowiedzy i dobrobytu szerokich mas ludu.

— Toć baranów nie będziecie gnali z wilkami.

— Panie! — krzyknął Jungmann.

— Co to gadać — zawołał rozdrażnionym głosem Rzępała — wy mnie starego chcecie przekonać, że

zmierzacie do jednego celu, a jabym wam zaraz wyjaśnił, że macie trzy odrębne cele, jeśli zgadzacie się na pełną wolność słowa i szczere wypowiedzenie myśli.

— Pogardzam wstecznictwem — odparł Krzykacki — więc nikomu gęby nie zamykam.

— Niech pan mówi, proszę — zawołał Jungmann.

— Na mój argument nie znajdziesz pan odpowiedzi! — ozwał się Wilczura.

— Więc wam powiem: redaktor „Pukawki" w duszy klnie żydów, ale myśli sobie, że zdobędzie wpływ na nich i przy ich pomocy wywalczy tryumf dla swej partyi, pan Wilczura jako prewodyr socyalistyczny nie myśli także o Polsce, ale o dążeniach swego obozu, który znów szczerze mówiąc, nie uznaje narodowości, a pan Jungmann wie dobrze, że żydowstwa nie zdoła przejąć duchem obywatelskim, ale chce zmniejszyć niechęć reszty społeczeństwa do żydów, wreszcie panowie Pomeranz, Sprinzer i Landiger powiadają sobie: na żydów i tak dać coś musimy, niechże więc i katolicy dadzą coś na ten cel, a my, zdobywszy w dodatku w ten sposób ich poniekąd kosztem patenta na patryotyzm, możemy spokojnie uprawiać Geschäfta.

— Co do mnie, protestuję — zawołał Jungmann — ja wierzę w to najmocniej, że uobywatelnienie żydów może przyjść do skutku.

— Łudzisz pan siebie i drugich.

— A Blumenfeld, Goldmann, Loevenstein, Kraushar?

— Jeszcze sam dodam do tych nazwisk parę set innych, chociaż wątpię, czy pod wszystkimi trzema zaborami znajdzie się wśród żydowstwa tylu patryotów polskich, ale zapytam pana zaraz, dlaczegóż dotąd nie złączyli się oni i nic w tym kierunku nie zdziałali?

— Wielkie idee przynosi ze sobą chwila! — z naciskiem rzekł Jungmann.

— Były istotnie takie chwile — odparł Rzępała — gdy Niemcy rządzili w Galicyi, ale wtedy żydzi byli Niemcami, w Królestwie wysilają się, aby dowieść, że są Rosyanami.

— To konieczność polityczna, ale ci sami żydzi w sercach swoich...

— Stoją i stać będą zawsze na stanowisku swoich osobistych interesów i postawią je zawsze przed wszystkimi interesami narodowymi, przed obowiązkami wobec Polski i Polaków, czyli że w całej masie, nie mówiąc o wyjątkach, będą zawsze żydami, a nigdy Polakami.

— A ja jestem innego zdania — odparł Jungmann.

— Dlaczegóż więc — pytał Rzępała — do towarzystwa „Agudas achim“ nie przystąpił żaden z waszych milionerów, dlaczego taki Hirsz nie ofiarował raczej temu towarzystwu swych dwunastu milionów, ale wiedeńskim centralistom, dlaczego z innych powag waszych rej wodzących w plutokracyi europejskiej nie znaleźli się ludzie, którzyby znakomitą jakąś ofiarą zamanifestowali, że im zależy na uobywatelnieniu żydów w tym kraju.

— Przepraszam pana — ozwał się Jungmann — kilku majętnych żydów, jak Rappoport, pozakładało swoim kosztem żydowskie szkoły przemysłowe i wzorowe warstaty rękodzielnicze, dają przytem stypendya dla kształcenia żydów w rolnictwie.

— Niech pan jeszcze do tego doda — rzekł z uśmiechem ironicznym Rzępała — że młodzież żydowska garnie się do szkoł i uniwersytetów, że chętnie przyjmuje stanowiska urzędowe, a ja na to wszystko powiem panu, że czyni to dla siebie, a nie

dla nas, bo rozszerza zakres swego działania, swego wpływu, wciska się głęboko korzeniem w naród, od którego jednak dzieli żydowstwo odrębność celów i myśli tak, że ostatecznie toczy się ciągle skryta a zawzięta walka o chleb, o egzystencyę, o dobrobyt, o majątek. Ducha obywatelskiego zaś jak u żydów nie było, tak nie ma.

— Pan masz wiecznie przed oczyma lichwiarzy.

— Nie panie, mam przed oczyma krocie waszego ciemnego pospólstwa i waszą egoistyczną inteligencyę.

— Dlatego też chcemy stworzyć żydowski stan pośredni: rolników, przemysłowców, rękodzielników.

— Aby miejsce Warzyckiego zajął Sprinzer, miejsce Dziryta Nuchim, miejsce Moreckiego Landiger i t. d.

— Z panem niepodobna mówić spokojnie.

— Czuj duch! — ozwał się Krzykacki — najlepiej robić, a nie mówić. Założyliśmy „Przymierze braci“...

— Bo już „Pukawka“ chwiała się — wtrącił Rzępała.

— Koncepta nie na miejscu — odparł gniewnie Krzykacki — naród musi być zjednoczony, a co lepsze z żydowstwa pójdzie z nami.

— Zatkniemy sztandar oświaty i wolności na strzechach polskiego ludu! — zawołał Wilczura.

— Chorągiew czerwoną, symbol krwi, którą chcecie wycisnąć do reszty z osłabionego ciała ojczyzny — odparł Rzępała.

— Jesteśmy lepszymi patryotami jak pan! — zawołał Mühling.

— A, jeżeli i pan jesteś patryotą, upadam do nóg!

To mówiąc, zerwał się Rzępała z krzesła, pożegnał nas uściśnieniem ręki i nie skinąwszy nawet głową Krzykackiemu i Wilczurze, opuścił lokal.

Ja z Warzyckim i Antoś skierowaliśmy się także ku wyjściu.

Po drodze zaczepił nas radca Haczykiewicz.

— Wdajecie się z tym Rzępałą — rzekł — Bóg wie poco.

— Wcale do rzeczy człowiek — odparł Warzycki.

— Ale ma opinię rewolwera! — odezwał się Haczykiewicz, a przytem i racyi nie ma. Towarzystwo „Agudas achim“ bardzo potrzebne, bo widzicie panowie w dzisiejszych czasach trzeba z żydami politykować, a powtóre z pojęcia demokracyi wypływa, że nie możemy nikogo odpychać, kto się do nas garnie. Ale pomówimy o tem innym razem. Dziś już i tak późno. Jakże tam fabryki panów?

— Zamówień mam stosunkowo mało — odparł Warzycki.

— A ja również nie mogę sobie zdać sprawy z rzeczywistego stanu, bo płyną wprawdzie zamówienia, ale niezbyt znaczne.

— Będzie lepiej moi drodzy — odpowiedział Haczykiewicz — ale powinniście wejść koniecznie w kontakt z naszem gremium przemysłowców i rękodzielników.

— Nie słyszeliśmy o takiem gremium — rzekł Antoś.

— Otóż istnieje od paru lat i rozwija się nienajgorzej. Jestto stowarzyszenie przemysłowców i rękodzielników „Zgoda“.

— Bardzo piękna nazwa! — bąknął Warzycki.

— Znajdziecie tam ludzi pracy, nawiążecie stosunki zawodowe i co najważniejsza, spotkacie niejednego młodego człowieka, który wam przydać się może bardzo na podróżującego agenta.

— Takich istotnie potrzebujemy.

— Przyjdźcież jutro do „Zgody", a i mnie tam spotkacie, zapewniał Haczykiewicz. O ile mogę, popieram poczciwe to stowarzyszenie. Na nieszczęście tak mało mam czasu. Przy moich licznych zajęciach ledwie czasami w nocy znaleść mogę wolną chwilę do gawędy ze starymi przyjaciółmi, dodał jakby tłómacząc się, żeśmy go tu zastali o tak późnej porze.

Wyjaśnił nam jeszcze, że właśnie w domu jutrzejszym będzie w „Zgodzie ex re wyborów do Sejmu większe zebranie i pożegnał nas otrzymawszy zapewnienie, że przyjdziemy niezawodnie zapoznać się bliżej z tem stowarzyszeniem.

VII.
Pod hasłem „Zgody“.

W restauracyi u Toepfera Naftuły, przy ul. Trybunalskiej we Lwowie, siedział w porze obiadowej przy jednym z bocznych stołów przystojny blondyn i przeglądał ranny numer „Pukawki“.

Naraz gazetę odrzucił i nożem o szklankę zadzwonił.

Na to wezwanie z drugiego kąta sali przybiegł mały tłusty chłopaczek, jakich po wszystkich lwowskich restauracyach używają do noszenia piwa.

— No i czegoż się gawronisz — zawołał przystojny blondyn, bombę!

Chłopak zniknął, gość zabrał się powtórnie do czytania gazety, znudził się tem jednak po jakimś czasie i wodził przez chwilę po sali niespokojnym wzrokiem. Piwa nie przyniesiono. Uderzył więc znów nożem o szklankę, ale znacznie silniej.

Przybiegł tym razem ufrakowany kelner.

— Czem panu służyć?

— Jakto czem? Od godziny zamówiłem obiad i nie przynoszą, wołam o piwo i nie mogę się także doczekać. Jaki u was porządek?

Niech pan przebaczy, ale pan płatniczy zabronił podać panu obiad.

— To impertynencya, podam do gazet, znam osobiście wszystkich redaktorów.

— Nie moja wina, przepraszam, bardzo przepraszam.

— Zawołać płatniczego.

Kelner odszedł, po chwili zjawił się gruby, opasły jegomość i ocierając prawą ręką pot z czoła, pytał o rozkazy.

— Mówi kelner, żeś pan zabronił podać mi obiad?

— Nie ja, broń Panie Boże, to pan Naftuła.

— Dlaczego?

— Pan dobrodziej od tygodnia nie płaci, a pan gospodarz mówi, że widują pana w droższych restauracyach, gdzie pan przecież musi płacić i w cyrku przytem prawie codzień.

— Ja, bo widzisz panie Karolu — rzekł już nieco grzeczniej blondyn — czekam właśnie na pieniądze, które może dziś jeszcze odbiorę: paręset guldenów.

— Byłaby bibka panie dobrodzieju, już widzę!

— Zapłaćże dziś za mnie panie Karolu.

— Ciężko panie dobrodzieju, goście mnie pozarywali.

— Ale ja nie z tych, wiesz, że siadam razem z artystami i z redaktorami.

— Cokolwieczek mi ciężko, ale zrobię to dla pana jeszcze tym razem.

— I guldena musisz mi dać szustakami, oddam jutro.

— A jak pan jutro nie przyjdzie?

— Przekonasz się, dostanę paręset guldenów jak dwa a dwa cztery.

— Co mam robić, już widzę, ale żeby było na

pewne, bo bym się upomniał u pańskich znajomych, u pana redaktora Krzykackiego, u pana Haczykiewicza.

Blondyn aż się rzucił na krześle.

— Chyba pan Karol chce mnie zgubić.

— Cokolwieczek mi ciężko, ale guldenem służę, do usług, odparł płatniczy.

— Odwdzięczę się panu Karolowi, — szepnął blondyn, chowając pieniądze do kamizelki.

Po chwili zaczął mu kelner znosić potrawy. Blondyn jadł za czterech, a wypiwszy następnie dwie bomby piwa i z otrzymanego guldena rzuciwszy kelnerowi dziesięć centów za usługę z miną wielkiego pana, opuścił restauracyę.

Znalazłszy się na ulicy stanął jakby się namyślając, w którą pójść stronę.

— Prawdę powiedziawszy — mówił do siebie — czas wielki dać ze Lwowa drapaka, bo już nawet przez ulicę trudno mi przejść spokojnie. Na Teatralnej czeka na mnie Pinkes od godziny i oczy by mi wydrapał, gdybym stanął przed nim bez pieniędzy, na placu św. Ducha Tanger znów za bary mnie złapie, abym mu oddał należytość za palto zimowe, za ubranie letnie i za wypożyczenie fraka, a ja mu nawet tego fraka nie oddałem. Szelma gotów mnie jeszcze do policyi zaskarżyć, a ja jak na nieszczęście muszę dziś iść koniecznie do „Zgody“ i fraka potrzebuję. Wszystkiemu winna Mańka. Coto gadać, w łeb mi wlazła i chodzę jak tuman.

Stał przez chwilę i myślał. Naraz go głos znajomy ocucił.

— Gramolicki, słowo daję Jacuś Gramolicki.

Blondyn nazwany Jacusiem Gramolickim, obejrzał się spiesznie i z uśmiechem wyciągnął rękę do zjawia-

jącego się niespodzianie znajomego, którego powierzchowność pozwalała wnosić, że musiał to być subjekt sklepowy... bez zajęcia. Ubrany w jakąś pstrokaciznę, przybierał ruchy, które miały dowodzić ogłady, a uwydatniały jedynie źle pokrytą trywialność. I sposób wyrażania się dostrajał się również do niesympatycznej powierzchowności.

— Cóżeś wybałuszył ślipie? — mówił do Gramolickiego —gadaj lepiej czy masz co w kabzie?

— Skąd mam mieć?

— Po gębie poznałem, że masz. Aptekara ne zdurysz!

— Naciągnąłem płatniczego na obiad i na guldena.

— Toś pan, bo ja bez grosza i głodny jak pies.

— A ja głowę sobie łamię, skądby wyrwać jeszcze ze trzy reńskie.

— Do „Zgody“ cię ciągnie, aby z Mańką zatańczyć, hę?

— Juścić!

— To się dowiedz, że i ja idę do „Zgody“.

— Nie mając ani grosza?

— Od ciebie pożyczę na obiad, a potem wyszturcham skądeś na ciebie i dla siebie. Przystajesz?

— Bierz pięć szóstek i chodź Rynkiem do Spitznagla. Zjesz sznycel z kartoflami i popijesz piwem. Ja trzymam kompanię.

— Dajże sześć szóstek, bo jak mam co mądrego wymyśleć, to muszę wańtuch napchać.

— Niech stracę!

— Będziesz tańczył z Mańką, słowo daję.

— Zobaczymy.

Poszli do Szpitznagla. Była to knajpka złożona z dwóch izb niewielkich od podwórza w jednym z domów w Rynku głównym. Przychodziły tam liczne zastępy

biedniejszych urzędników i pomniejszych kupców na przekąskę, która była przez wszystkie dnie w roku jednakowa: wódka, kiełbasa gorąca, albo wódka, sznycel i piwo. Ceny były niskie, więc głodni zjadać mogli po dwie i po trzy porcye, zastępując tem obiad. Przeważnie jedli wszyscy stojąc, mało kto zasiadał, a tych usługiwano najgorzej, bo Spitznagel lubiał widzieć u siebie ruch nieustanny.

Gramolicki wszedł ze swym towarzyszem, gdy już kończyła się pora przekąsek i dlatego niewielu zastali gości. Spitznagel z towarzyszem Gramolickiego nawiązał też rozmowę, z której wypływało, że go znał od dawna i poufale nawet Jurkiem nazywał. Jakoż Jurek wychyliwszy drugi kieliszek, nie omieszkał z tej kordyalności Spitznagla skorzystać, zwłaszcza, że tenże widocznie nie wiedział, że Jurek posadę dawną utracił i był bez miejsca.

Uderzył się przeto Jurek nagle w czoło, robiąc przytem minę, jakby o czemś ważnem na śmierć zapomniał.

— Będziesz miał pewnie kłopot z pryncypałem — rzekł śmiejąc się Spitznagel.

— A ty co myślisz? stary chce, aby mu wszystko w mig robić, a tu djabli łeb mieć trzeba, aby wydążyć.

— Zapomniałeś o jakim sprawunku.

— Co ci przyjdzie z tego, że się wygadam.

— A może pomogę.

— Nie pomożesz, a jeszcze mnie w złość popchniesz.

— Pomogę, bo chcę, abyś pogadał z pryncypałem w sprawie prolongaty mojego terminu.

— A kiedyż to wypada?

— Płaciłbym powinien za tydzień, ale dogodniejby mi było za dwa.

— Dużo?

— Dwieście złotych reńskich.

— Ee! dla mojego pryncypała to mucha! Powiem słowo i zrobione.

— Dziękuję serdecznie, a może jeszcze wódeczki?

— Dajże bracie dziesięć blatów do pojutra.

— Aż do terminu, nie potrzebuję pierwej.

— Dobrze, bo i ja nie zawsze wybiedz mogę. Pryncypał nie lubi wychodów.

— Ma racyę!

— Wieleśmy winni za przekąskę?

— Jurek, nie obrażaj mnie — ozwał się Spitznagel — przekąska do mnie należy, a ty pomów zato z pryncypałem.

— Tylko mu się nie pokazuj aż za dwa tygodnie.

— Rozumię.

Jeszcze raz zacisnął Spitznagel dłoń Jurka, który wziąwszy pod rękę Jacusia, wyszedł z nim spiesznie i szedł, nic nie mówiąc, aż na drugą stronę Rynku, tu dopiero w trafice zakupiwszy cygara, wręczył mu cztery reńskie a chowając resztę do kieszeni, rzekł przekonywającym głosem:

— A widzisz!

Gramolicki nie zdawał się jednak dzielić tryumfu przyjaciela. Wychodząc z trafiki, szepnął mu też do ucha:

— Djabelnie mi ciężą te pieniądze.

— Nie sztuderuj tylko, bądź kontent, kiedy masz zaco iść do „Zgody“.

— Ale jak się wyda?

— Co się ma wydać?

— Przecież od dwóch tygodni nie masz żadnego pryncypała.

— Ale dziś w „Zgodzie“ wyszukam sobie nowego i zapłacę Spitznagla.

— A jak nie wyszukasz?

— Zdurniałeś chyba, potrafię jeszcze pogadać i z tym i z owym. Dawny pryncypał nie ma powodu na mnie szczekać, żem chciał z boku zarobić. Każdy będzie taksamo robił, a i on musi uważać, bo wino fałszuje w piwnicy.

— Więc myślisz o nowej posadzie.

— Tak jakbym ją miał, a nawet dla ciebie co wymyślę. Przecież nie chcesz dostać się do ula (więzienia) lub zmykać ze Lwowa.

— Wszystko mi kością w gardle stoi, w domu pokazać się nie mogę, bo matka desperuje, że przezemnie dom przepada, w całem mieście wszędzie mam długi, a o robotę ani rusz.

— Znalazłbyś, tylko żeś ty pan.

— Kupczykiem być nie chcę.

— Miałeś dyurnum przy sądzie.

— Parę razy spóźniłem się.

— I nagonili, byłem tego pewny. Więc słuchaj mnie teraz. Mam myśl.

— Na dyurnistę już nie pójdę i do handlu nie pójdę.

— Znasz radcę Haczykiewicza?

— Miałem awanturę z policyą w czasie wyborów przed paru laty i siedziałem dziesięć dni w kozie. Kargel mnie wtedy najął dla Haczykiewicza, alem ich nie zdradził. Przytem chodzę często do „Gazety demokratycznej“ i przynoszę wiadomości brukowe, jeżeli jakie mam.

— No to słuchaj, Haczykiewicz dziś będzie w „Zgodzie“.

— Wiem.

— Ale nie wiesz, że ma tam wyszukać zdolnych agentów dla jakichś wielkich panów.

— A ty skąd wiesz?

— Podsłuchałem wczoraj w „piekiełku“, ale o teś ani mru mru, będziemy obaj prosić pokornie o pracę i na tem koniec, ty mnie przedstawisz. Powiem, żeś zdarł podczas wyborów trzysta świeżych plakatów i żeś za nim krzyczał.

— Dobrze.

— Bądźże zdrów. Zobaczymy się w „Zgodzie“.

* *
*

Nie wiem, czy mi się zdarzy drugi raz w życiu być na takiej fecie, na jaką mnie zaprowadzili do „Zgody“ Antoś Grodziski i Stanisław Warzycki. Sale nie były wprawdzie tak piękne, jak w pałacu hr. Bombalskiej, nie było również takiej mnogości świateł i tak okazałych toalet, nie było książąt, Ekscellencyj, hrabiów, prezydentowych, dyrektorowych, profesorowych i doktorowych, ale były natomiast kwiaty polne, porywające świeżością, w pośród zieleni najlepszych chęci i instynktów, a w miejsce przytłaczającej cieplarnianej atmosfery dumnych salonów, było tam letniego poranku orzeźwiające ciepło tryskające słonecznemi promieniami z serc prostych i szczerych i z pragnień najszlachetniejszych, które na każde goretsze słowo ludzi poważniejszych jakby się wyrywały z zachwytem niepokalanej prostoduszności ku tajemniczem światłom przeczuwanych ale niezrozumianych jeszcze i należycie duszą nieogarniętych ideałów.

Cieszyłem się więc ale i smuciłem tym bezbrzeżnym, beznadziejnym smutkiem, który naszą pierś rozrywa, gdy widzimy rwącą falę zgubnych nowoczesnych prądów partyjnych, zalewającą ojczyste pola

i łąki, zagrody wieśniacze i spokój robotnika, warstaty przemysłowe i pracę rękodzielnika, odważną incyatywę fabrykantów krajowych i talenta rodzime zaskoczone nawalnicą wśród twórczej pracy.

Gdybyż choć ta fala biła ku nam z jednej tylko strony, od obcych, to możebyśmy złączyli się przeciw niej i pobudowali jakieś tamy i groble, ale ona wężowymi bieży szlakami, w rozlicznych punktach pianą niezrozumiałych zawiści i niechęci, złości i podłości znaczy ten bieg swój dziwny i nieuchwytny, przybiera postać cichych strumyków niby potrzebnych i zbawiennych, drży nawet jako rosa poranna na najpiękniejszych kwiatach, aby po chwili nagle strumyki z brzegów wysadzić, a kwiaty rdzą prywaty i zgubnego szału zgryść i zniszczyć do szczętu. Nie rozumieją jej po większej części i nie wiedzą o niej, do których serc niewidocznie spływa, nie są w stanie opanować jej i położenia ocenić, których porywa ta fala, bo już w otchłań biegnąc nieznaną, przecież jeszcze w piersi się biją, zapewniając o swej miłości dla ojczyzny i o miłości dla braci swoich, a gdy zgubę ojczyźnie, a braciom nieszczęście gotują, o pojednaniu jednak prawią, osłaniając nierozważne czyny świętem hasłem „Zgody“.

Ileż razy łzy miałem w oczach, gdym widział „Zgody“ sztandar powiewający ku obłokom wśród ogólnych uniesień i przy dźwiękach narodowej pobudki, ale gdy wszystko przebrzmiało i miałem sposobność zajrzeć w serca przewodników, widziałem tylko rdzę prywaty, pianę wściekłości partyjnej, a poza nielicznymi odbłyskami szczerych serc i prawych, najnędzniej oszukane tłumy rozrywane rwącą falą na partye, stronnictwa, koterye walczące przeciw własnym ziomkom, przeciw ojczystej ziemi, przeciw Bogu,

a nawet przeciw samym sobie. A sztandar powiewał ku obłokom i urągał tej niedoli świętokradzkim napisem: „Zgoda“.

Stowarzyszenie przemysłowców i rękodzielników lwowskich mieściło się w jednym z domów przy ul. Akademickiej, która w owe czasy przedzielona jeszcze była Pełtwią na dwie części. Stowarzyszenie odnajmowało parę izb od sławetnego cechu krawców, do którego dom należał. Na większe zebrania odstępował cech krawiecki pp. przemysłowcom obszerną salę cechową i przyległą doń kancelaryę, i z tego tytułu z okazyi większych zebrań gospodarzył w stowarzyszeniu „Zgoda“ starszy cechu krawieckiego Imci pan Onufry Asbukowicz. Złośliwi utrzymywali, że pochodził z Bajek, najbardziej zaniedbanej pod względem oświaty wiosczyny pode Lwowem, ale faktem jest, że mimoto pan Onufry Asbukowicz był przez jedną kadencyę radcą miejskim, a jako starszy sławetnego cechu nosił przy wszystkich uroczystościach ogromne berło.

Gdyśmy o godz. 7. weszli na salę „Zgody“, zastaliśmy już mnóstwo osób przeważnie ze sfery rękodzielniczej, gdyż jak nam jeden z komitetowych opowiedział, kupcy zasobniejsi uważają się we Lwowie za lepszą i odrębną kastę, a przemysłowców na większą skalę Lwów ma niewiele. Z pomiędzy wybitniejszych przemysłowców spotkaliśmy tu jednak Dziryta, plantatora i fabrykanta cykoryi, Łarzyckiego, fabrykanta octu i musztardy, Korsunia, fabrykanta drożdży, Ilińskiego, fabrykanta wyrobów żelaznych, Sanockiego, fabrykanta szyn kolejowych i kilku innych. Zaledwie nas spostrzegli, pospieszyli nas powitać z niewymuszoną serdecznością starając się okazać radość i zadowolenie, żeśmy nie wzgardzili skro-

mnymi progami stowarzyszenia. Że jednak w sali zgromadzały się coraz liczniej żony i córki członków stowarzyszenia, a wobec płci pięknej nie podobna było rozmawiać z całą swobodą, na wniosek Ilińskiego przenieśliśmy się do sąsiedniej kancelaryi. Tu dopiero z całą swobodą popłynęły wynurzania na temat wspólnych potrzeb i interesów.

Korsuń utrzymywał, że fabryka jego wykazuje ciągłe straty.

Wydało mi się to nieprawdopodobnem wobec ogromnej konsumcyi tego artykułu w kraju naszym.

— Cóż pan chcesz — odparł Korsuń na moją uwagę. Wszyscy chwalą moją odwagę, wszyscy chwalą mój produkt, ale kupcy nasi sprowadzają wyłącznie wiedeńskie drożdże.

— A ty biedaku — zauważył Łarzycki — tracisz skromny mająteczek, zebrany trzydziestoletnią pracą na tułaczce po zagranicznych zakładach fabrycznych.

— Niby u ciebie lepiej! — rzekł na to Korsuń.

— Zaczyna być lepiej odkąd wziąłem się na sposób.

— Przecież nie mieszasz fałszywych ingredyencyj, jakto czyni Korkes.

— Ale używam podwójnej marki: polskiej i francuskiej. I cóż powiecie, że musztarda z etykietą polską słoik po 30 ct. leży stosami na składach, a tasama musztarda z etykietą francuską słoik po 60 ct. ma wcale niezły odbyt.

— Ja zaś musiałem przyjąć żydowskiego doglądacza — odezwał się Dziryt.

— A czegoż taki jewrej ma doglądać w twojej fabryce? chyba twojej kieszeni.

— Chrześciańscy kupcy sprowadzają cykoryę przeważnie z poza kraju, niewielu tylko poczuwa się do

obowiązku pomyśleć o producencie krajowym, pozostają więc żydzi, którzy mają większe zaufanie do wyrobów moich jak do wyrobów żydowskich, a ci znów chcą mieć cykoryę koszerną.

Iliński i Sanocki swoje wywlekali żałoby, wszyscy wyrzekając przytem na coraz większe wymagania czeladzi, a nawet chłopców, nieodpowiadające zasobności fabrykantów krajowych, walczących z brakiem kapitału obrotowego i zupełną apatyą szerszej publiczności w stosunkach spraw przemysłu krajowego.

— Przejdziemy do sali, a przekonacie się panowie sami — mówił Iliński — jak nas pobijają ci nawet, co za najlepszych naszych przyjaciół uchodzić pragną. Jesteśmy ludźmi pracy i nie pogardzamy człowiekiem pracy, ale sądzę, że mamy prawo poczuwać się do równości i braterstwa tylko z tymi, którzy istotnie rzetelnie pracują.

— I dbają o godność naszego stanu — dodał Sanocki.

— Otóż w tem sęk — ozwał się Dziryt — że panom redaktorom „Gazety demokratycznej“ zdaje się, iż ten tylko rękodzielnik i przemysłowiec coś wart, który do ich partyi należy i demokratą się nazywa.

— My przecież wszyscy jesteśmy demokratami! — zawołał Łarzycki.

— Ale oddani ciężkiej walce o byt, nie możemy tracić czasu na rozmaite agitacye wyborcze.

— Kto się trzyma Haczykiewicza, tego beszta Pysznicki, Rzępała, Krzykacki, kto się zaś trzyma Pysznickiego, tego poniewiera „Gazeta demokratyczna“.

— Więc też — mówił znów Dziryt — z konieczności trzymamy się na uboczu i poczytujemy za pierwszy punkt lepszej przyszłości mieszczaństwa polskiego, aby sumienność zawodowa była podstawą na-

szego stosunku wzajemnego i naszego stosunku do szerszej publiczności.

— Ale do tego nie doprowadzimy — zauważył Korsuń — bo wielu dobrym przemysłowcom i rękodzielnikom pochlebia to, że odgrywają rolę przy wyborach, i że gazety o nich piszą i uważają to za daleko ważniejsze od normalnego rozwoju swoich przedsiębiorstw. Dlatego znajdziecie panowie w zebraniu dzisiejszem ludzi zacnych i poczciwych, a obok nich mnóstwo ludzi o dobrych chęciach, ale o przewróconych głowach.

— A obok nich jeszcze gorszych, bo próżniaków bez wiary i sumienia, którzy wyzyskują dobroduszność rękodzielników.

— Czemuż takich ludzi wpuszczacie do swego grona?

— Znajomość to poszczególnych członków z handelków i szyneczków, z nocnych birbantek i majówek przygarniających wyrostków bez posady, gładkich adonisów i blagierów wszelkiego rodzaju.

— Za drzwi bym takich powyrzucał — odezwał się na to Dziryt.

— Ale nie powiesz tego, gdy ich zobaczysz dziś rozprawiających z Haczykiewiczem, Kargelem, Krzykackim i z innymi panami.

— Więc zreformujcie stowarzyszenie!

— Sami myśleliśmy o tem, ale na to nie zgodzą się redaktorowie „Gazety demokratycznej“. Oni potrzebują stowarzyszenia do celów politycznych, wiedzą, że dopóty wpływ mają, dopóki w stowarzyszeniu panuje duch dzisiejszy. Gdybyśmy więc wystąpili z wnioskami reformy, okrzyczeliby nas stańczykami, zdrajcami, a sami rękodzielnicy wyrzuciliby nas z grona członków.

— Możecie się postarać o większość na walnem zgromadzeniu. W takim razie zgromadzenie rozbiją, a na następne przyprowadzą zastępy nieznanych ludzi, co nas czapkami zasypią.

— Nie pojmuję więc — rzekłem — poco tu przychodzicie?

— Przychodzimy, aby w szerszej publiczności, która się interesuje stowarzyszeniem, a której do rękodzielnictwa i przemysłu krajowego zrażać nie należy, podtrzymać kredyt stowarzyszenia, przychodzimy zresztą, bo w mieszaninie najdziwniejszej są jednak ludzie prawi i zacni, zawieruszone głowy, które uratować można, żony wreszcie i córki obywateli naszej sfery, zasługujące na pamięć i opiekę.

— Nasze to gniazdo — dodał Dziryt — złe w niem widzimy i odczuwamy, ale pluć nań nie możemy.

Przeszliśmy do innych spraw, opowiadając z kolei nasze własne przejścia, gdy naraz drzwi się otworzyły i wszedł do kancelaryi pan Onufry Asbukowicz. Zobaczywszy nas, stanął i podparłszy bok lewą ręką, zawołał z groźną miną:

— Kto panom pozwolił wchodzić do kancelaryi, powiedziane było, że przyjmować tu będziemy radcę Haczykiewicza.

— Najzupełniejsza zgoda — ozwał się Korsuń — ale poco pan tak krzyczysz.

— Ja tu pan — odparł Asbukowicz — a komu nie recht, niech się wynosi.

— Mamy gości z prowincyi dla załagodzenia sytuacyi — wtrącił Dziryt.

— Aa! gości! bardzo dobrze! grzeczniejszym już tonem przemówił Asbukowicz, ale to darmo, ja porządku muszę pilnować. Proszę panów na salę, powiedzianem było, że po odczycie będziemy w kance-

laryi przyjmować pana radcę Haczykiewicza, to się i panów zaprosi.

Nikt nie oponował.

Przeszliśmy więc do wielkiej sali, gdzie po chwili profesor Miazga rozpoczął wykład o ostatnim „Sejmie grodzieńskim“. Mówił płynnie a przedstawiał rzecz popularnie, zrozumiale. Temat dawał mu sposobność do krasomowczych, patryotycznych zwrotów i obserwując wrażenie, jakie odczyt sprawiał na zebranych, widziałem i zajęcie żywe i rozbudzone jakieś w głębi duszy drzemiące głębsze uczucie patryotyczne, bo zarówno gromkie oklaski o tem świadczyły, jak i łzy, jakie w niejednych zobaczyłem oczach. Twarze wszystkich niemal kobiet, szczególnie młodych, zdradzały chęć wiedzy, chęć poznania prawdy. Szyje naprzód wyciągnięte, usta nieco rozwarte, oczy w profesorze zatopione, rumieńce oblewające od czasu do czasu młodzież żeńską, aż nadto wymownie to potwierdzały. Prócz tego w czasie odczytu cisza najzupełniejsza panowała w sali, pomimo, że była po brzegi zapełnioną.

Cisza ta na kilka chwil tylko przerwaną została wejściem radcy Haczykiewicza, którego poprzedzał Asbukowicz, a za którym postępował zastęp rozmaitych figur męskich, jakich przedtem nie widziałem w sali. Figury te przystrojone były w tużurki i fraki, miały nawet pretensyę do elegancyi, ale w czasie odczytu wobec tego, co poprzód zauważyłem, odpychały raczej niż przyciągały do siebie. Najpierw nie podobało mi się, że ustawili się tak, aby Haczykiewicz mógł ich obecność zauważyć, i że w czasie odczytu pozwalali sobie na rozmaite źle tłumionym szeptem wypowiadane uwagi, strojąc takie miny, jakby oni dobrze przedmiot odczytu znali. Wreszcie

znaczna część fizyognomii uwydatniała lenistwo, apatyę, pociąg do opilstwa i pyszałkostwo. Sprawiali jednem słowem wrażenie zielska, które ochota zbierała oderwać i usunąć z tego miejsca, aby nie psuło wdzięcznej harmonii rodzimych kwiatów polnych i dojrzałych owoców długoletniej walki i pracy.

Skończył się wreszcie odczyt i nagrodzono profesora gorącymi oklaskami. Czemże jednak była ta nagroda wobec tej, którą niemal wyłącznie za podobne odczyty otrzymał od obywateli. Dzięki agitacyi wszystkich członków stowarzyszenia wybrano go posłem do Rady państwa, a ta wdzięczność stwierdza niewątpliwie, że w klasie tej materyał przyszłości szanowny i obfity, że serca i instynkta u tych ludzi niezepsute i byle je tylko na dobrą drogę zwrócić, wyniosłyby nie profesora, ale sztandar swój zawodowy, godność i powagę pracy swojej wysoko w górę ponad zapasy partyjne. Ale szanowny profesor mimo najlepszych chęci sam na tę drogę w obecnych stosunkach naszych ich nie zwróci. Jego partya rości sobie prawo do wszystkich jego sił. Biada mu, gdyby chciał być samodzielnym. Wolno mu co najwyżej rzucić wyborcom swoim jałmużnę kilku dalszych odczytów, ale i na tem koniec. Gdyby śmiał pójść krok naprzód, wodzowie partyi opluliby go w gazetach galicyjskich, których żydowscy współpracownicy czyhają tylko na sposobność, aby kogoś zohydzić i zniesławić. Dlatego szanowny profesor jest w temsamem położeniu, co członkowie stowarzyszenia. Popatrzmy tylko, jak po odczycie rozmawia z Haczykiewiczem i jego satelitami, jak podbija benbenka Asbukowiczowi, jak jakiegoś darmozjada i wydrwigrosza wyborczego w kącie ściska, jak najnędzniejszym próżniakom schlebia, jak bąkom nadętym kadzi, jak zabiega na wszystkie

strony, aby swą popularność podtrzymać i podeprzeć jakąś sprawę, którą mu podszepnął Haczykiewicz. Piorunował w odczycie na rozpasanie namiętności przeróżnych stronnictw i koteryj, na rozbicie sił narodowych, a cóż sam robił po odczycie, mając przed sobą takich ludzi materyał, który spajać i łączyć najłatwiej. A cóżby mógł innego robić, jak to co robić musiał. Partya domagała się wzmocnienia siły partyjnej, więc podniecał kastowość partyjną. Wszakże radca Haczykiewicz nauczył go bardzo przystępnych formułek, które usuwały wszelkie skrupuły patryotycznego jego sumienia: „Partye są dowodem siły narodu, bo tylko tam, gdzie jest walka, może być mowa o zwycięstwie“. Szanowny profesor dowiódł atoli sam w swoim odczycie, do jakiego zwycięstwa doprowadziliśmy w Grodnie.

Po odczycie, gdy z sali część krzeseł usunięto, „Harmonia“ zagrała poloneza, radca Haczykiewicz podał rękę pani Asbukowiczowej, a profesor Miazga żonie prezesa stowarzyszenia i staropolskim tańcem rozpoczęto ochotę. Korsuń, Dziryt, Kiński, Sanocki i kilku innych odeszło, jak zauważyłem, cichaczem do domów. Nas trzech, jako gości, zaprosił po polonezie Asbukowicz do kancelaryi, gdzie czekali już Turski, Kargel i inni na Haczykiewicza i Miazgę. Jakoż ocierając kroplisty pot z czoła, weszli po chwili z całym zastępem rozmaitych figur, łaknących ich łaskawego wejrzenia. Stoły pozastawiane jadłem i napitkiem miały pokrzepić biedne ciała, mowy i toasty miały być dusz bratnich pokarmem i uzupełnić skutki odczytu prof. Miazgi. Stanowczo jednak według mego i przyjaciół moich zdania, ten odczyt był nieskończenie lepszym od wszystkich mów i toastów, które w pokorze ducha musieliśmy wysłuchać.

Najpierw chciał głos zabrać szewc Gadulski, ale Kargel mu przerwał, wnosząc zdrowie Miazgi jako prelegenta, a w zamian za tę koleżeńską uprzejmość, profesor Miazga toastował na cześć znakomitego pedagoga Kargela. Następnie dopiero dopuszczono do głosu Gadulskiego, który sapiąc i jąkając się, wypowiedział długą oracyę na cześć Haczykiewicza, kończąc ją słowami:

„Narodzie! ani wiesz, coza człowieka dał ci Pan Bóg. Węgry i Czesi doszli do honoru i swobody, a my szewcy wierzymy w ciebie Jaśnie Wielmożny Panie i Ojcze, że nas podniesiesz, bo straszna jest bieda wszędzie i poratunku nie ma z niskąd. Patrz na nas, myśmy wszyscy twoi, idziemy za tobą, jak jeden mąż i nie ustąpimy, żebyśmy mieli poginąć. Ja nie ustąpię, jak moje dzieci kocham!

Głos mowcy stawał się tak krzykliwym, że Haczykiewicz dał jakiś tajemniczy znak Asbukowiczowi, który bez ceremonii przerwał mowcy:

— Pozwól pan, trzeba zrobić tusz!

— Ano trzeba — odparł Gadulski.

Asbukowicz, ująwszy potężny kielich, dał znak aby otworzono drzwi do głównej sali, gdzie właśnie tańczono galopkę i stanąwszy we drzwiach, huknął silnym basowym głosem:

— Muzyka! proszę przestać!

Muzyka przestała grać, pary zatrzymały się w biegu.

Asbukowicz mówił z podniesionym kielichem:

„Moi panowie! zaszczycił nas gość zasłużony, który przez te swoje najłaskawsze odwiedziny oddał cześć wielką cechowi krawieckiemu i waszemu stowarzyszeniu rekodzielników i przemysłowców. Powinniśmy za to podziękować, jak się patrzy i wypić

zdrowie naszego gościa. Radca Haczykiewicz, opiekun i ojciec przemysłowców i rękodzielników polskich, protektor i dobrodziej cechu krawieckiego, niech żyje! Ja, jako starszy, będę wołał najprzód, a wy jak na komendę za mną! Potem muzyka, proszę, aby mi był tusz. A więc zaczynam, poraz pierwszy: niech żyje!“

I ten raz i dwa następne gromkie niech żyje, odbiło się donioslem echem, że aż szyby zatrzeszczały.

Radca Haczykiewicz ocierając pot z czoła chustką, którą zręcznie do oczu zwracał, jakby łzy wzruszenia przytrzymując, wyszedł na to ku drzwiom sali, a Asbukowicz znów huknął:

— Muzyka halt! Proszę państwa o spokój, pan radca mówi!

Jakoż mówił Haczykiewicz ze zwykłą swadą, mówił o tem, że obcy produkt kraj zalewa, że niedola coraz częstszym jest gościem w warstatach i pracowniach, że myśl o przyszłości nawet podczas godzin wytchnienia przerywa i wypoczynek i zabawę. Atoli ta przyszłość, zdaniem mowcy, zależy od samych rękodzielników i przemysłowców, jeżeli zaufaniem swojem nadal będą popierać mężów, którzy bronić pragną wiernie ich interesów, i którzy nie są do nabycia za żadne skarby świata. Wobec zbliżających się wyborów trzeba więc z góry obmyśleć i przygotować taką organizacyę, którąby okazała wypróbowaną już niejednokrotnie siłę stowarzyszenia. Mowca sterał już swoje siły w służbie publicznej, ale gotów przyjąć znów mandat, ponieważ wobec obecnego położenia rękodzielników i przemysłowców polskich upatrywać w tem musi nietylko zaszczyt, ale ciężki i ważny obowiązek. Tu brawa tak potężne przerwały mowcy, że nie mógł dalej mówić, muzyka zagrała: „Jeszcze

Polska nie zginęła", a przy dźwiękach tego narodowego marsza obniesiono radcę Haczykiewicza po trzykroć dokoła sali. Mężczyzni krzyczeli: wiwat niech żyje! a kobiety nie rozumiejąc sytuacyi, rozrzewnieniem opanowane, płakały i kwiatami zarzucały tryumfatora.

Wreszcie pochód doszedł znów do drzwi prowadzących do kancelaryi, a Haczkiewicz uwolniony od uścisków przyjaciół, raczył oznajmić, że należy pozostawić młodzieży swobodę w uczciwej zabawie, bo młodzież, jak mówił, „do pracy potrzebuje pokrzepienia".

Znowu więc zabrzmiało: niech żyje! poczem drzwi sali zamknięto, a Haczykiewicz na dawne miejsce wracając, kończył przerwaną okrzykami mowę:

„Jeżeli zapytacie moi drodzy o wyniki dotychczasowej pracy, zamiast odpowiedzi, wskażę wam, jak wielkiego poważania zażywa u szerszego ogółu, u wszystkich warstw narodu wasze stowarzyszenie, w którego szeregach obok mieszczan stają już obywatele wiejscy, jak tego dowodzi obecność na dzisiejszem zebraniu zacnych ziemian pana Grodziskiego i Warzyckiego, zacnych i cenionych przemysłowców. Tryumfem też dla nas niemałym sprawa założenia bazaru dla przemysłu krajowego, do czego myśl od nas wyszła i przez jednego z naszych w czyn zamienioną została. Upatrując w tem dobrą wróżbę lepszej przyszłości i niezbity dowód rozkrzewiania się w kraju idei demokratycznej, piję zdrowie założyciela bazaru krajowego dyrektora Turskiego, szermierza wolności i chorążego demokracyi polskiej".

Gdy spełniono ten toast, dyrektor Turski z całą skromnością zaznaczył, że nie położył żadnej zasługi w sprawie bazaru, bo jako chorąży powolny był hasłom czcigodnego wodza, radcy Haczykiewicza, któ-

remu podziękować należy za gotowość, z jaką ciężkie trudy poselskie podejmuje się wziąć znów na swoje iście niestrudzone barki.

Znowu nastąpiły oklaski i okrzyki. Gadulski przysięgał, że sprowadzi do urny wszystkich szewców, Asbukowicz ręczył za krawców, reprezentanci innych cechów zaprzysięgali również wierność, a Turski podjął się zorganizować agitacyę.

Wobec tego wypił Miazga zdrowie braci cechowej, a Kargel specyalne zdrowie Gadulskiego, sam zaś wódz naczelny, Haczykiewicz, w długiem przemówieniu uczcił wiekopomne zasługi Onufrego Asbukowicza, który w taki wpadł skutkiem tego zapał, że otworzywszy drzwi wielkiej sali huknął basowym głosem:

— Muzyka, tusz trzy razy, płacę muzykantom kolacyę!

Warzycki nie mógł się wstrzymać od śmiechu, a zauważywszy to Haczykiewisz dla salwowania powagi zgromadzenia, wstał od stołu i zwracając się do nas rzekł:

— Dość już poważnych rozpraw. Może panowie przejdziecie się ze mną po sali.

Otoczenie zwykłe pana radcy chciało również wyruszyć za nim, ale ręką dał znak, aby pozostać przy stołach, skutkiem czego Kargel, Gadulski i Figielski rzucili się żwawo do półmisków.

Asbukowicz ich apetyty poparł uwagą:

— Jedzcie, bo szkoda, aby zostało! To za pieniądze cechowe.

Figielski mu szepnął do ucha:

— Dajno butelkę szampana.

— Ale w „Gazecie demokratycznej“ napisz o toaście radcy na moją cześć, rozumiesz?

— To się rozumie!

— Dam wam dwie butelki szampana! znajcie, że ja pan! — głośno rzekł Asbukowicz.

— Wiwat cech krawców! — zawołał Kargel.

— Co tam cech krawców — odparł Gadulski — górą szewcy, ale jak pić szampanem, to już zdrowie pana starszego, Onufrego Asbukowicza, pójdź tu królu mój, duszo przezacna, bodajeś...

Nie dokończył, bo pijąc łapczywie, zakrztusił się i kaszlał sporą chwilę. Z niechęcią odwróciłem się od tej grupy i zwróciłem wzrok na główną salę.

Haczykiewicz wracał już z Warzyckim i Grodziskim, gdyż przechadzka wśród tańczących przy dość znacznym ścisku w sali łatwą nie była.

— Powiadam wam — mówił do Warzyckiego i Grodziskiego — obaj młodzieńcy, których wam przedstawiłem przed chwilą, jakby urodzeni na agentów. Gramolicki potrafi się wszędzie wkręcić, a na pana wygląda i już samą miną zaufanie budzi, jego przyjaciel pono jeszcze zręczniejszy.

— Nie omieszkam skorzystać z pańskiej rady — zapewniał Warzycki.

— Serdecznie cieszyć się będę z waszego powodzenia! — protekcyonalnie dodał Haczykiewicz.

Muzyka w tej chwili zagrała mazura. Mimowoli spojrzałem na salę.

Na czoło długiego szeregu par tańczących wysunął się Gramolicki z prześliczną danserką o jasnych blond włosach. Spytałem Asbukowicza o jej nazwisko.

— Obywatelska córka panie, nie byle jaka.

— A kimże jest pan Gramolicki.

— Literat panie, pisze do „Gazety demokratycznej“.

Znałem prawie wszystkich literatów we Lwowie, ale nie słyszałem nigdy o Gramolickim, chociaż więc pierwszy, a prawdopodobnie i ostatni raz widziałem jego danserkę, serdecznie żal mi było w tej chwili dorodnego polnego kwiatu, który tonął w objęciach zielska o trzy kroki od pijanego ojca.

VIII.

Agenci chrześciańscy i faktorzy żydowscy.

Szymon Gruber nie nazywał się w rzeczywistości ani Szymonem ani Gruberem. Przy urodzeniu nazwano go bowiem Simche, a ojciec jego, który za liczne oszustwa dostał się do więzienia i zmarł w zakładzie karnym, nazywał się Grubsze. Młody Simche walając się przez szereg lat w rynsztoku, nie przywiązywał w tym okresie życia żadnej wagi do swego rodowego nazwiska. Używał go jeszcze w młodzieńczych latach, gdy dostawszy się na służbę do Pake Rosenthalowej chodził z posyłkami do jaśnie wielmożne kundmany. Sprawował się w tym czasie bardzo dobrze, czego najlepszym dowodem, że z pierwszej płacy czterech centów na tydzień awansował na dwa reńske miesięcznie, i że przy tak małej pensyi w 19. roku życia miał „uszparowanych“ 26 złr. Nauczył się prócz tego jakotako czytać i pisać po hebrajsku, a pisanie w języku polskim doprowadził do tej perfekcyi, że umiał się od biedy podpisać.

Uskładane pieniądze z początku chował w gotówce w rozmaitych zakątkach sklepu Rosenthalowej, atoli w 19. roku życia doszedł wreszcie do przeko-

nania, że tak znacznymi pieniądzmi powinien rozpocząć „Gescheft“ na własną rękę. Myśl tę poddała mu młoda Ryfka, sprytna żydóweczka, także w sklepie Rosenthalowej zatrudniona, która osiągnąwszy w tymże czasie 17. rok życia i nie mając nikogo na świecie z bliższych i dalszych krewnych, postanowiła oddać swoje oszczędności w kwocie 82 złr. młodemu Simche Grubsze i zawrzeć z nim równocześnie związek małżeński.

Ceremonia zaślubin odbyła się bez jakichkolwiek formalności, gdyż oboje narzeczeni nie uznawali za potrzebne narażać się na wydatki połączone z oficyalnym ślubem. Zawiadomili więc jedynie swoją chlebodawczynię, że pobierają się ze sobą i otrzymali od niej, prócz czułych życzeń, w prezencie jedno stare łóżko, jedno połamane krzesło, dwa ręczniki, sześć chustek do nosa i parę garnków. Oprócz tego Ryfka, która poduczyła się już krawiecczyzny, otrzymała podwyżkę pensyi do wysokości 4 złr. 50 ct. miesięcznie, a Simche życzliwą radę, aby ze względu na niedopełnioną służbę wojskową zmienił swoje nazwisko na Szymona Grubera i przeniósł swą siedzibę w inną dzielnicę miasta, gdzieby już nikt dawnego Simche Grubszego w nim nie mógł poznać.

Simche dwa razy nie dał sobie tego powtarzać i przezwał się natychmiast Szymonem Gruberem, a sama myśl, że w ten sposób nie będzie potrzebował zapoznawać się z „prochem i karabiny“ czyniła go więcej szczęśliwym jak miłość młodej małżonki. Wprawdzie Ryfka nie była brzydką i mogła dojść z czasem do 15 złr. miesięcznej pensyi, atoli zostawszy Szymonem Gruberem, Simche skrobał się dobrze po głowie rozważając, czy z tem ożenieniem nie palnął ogromnego głupstwa. Marzył bowiem zawsze o tem,

aby wziąć za żoną przynajmniej dwie setki, gdy tymczasem Ryfka rozporządzała zaledwie kwotą 82 złr.

Nie wahał się otwarcie wypowiedzieć Ryfce swoich pod tym względem zapatrywań, atoli Ryfka orzekła, że „z takie głupie gadanie nie powinien się wyrywać“, bo prócz tych 82 złr. ma on swoich 26 złr., a więc na geschefta może zaraz obrócić całą setkę i zrobić za miesiąc dwie setki.

Ta uwaga wydała się Szymonowi Gruberowi wcale roztropną, oddawszy przeto Ryfce 8 złr. na urządzenie wspólnego mieszkania, postanowił spróbować, czy mu się nie uda zrobić jakiego „fein geszeft“.

Wspólne mieszkanie wynajęli na placu Rybnym we Lwowie, tuż obok starego kościółka św. Jana. Składało się to mieszkanie z trzeciej części niewielkiej izdebki, która była o tyle wygodną, że położona była na parterze tuż obok wychodków, i że w niej mieszkały prócz nich dwie tylko familie liczące razem z dziećmi 9 osób. Czynsz miesięczny za to mieszkanie wynosić miał tylko 2 złr. tak, że Ryfce z jej pensyi pozostawało jeszcze 2 złr. 50 ct., nie licząc trynkgeldów od „jaśnie wielmożne kundmany“. Na umeblowanie, przy pomocy gratów otrzymanych w darze od Rosenthalowej, wydano tylko 6 złr. 50 ct., za 1 złr. nabyła Ryfka od jakiegoś studenta wcale porządny surdut dla męża, a za 40 ct. kapelusz, który po odprasowaniu kosztem 10 ct., przedstawiał się jeszcze bardzo okazale tak, że Szymon Gruber z inną zupełnie fantazyą wyszedł z nowego mieszkania na wały hetmańskie, aby złapać jaki geszeft.

Setka, jaką miał w kieszeni, paliła go formalnie, a tak się obawiał, aby jej nie zgubił lub aby mu jej nie ukradziono, że nieustannie rękę trzymał w kieszeni.

Na wałach hetmańskich przypatrywał się dobrze wszystkim przechodniom, ale byli to niemal wyłącznie faktorzy i spekulanci, a tych obawiał się Gruber najwięcej.

— Jak inny będzie zyskać to moja setka pójdzie weg, rozumował Gruber i z całą roztropnością skierował swe kroki w stronę hotelów położonych przy placu Maryackim. Ciągnęło go coś do hotelu Europejskiego, gdzie był już nieraz z posyłkami od Rosenthalowej, atoli stały hotelowy faktor, który go zwykle bardzo grzecznie pozdrawiał, zobaczywszy go bez pakunku i w nowym surducie, tym razem przywitał go dość szorstko:

— Nu, was willt ihr?

— Czego ja mam chcieć, ja sobie chce wypoczywać na bramę — odparł Gruber.

— Tobi nie wolno wypoczywać na mój plac. Hasti gehert?

Gruber poskrobał się po głowie, ale nie myślał ustępować.

— Nu, każdemu wolno stać, a ja sobi czekam na pana Grzybacki.

Stary faktor zaśmiał się złośliwie.

— Grzybacki — rzekł — to on jest w domu.

Gruber nie miał ochoty przyznać się do kłamstwa, a do Grzybackiego, którego dwa razy w życiu widział nie miał poco iść.

Stary faktor jednak, który nie znosił konkurencyi, uważając siebie za jedynego powiernika wszystkich gości hotelowych, naigrawał się z niego.

— Nu, ewsze den Weg wasen? może pokazować drogę?

Gruber miał swoją ambicyę. Splunął tedy i na los szczęścia poszedł do Grzybackiego. Gruber przy-

wykł był słyszeć o nim, jako o człowieku bogatym. W sklepie Rosenthalowej nieraz istne cuda opowiadano o jego żonie, a takie wyrazy jak „sto tysięcy, dwakroć sto tysięcy, wieś, kamienica“ brzmiały w uszach Grubera dziwnie słodko i wysnuwał z nich wniosek, że Grzybacki to milioner. Pan ten był przed laty rzeczywiście bardzo bogatym, ale ożenił się z aktorką, która niemal go zrujnowała i z kim innym uciekła. Dwa te ciosy pozbawiły go dawnej swobody i fantazyi, stetryczał, zdziwaczał, i aby przynajmniej pod względem materyalnym dojść do równowagi, zaczął namiętnie grać w karty. Chociaż przysłowie, pono arabskie, mówi, że kto nie ma szczęścia do kobiet, ma je niewątpliwie do kart, okazało się jednak, że i karty nie dopisały Grzybackiemu, gdyż przegrał wieś, przegrał kamienicę, stracił wreszcie wszelki kredyt w resursie obywatelskiej. Teraz dopiero ocknął się, a nie chcąc być na łasce znajomych, których zawsze miał bardzo wielu, nawiązał stosunki z jednym z najwybitniejszych producentów wina we Francyi i przyjął generalne zastępstwo jego firmy na Galicyę. Wiodło mu się tak szczęśliwie, że mógł żyć wcale wygodnie atoli nieszczęście chciało, że dnia pewnego jadąc do Francyi w celu wypłacenia firmie znaczniejszej należytości i porozumienia się co do dalszych zamówień, dał się jakiemuś przygodnemu znajomemu namówić na podróż do Monte Carlo, gdzie wszystko co miał ze sobą swoje i nieswoje przegrał, a w dwa tygodnie potem bez grosza, bez zegarka, bez kufra z rzeczami, bo wszystko na koszta podróży poszło, znalazł się znów we Lwowie w Europejskim hotelu.

Chory i zły, bo mu faktor hotelowy pożyczki odmówił tak, że nie miał o czem jechać po sukurs do krewnych, leżał właśnie Grzybacki na sofie zaba-

wiając się wypuszczaniem kłębów dymu z nadpalonego cygara, gdy całkiem niespodzianie zjawił się w progu Szymon Gruber.

Grzybacki zaledwie go sobie przypominał, sądząc więc, że to któryś z zapomnianych wierzycieli, wcale niegrzecznie ofuknął Grubera.

— Przepraszam, bardzo przepraszam jasny pan hrabi, że ja buł tak śmiały wchodzicz do takie osobe.

Pokora tych słów i udzielenie mu tytułu hrabiowskiego, czem go już dawno nikt nie uraczył, zwróciły uwagę Grzybackiego na młodego żydka.

— A zbliż-no się asan, bo nie dosłyszę! — zawołał do Grubera, który się aż zatrząsł w tej chwili z radości, gdyż pomyślał sobie, że „będzie złapać wielkiego kundmana“.

Rozmowa między Grzybackim a Gruberem trwała przeszło godzinę, tak że przez tak długi czas stary faktor na bramie hotelowej mało się nie wściekł ze złości i ciekawości.

— Nu, co taki szmajgełes ma do gadać z panem Grzybackim?

Ale nie dowiedział się tego stary faktor nawet wówczas, gdy po godzinnej konferencyi Gruber wysunął się na palcach z pokoju Grzybackiego. Napróżno go dopytywał, napróżno krzyczał za nim:

— Nu, du bist meszige, ewsze hast ihm Gełd gegeben?

Gruber zaciął się i nie powiedział nic, a otworzył usta dopiero wieczorem, gdy znalazł się w objęciach Ryfki na ulicy Rybiej.

Oświadczenie jego było krótkie i zwięzłe:

— Ech hab schojn abgemacht, a gescheft ist schojn da.

— Ist er milionär? — pytała Ryfka.

— Win nic nie ma, aber ech hab a gites Gescheft gemacht.

— Wie a soi?

— A groise spekilacye.

— Hasti epes mitgebracht?

— A drif hab ech drei ranesz bekimmen.

I oddał Gruber ten pierwszy zarobek żonie, która nie uznała nawet za stosowne, dodać coś do chleba i cebuli, z czego składała się cała kolacya nowożeńców.

Tymczasem Grzybacki, pomimo pożyczki Grubera, nie zdołał naprawić stosunku z bogatą firmą francuską. Krewni, od których żądał pomocy, zaledwie część pieniędzy nadesłali, firma nie podjęła wprawdzie kroków sądowych, ale nie mogąc się doczekać zapłaty, złożyła reprezentacyę swoich interesów w Galicyi w inne ręce, a na Grzybackiego zwaliły się liczne biedy. Gruber straciwszy setkę, korzystał teraz z jego licznych stosunków, faktorował już nie Grzybackiemu, ale dziesięciu innym, ale nie zapominał nigdy o Grzybackim, który w najczarniejszych życia godzinach zajeżdżał późnym wieczorem na ulicę Rybną i wyciągał od Grubera drobne pożyczki na zastaw resztek swych ruchomości lub za ważne przysługi i rekomendacye do „jaśnie wielmożne kundmany“.

W nowym tym życia okresie mieszkał Grzybacki w jednym z domów przy ulicy Teatyńskiej na trzecim piętrze w małym pokoiku, w którym prócz łóżka, krzesła, stołu i kuferka nie było żadnych innych mebli. Sypiał do południa, potem jadał obiad w jakiejś mleczarni, a od trzeciej zasiadał najregularniej do kart w kawiarni Müllera przy placu Bernadyńskim.

W kawiarni tej zgromadzali się niżsi urzędnicy i przyjezdni z klasy ekonomów i rządców. Tu więc nie potrzebował się Grzybacki obawiać niemiłego

spotkania z dawnymi znajomymi z „towarzystwa“, a że minę miał pańską i ubranie porządne, wyrobił tu sobie z czasem pewną powagę, i grając z mniej wprawnymi graczami, zarabiał tyle na karcianym sporcie, że mógł wegetować. Jeśli czasem przegrał, to go Gruber ratował, a ten biedny i nieśmiały żydek zmniejszał wprawdzie każdym razem wysokość żądanych pożyczek, ale ich nie odmawiał, bo przy pomocy stosunków Grzybackiego i nadzwyczajnej oszczędności Ryfki, dorobił się już przez lat cztery kilka tysięcy majątku.

Mimo nędznych bytu warunków czasami Grzybacki dochodził do grubszych pieniędzy, gdyż niekiedy karty dopisały obficiej, innym znów razem z dalekich krewnychchzjawił się ktoś na lwowskim bruku i sympatycznemu kuzynowi na poratowanie zdrowia pozostawiał kilkaset złotych reńskich. Wówczas Grzybacki płacił część długu Gruberowi i znikał na dni kilka z oczu swych partnerów w kawiarni Müllera, aby odżyć w kole dawnych przyjaciół z „towarzystwa“. Nie trafiało się to zbyt często, ale jednak trafiało się parę razy do roku, a dzięki tym uśmiechom fortuny Gruber zyskiwał coraz to nowych „kundmanów“ z pośród „jaśnie wielmożne hrabi i barony“, a Grzybacki utrzymywał mimo swej biedy jakitaki z „towarzystwem“ kontakt.

Temu właśnie zawdzięczał bilecik Moreckiego, który w trzy tygodnie po opisanem w poprzednim rozdziale zebraniu w „Zgodzie“ otrzymał dnia pewnego całkiem niespodziewanie z wezwaniem, aby go odwiedził w biórze jak najprędzej.

Moreckiemu niejedno już dobrodziejstwo zawdzięczał Grzybacki, udał się więc do niego zaraz po otrzymaniu listu i doznał życzliwego przyjęcia.

— Myślę ciągle o panu — mówił mu Morecki — ale trudno doprawdy wystarać się dla pana o posterunek korzystny i odpowiedni. Jeślibyś pan jednak chciał nieco popracować, mógłbyś pan zapewnić sobie stały dochód z niezbyt wielkim wysiłkiem.

Grzybacki zniechęcony wiecznem z dnia na dzień, które go krępowało niewypowiedzianie, z wielką gotowością i wdzięcznością przyjął te słowa.

Wówczas Morecki zaproponował mu, aby zajął się zbieraniem zamówień na mączkę kościaną fabryki Warzyckiego między szlachtą i dał mu w tym celu nietylko list polecający do Stanisława, ale tytułem pożyczki 50 złr. na drogę.

Grzybacki serdecznie podziękował, a wydawszy jeszcze tegosamego wieczora 25 złr. na obiad przyzwoity w hotelu Georga i na lożę w cyrku, dnia następnego w najlepszym humorze wybrał się do Ułaszówki. Tymże samym pociągiem odjechał z nim Gruber, bez którego Grzybacki nie był już zdolny żadnego podjąć interesu.

* *
*

Pani Warzyckiej tak było dobrze we Lwowie, że wybrawszy się na dni kilka, zabawiła blisko dwa tygodnie. Codziennie uszestniczyła w rozmaitych rautach i zebraniach a nie potrzeba dodawać, że większa część tych zebrań ułożona była i przygotowana przez hr. Bombalską i księżnę Gierymską w ten sposób, iż książę Alfred Gierymski był zawsze na pierwszym planie i miał sposobność przedstawić się pannie Maryi Warzyckiej z jak najlepszej strony. Młode dziewczę, znajdując się poraz pierwszy w objęciach wielkiego świata, nie przeczuwając ani fałszu ani obłudy u tych wszystkich dostojnych i utytułowanych osób, które ją

psuły nadzwyczajną troskliwością i pochlebstwami, upodobało sobie bardzo w tej atmosferze pełnej nieznanych czarów roztoczonych nagle dokoła niej czułą ręką macierzyńskiej miłości. Im weselszą była Marynia, im czuła się swobodniejszą i bardziej zadowoloną, tem zręczniej nasuwano jej myśl, że wszystkie swoje tryumfy zawdzięcza matce, która wycierpiała dla niej tyloletnią niewolę nieznośnego pobytu na wsi, znosząc cierpliwie wszystkie udręczenia ze strony męża niezdolnego wznieść się do wyżyny tych blasków i zaszczytów, do których z urodzenia rościła sobie prawo. Marynia po takich wyjaśnieniach zwracała się do matki z gorącą wdzięcznością jak do wielkiej męczennicy, a matka oddana całą duszą zabawie, udawała bardzo zręcznie, że wierna obowiązkom, chce coprędzej wrócić do domu tak, że córka każdy dalszy dzień pobytu długiemi prośbami i niemal łzami opłacać musiała.

W ten sposób załatwiała pani Warzycka zadanie księciu Alfredowi, który ze swej strony tak umiał omamić Marynię, że Antoś Grodziski wydawał się jej przy nim pospolitym gospodarzem wiejskim, który w tym wielkim świecie nie umiałby się nawet ruszyć. Większą część dnia ustawicznie spędzając z sobą, Alfred i Marynia uważani już byli przez całe towarzystwo za parę narzeczonych, której nie dostawało jedynie rodzicielskiego błogosławieństwa. Wszyscy zresztą wiedzieli, że między obu matkami ułożony był ten maryaż, że ślub miał się odbyć w najbliższym karnawale, a Marynia miała wnieść księciu Alfredowi 200.000 złr. posagu. Gierymscy i najbliżsi ich domu przyjaciele byli rozentuzyazmowani tak pięknym posagiem Maryni, który miał podnieść splendor książęcej mitry, niebardzo starożytnej, a żadnemi za-

sługami niezdobytej i arcyubogiej. Jedna Marynia nie miała o tem wszystkiem najmniejszego przeczucia, a wiedziała jedynie z ust księcia Alfreda, że ją kocha, uwielbia, ubóstwia, ale że się obawia wyznać prawdę przed jej matką, gdyż pani Warzycka, jak mówił, mogłaby go nie uznać godnym swej jedynaczki.

Komedyę tę grał młody książę z wyraźnego rozkazu obu matek, aby Marynia zajęta już księciem, a przedewszystkiem rozmiłowana w tym świecie, do którego przez związek z Alfredem wejść miała, zmuszoną była sama upaść przed matką i wyznać jej miłość do Alfreda, aby po licznych łzach i prośbach uzyskać zezwolenie matki, jako nowy dowód bezgranicznego tejże poświęcenia. W ten sposób chciały obie matki uzyskać gwarancyę, że Marynia nie cofnie się już nawet pod wpływem ojca i brata, których niechęć do księcia Alfreda mogła wszystko pokrzyżować. Rzeczywiście też nawet Gierymskich w oczy biło, że Stanisław Warzycki zaledwie raz jeden pokazał się w ich domu w czasie pobytu matki we Lwowie i nie przyszedł nawet pożegnać się przed odjazdem, wymawiając się licznemi zajęciami w sprawach swej fabryki. Nawet go bazar krajowy nie poruszył i dla Gierymskich nie pozyskał. Dawało to wiele do myślenia i wymagało tem lepszego zapewnienia się co do uczuć Maryni, dostatecznie zresztą opanowanej.

Dnia jednego, gdy pani Warzycka oświadczyła wreszcie córce z całą stanowczością, że musi wracać do Ujazdówki, bo chociaż ją tam czekają nowe męczarnie, ona pomna świętego powołania kobiety, nie może zaniedbywać obowiązków, Marynia w głos się rozpłakała.

Matka uspokoiwszy ją cokolwiek, czulszym już nieco ozwała się głosem:

— Powinnaś mi szczerze wyznać, dlaczego ty tak gorąco pragniesz pozostać dłużej we Lwowie, przecież jesteś moją jedynaczką i wiesz dobrze, wiele poświęciłam dla twego dobra i co jestem gotowa uczynić dla twojej przyszłości.

Na to przez łzy i w półsłowach wypowiedziała a raczej wyszeptała Marynia, że książę Alfred ją kocha i że żyć bez niej nie może, że jest w rozpaczy, nie będąc pewnym, czy zostanie przyjętym.

— A cóż ty na to? — pytała matka.

— Nie śmiałam bez mamy nic postanowić.

Matka pocałowała Marynię w uznaniu tego dowodu przywiązania ze strony córki i zaczęła jej tłómaczyć, że należałoby uszanować wolę ojca, który pragnie ją wydać za Grodziskiego.

— Wprawdzie to chłopak źle wychowany, z niskiego rodu, bez żadnych stosunków, raczej kupczyk niż obywatel, ale miał szczęście podobać się ojcu i bratu, którym to dogadza, że człowiekowi potrzebującemu raczej kucharki niż żony nie będą potrzebowali dać znaczniejszego posagu i byle czem wykwitują biedną Marynię.

Więcej nie potrzebowała już matka nic mówić, bo Marynia temi wyjaśnieniami do żywego była poruszona i w swej ambicyi dotknięta i przysięgła, że Grodziskiego wcale nie kocha, a rękę swą odda jedynie Alfredowi.

— Nie znasz jeszcze ludzi moje dziecko — odparła matka — i zdaje ci się, że potrafisz wytrwać w tem postanowieniu, ale jak braciszek zacznie perswadować, a ojciec nalegać, wkońcu zmiękniesz i cofniesz dane księciu słowo.

— Nie! nie cofnę!

— I wyznasz wszystko ojcu?

— Skoro tylko przyjedziemy do domu.

— Mimoto ciężkiej żądasz odemnie ofiary, moja córko.

— Ależ mateczko droga, ukochana, idzie o moje szczęście.

— To jedno mnie pociesza, że mojemi cierpieniami okupię twoje szczęście.

— Wcale cierpieć nie będziesz mateczko, ja nie dopuszczę.

— Tego już zmienić nie potrafisz, bo nie rozumiesz do czego prowadzą niedobrane małżeństwa nawet po latach wspólnego pożycia.

Marynia wcale nie rozumiejąc tego zwrotu o niedobranych małżeństwach, pojmowała jedynie, że matka czuje się nieszczęśliwą i ze łzami gorącego współczucia rzuciła się jej na szyję. Matka przyjęła to za objaw namiętnej dla Alfreda miłości i dlatego przyciskając ją do piersi, szepnęła:

— Uspokój się, Alfred będzie twoim.

Po tych słowach wyszła z pokoju, a Marynia doświadczyła poraz pierwszy w życiu dziwnego uczucia obawy i niepokoju na myśl, że ma do kogoś należeć. Prócz tej obawy nie doznała ani serdecznej radości, ani żadnego innego podniosłego uczucia. Mimowoli też zastanowiła się nad tem, że te słowa „Alfred będzie twoim“ z większą niż się spodziewała przyjęła obojętnością. Długo nie mogła się nad tem zastanawiać, bo za pół godziny wyjeżdżała z matką do Gierymskich na pożegnalną wizytę, a przez te pół godziny panna służąca, wypożyczona do posługi Maryni przez księżną Giermyską, umiała ją tak rozśmieć i rozweselić i tak dobrze dla księcia Alfreda usposobić,

iż wszelkie obawy prysły, a rozbudzone pragnienia odpychając niepokój, wycisnęły na jej twarzy cudowne rumieńce.

Była tego wieczoru istotnie zachwycającą. Oddziałało to na księcia Alfreda do tego stopnia, że szepnął swej matce:

— Ta mała zaczyna mi się naprawdę podobać.

— A mówiłeś, że gąska.

— Fi donc, wygląda jak królowa.

— Więc się puszczaj mój synu, aby ci jej kto nie sprzątnął.

Odbyła się czuła scena między Marynią a Alfredem, w której Alfred, jak sam później opowiadał, przeszedł samego siebie. Między matkami zaś ułożonem zostało, że Marynia zabawi jeszcze przez parę tygodni u hrabiny Bombalskiej, aby dzieci mogły się bliżej poznać, a potem czuła matka przyjedzie po swą jedynaczkę, aby zabrać ją na wieś. Plan ten bardzo się podobał Maryni, której znów matka szepnęła, że w ten sposób pragnie zyskać na czasie, aby przygotować ojca i brata do wielkiej niespodzianki.

Tymczasem w Ułaszówce wiedziano bardzo dobrze o wszystkiem, co się w ciągu tych trzech tygodni wydarzyło we Lwowie jak i o projektach obu pań. Wiadomości te przyniósł tam Grzybacki.

Rekomendacya Moreckiego zapewniła mu nietylko życzliwe ze strony Stanisława przyjęcie, ale otworzyła mu nawet wstęp do pana Alojzego, który Grzybackiego z czasów dawniejszych znał dobrze i jakkolwiek nie miał o nim najlepszego mniemania, chętnie widział, że się do pracy garnie.

— Przyjechałeś pan wprawdzie zapóźno — mówił mu pan Alojzy — bo syn mój przyjął już dwóch agentów

z poręki pana Haczykiewicza, atoli w początkach rozwoju fabryki trzeci agent nie zawadzi.

Grzybacki dowiadywał się oczywiście o nazwiska przyjętych już agentów, a z nazwiska Gramolickiego i jego przyjaciela Jurka niewiele się dowiedział, gdyż ich nigdy w życiu nie napotkał, uspokajało go jednak, że podjęli się oni jedynie agitacyi między włościanami, podczas gdy on przedewszystkiem liczył na sfery obywatelskie, u których miał liczne znajomości.

Umowa też prędko do skutku przyszła, a Grzybacki dostał nawet znacznie lepsze warunki niż Gramolicki i Jurek, albowiem i dyety dwa razy wyższe i zaliczkę poważną na koszta w kwocie 500 złr., podczas gdy Gramolicki i Jurek otrzymali tylko po 250 złr.

Po zawarciu umowy zaproszony został Grzybacki przez pana Alojzego na skromny obiadek, który jednak, jak we wszystkich dawnych obywatelskich domach niemal był suty i ozłocony wybornym starym węgrzynem.

Opowiadając przy obiedzie o stosunkach lwowskich, wyczerpał Grzybacki cały zasób swych wiadomości, a gdy węgrzyn usta wszystkim pootwierał, gdy nastrój był już poufalszy, począł przy czarnej kawie opowiadać o księżnej Halinie Gierymskiej, o panu Alfredzie i o obiegających w towarzystwie wieściach o bliskim ślubie Maryni z Alfredem. Nie wiedząc o niechęci pana Alojzego do Gierymskich, Grzybacki nie pomijał najdrobniejszych nawet szczegółów, sądząc, że temi wiadomościami sprawi panu Alojzemu przyjemności, który też istotnie słuchał go z wielkiem zajęciem, niemal po dwa razy o wszystko pytał i szczegółowo o rozlicznych rautach i przyjęciach

kazał sobie zdawać sprawę. Dziwił się tylko Grzybacki, że żywe jego opowiadanie, które, o ile innych spraw dotyczyło, niejednokrotnie wywołało uśmiech zadowolenia na pooranej wiekiem twarzy pana Alojzego, zachmurzyło teraz czoło Stanisława i sędziwego gospodarza. Więcej jeszcze zdziwił się, gdy pan Alojzy wysłuchawszy całej relacyi, wcale nic nie odpowiedział, ale w milczeniu dłoń mu uścisnął, przyczem ręka starca wydała mu się dziwnie drżącą i rozpaloną. Dostrzegł nawet coś na kształt łzy w oczach pana Alojzego, ale wybadać go nie mógł, bo pan Alojzy skinąwszy mu głową, odszedł do swego pokoju. Po odejściu staruszka zapanowało w sali jadalnej przykre i dla Stanisława i dla Grzybackiego milczenie, które po kilku chwilach przerwanem nagle zostało głuchym łoskotem, jakby upadkiem jakiegoś ciężkiego przedmiotu w przyległym pokoju.

Stanisław i Grzybacki zerwali się na równe nogi, w twarzy pierwszego widać było ból i przerażenie, wybiegł jednak sam, dając znak Grzybackiemu, aby w sali pozostał. Wszystko to popsuło humor Grzybackiemu, który też podszedłszy ku oknu, przypatrywał się pięknej okolicy, czekając niecierpliwie, co dalej nastąpi. Bardzo długo czekać jednak musiał na rozwiązanie zagadki, a w tym czasie służba przychodziła i wychodziła, Stanisław jakieś tajemnicze wydawał rozkazy, wyprawiał gdzieś konnego posłańca i dopiero po dobrej godzinie do Grzybackiego się zwrócił:

— Przebacz pan — wyrzekł wzruszonym głosem — ale spotkało mnie wielkie nieszczęście. Mój ojciec upadł paraliżem tknięty. Posłałem po doktorów i po księdza.

— Czyżby niebezpieczeństwo było tak groźne?

— Nie pytaj pan — zawołał przez łzy Stanisław

— Bóg może jeszcze odwróci cios tak niespodziewany.

Grzybacki wyraziwszy głębokie współczucie pytał, czy nie może być w czem pomocnym.

— O jedno rzeczywiście prosiłbym pana gorąco.

— Całem sercem służę.

— Nie chcę przerazić matki telegramem, ale że pan i tak dziś jeszcze będziesz we Lwowie, racz do niej udać się bezzwłocznie i w oględnych słowach oznajmić, że ojciec bardzo chory i że czekamy na jej przyjazd z niecierpliwością.

— Bądź pan spokojnym, wywiążę się jak będę mógł najlepiej z otrzymanego zlecenia.

— W dwie godziny potem siedział Grzybacki w wagonie kolejowym, patrząc z okien na dwór w Ułaszówce, niegdyś tak ożywiony, dziś ciężką okryty żałobą. W Grodziskach wsiadł do tegosamego pociągu do wagonu trzeciej klasy Gruber. Kiedy pociąg odjeżdżał, jakiś żyd opasły, z grubym na brzuchu złotym łańcuchem od zegarka protekcyonalnym ruchem ręki żegnał Grubera. Grzybacki wpatrywał się chwilowo w ciekawą twarz tego żyda, który i przed nim kapelusza uchylił. Byłto Pomeranz.

Przybywszy do Lwowa udał się Grzybacki bezzwłocznie do hotelu Georga, gdzie mieszkała pani Warzycka i znalazł ją już do dıogi przygotowaną. Smutna wiadomość dotknęła ją bardzo boleśnie, gdyż mimo wielkoświatowych aspiracyj, jakie w niej dawne budziły wspomnienia, w gruncie rzeczy przywiązaną była do męża, którego znakomite przymioty należycie oceniała. W chwili zresztą nieszczęścia, jakkolwiek nie miała przeczucia, o ile sama do tego się przyczyniła i skruchę i żal uczuwała. Taki już bowiem jest świat, że chociaż się buntuje przeciw żyjącym,

chociaż im nie chce przyznać słuszności, tem więcej ceni gasnących i odchodzących z tego łez padołu, darząc ich na małą chwilę przed zupełnem o nich zapomnieniem zdwojoną troskliwością i serdecznością. Tesame ręce, co za życia ostre ciernie w serce i w mózg wbijały, z oznakami czci zbliżają się do śmiertelnej pościeli, aby przymknąć obumarłe powieki, jakby z obawy, aby nieruchome, ale tak żywo patrzące oczy nie spojrzały nagle w skryte serca tajnie i nie dojrzały tam niejednej zdrady, niejednego odstępstwa. Kto bogatszy marmurową jeszcze kolumną przyciska drogie zwłoki, aby nie podniosły się ze snu wiecznego i rachunku od nas nie żądały z czynów i postępków naszych.

Pani Warzycka pożegnawszy się już przedtem z córką, nie miała odwagi odkryć przed nią smutnej wiadomości, wziąwszy przeto jednego z najlepszych lekarzy, odjechała z nim do Ułaszówki.

Na peronie spotkał ją dyrektor Landiger, a dowiedziawszy się od lekarza o katastrofie, słodkim głosem wypowiedział słowa współczucia. Ale gdy odchodził potem z dworca, szepnął do towarzyszącego mu Raszkesa:

— Stary Warzycki już gotów.

— Co pan dyrektor gada?

— Tknięty paraliżem leży w agonii.

— Nu, Bogu dziękować, pozbuwamy się jednego wroga, a groisen Feind.

Landerer nic nie odpowiedział.

— A Ułaszówka to teraz na pewniaki pana dyrektora, a fabryka to będzie wnet filia od Raszkesa. Nu, co pan dyrektor na to? dodał Raszkes, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

— Jakoś to będzie, kochany panie — odparł dy-

rektor Obywatelskiego banku z uśmiechem zadowolenia rozpierając się w poduszkach dwukonnego fiakra.

Żydzi, którzy stali do koła, kłaniali się nisko.

— So a kepełe — mówił do nich Raszkes, wskazując na Landerera, ale resztę słów jego zgłuszył turkot odjeżdżającego powozu.

Grzybacki spędził wieczór w resursie obywatelskiej, bo mając pieniądze w kieszeni, znów miał jedną z rzadkich chwil szczęścia i upojenia. Mógł ściskać znajomych z „towarzystwa“ i grać w taroka z równymi sobie.

Dopiero po pierwszej, z głową ociężałą trunkiem i odniesionemi wrażeniami, powlókł się do domu, aby nazajutrz z rana wedle powziętego w ciągu dnia planu, udać się w podróż po kraju dla pozyskania kościarni Warzyckiego licznych odbiorców ze świata obywatelskiego.

Miał odjechać dnia następnego o godzinie 7. rano razem z Gruberem, który już od godziny 6. oczekiwał go na dworcu kolejowym. Ale napróżno wstał Gruber tak wcześnie, pociąg pospieszny o godzinie 7. odszedł, ale bez Grzybackiego i odszedł następny zwyczajny pociąg o godzinie 11. a Grzybackiego nie było.

Gruber głową pokręcił i wybrał się ku miastu na ulicę Teatyńską. Zastał Grzybackiego w szlafroku z zapalonem cygarem.

— Nu, co jest? pytał wylękniony.

— Co, widzisz, chodzę i myślę.

— Pociągi pojechali, a pan sobi chodzi, a git gescheft.

— Dla ciebie git, bo przecież dasz sobie sam radę.

— Dlaczego ja sobi nie mam dawać rady? Pan jeszcze nie zna Grubera. Ech bin tumet fertig do takiego roboty.

— Widziałem, że i Pomeranza znasz.

— Nu, ja znam wszystkie.

— Pojedziesz więc sam.

— Jaby jechał, ale ja nie mam co nawet żonie zostawić na szabes.

— Dam ci pięćdziesiąt złotych reńskich.

— Co to pięćdziesiąt, przecie pan brał pięćset!

— A ty skąd wiesz?

— Już ja wim.

— Przecież?

— Jeden z urzędniki od fabryki, co go wysłał młody pan po doktora, to on gadał, co stoi zapisane.

— Zkądże ty go znasz?

— Un zna Pomeranza.

— Zrobimy interes?

— Niech pan da dwieście złotych reńskich, ot będziemy próbować.

— Dam sto pięćdziesiąt, ale pamiętaj, że wszystko ma iść przez moje ręce, bo inaczy Warzycki będzie się krzywił.

— Co między nami jest to jakby kamień w wody. Tego nie trzeba nikomu wiedzieć. Niech pan da sto ośmdziesiąt?

— Dam sto sześćdziesiąt.

— Nu, co robić! ozwał się Gruber chowając pieniądze, pan ma wielkiego szczęście, dus is a gilden Gescheft.

Grzybacki uśmiechnął się, ale już nie do interesu, lecz do swobody, która go i w dniu dzisiejszym czekała.

Wesoło pogwizdując, głaskał wąs przed lusterkiem.

— Nu, to ja już idę! oświadczył Gruber.

— A przywieź mnóstwo zamówień!

— Same rarytne, niech pan się dobrze bawi. Auf widersehen!

W tymże samym czasie Gramolicki w hotelu Centralnym w Przemyślu stał przed Jurkiem i ziewając w sposób niemożliwy, wyrażał tęsknotę za Lwowem i za Mańką.

— Wziąłeś dwieście pięćdziesiąt guldenów — zawołał Jurek — a robić nie chcesz.

— Ja się na takiej robocie nie rozumię.

— A myślisz, że ja coś kapuję? Ani dudu, ale pójdę i popytam ludzi. Albo to mało faktorów?

— Możesz to wszystko robić bezemnie.

— Za darmochę ani myślę.

— Dam ci pięćdziesiąt złotych reńskich.

— Jak dasz sto to przybijem.

— Niechby i tak było, ale trzeba będzie zablagować przed Warzyckim.

— U wa! powiem mu, żeś zachorował i że wziąłem wszystko na siebie, spółek i tak nie znoszę.

— Bierz więc sto guldenów, a ja czmycham do Lwowa.

— Musisz jeszcze obiad zapłacić, bo ci się z mej łaski trafiła durniczka. Zarabiasz na czysto i za nic sto pięćdziesiąt.

— Ale odstąpiłem ci interes, a nadto ja sam dałem go w twoje łapy, bo powiedz, kto cię zapoznał z Haczykiewiczem.

— Masz recht, ja funduję, rozumiesz małpo?

Gramolicki zrozumiał to wyjaśnienie, upili się tedy znów na intencyę Warzyckiego i jego fabryki, a po obiedzie Gramolicki odjechał do Lwowa. Jurek chodził po mieście czas jakiś, myślał i myślał, wreszcie wstąpił do przydrożnej drukarni i zamówił sobie sto bitetów wizytowych z napisem: Jerzy Czużek, generalne

zastępstwo wyrobów z mączki kościanej Stanisława Warzyckiego w Ułaszówce.

Dokonawszy tego dzieła, oddał sobie sprawiedliwość, że jest wcale rozumnym człowiekiem i poszedł na konferencyę do faktora hotelu Centralnego. Okazało się, że faktor był pojęć demokratycznych i jakkolwiek służył jaśnie wielmożnym, gotów był faktorować także panu Jerzemu Czużekowi. Jakoż istotnie pod wieczór wybrał się z nim na jedno z przedmieść i wprowadził Jurka do brudnego ale dużego domu mówiąc:

— O taki gescheft jak pański, to panu powie wszystko pan Nuchim.

Jurek nie miał nic przeciw temu i wszedł z faktorem w bramę domu, nad którą błyszczał szyld: „Fabryka polska od różnego gatunki cykoryi“.

IX.

Podziemna walka.

Była niedziela. W wapiennikach Pomeranza pracowano mimoto do południa, bo jak Pomeranz mawiał, „te durne chłopy to oni nic nie mają z kazania tego kanonika, co tylko na żydów gada, a u mnie to oni sobie zarobią na gorzałkę“. Byli wprawdzie i tacy robotnicy, którzy nie zgadzali się z tem jego zapatrywaniem i woleli nie pić w niedzielę wódki, byle wysłuchać mszy św., ale tych było niewielu, bo co lepsi, poszli już dawno na służbę do Grodzisk, a inni zadłużeni od lat u karczmarza, nie mieli już nawet nadziei, aby choć swe dzieci wykupić z niewoli. I jak przez dnie powszednie od rana do nocy, tak w niedzielę do południa pracowali w czoła pocie, aby mieć choć kawałek czarnego chleba i uniknąć okropnej poniewierki ze strony wierników Pomeranza. Pomocnicy ci swego chlebodawcy byli prawdziwymi zbirami, a gdy robotnik w czemkolwiek przewinił lub okazał się krnąbrnym, wytrącali nietylko z tygodniowego zarobku ogromne kary pieniężne, ale zbili często opornego chłopa w sposób iście niemiłosierny.

To barbarzyńskie obchodzenie się z robotnikami nieco się zmieniło na lepsze od czasu założenia fabryki w Grodziskach. Pomeranzowi zależało na tem, aby odciągnąć robotników od ponętnej, bo dobrze płatnej służby u Antosia, gdzie i obchodzenie się z ludźmi było lepsze. Pozaprowadzał tedy niejakie ulgi, a przedewszystkiem powiększył kredyt każdego robotnika w karczmie, która stała przy gorzelni tuż obok jego wapienników.

W gruncie rzeczy ulga ta nową była dla robotników klęską, bo o ile przedtem cośkolwiek mogli uciułać z zapracowanego grosza dla głodnej i obdartej rodziny, teraz tonęło to wszystko w półkwaterkach gorzałki, płynącej jak woda i podlewanej obficie wodą.

Pomeranz jednak ręce zacierał, bo robotnicy nie mogąc się jeszcze połapać, radzi byli, że pić mogą ile chcą, a nawet wtedy gdy zarobek przepili. To też co niedzielę karczma była nabita, a robotnicy z Grodzisk patrzyli z zazdrością na swych dawnych towarzyszy, pląsających przez noc całą w takt nędznej żydowskiej kapeli. Antoś pozwalał im chodzić do kościoła, ale popołudniu nie było im wolno chodzić do karczmy, gdyż mogli dostać w sklepiku wiejskim herbatę, nawet piwo, a w czytelni ludowej książki i obrazki. Starsi i poważniejsi gospodarze byli z tego radzi, młodsi buntowali się i zachodzili ukradkiem do karczmy, a kto poszedł raz, nie oparł się pokusie za drugim razem, ale jeszcze innych wciągnął, tak że ostatecznie czytelnia i sklepik prawie pustką stały, a karczma zyskiwała coraz szersze koła zwolenników. Próżno gniewał się Antoś, daremnie ksiądz kanonik upominał z ambony. Chłopi bili się w piersi, klękali przed konfesyonałem, ale w niedzielę po południu szli do karczmy.

Nareszcie w wilię niedzieli, o której mowa, nie mogąc ścierpieć nieporządku i rozlicznych bijatyk, jakie się mnożyć zaczęły, wstrzymał Antoś Grodziski sobotnią wypłatę i oznajmił robotnikom, że gotów nawet podwyższyć wynagrodzenie, ale wypłacać je będzie w każdy wtorek po robocie. Starzy gospodarze przyklasnęli, młódź pomrukując, poszła wprost do karczmy.

Arendarz zdziwiony tak licznemi przy sobocie odwiedzinami robotników z Grodzisk, dał o tem znać Pomeranzowi, który bezzwłocznie przybył do karczmy i zobaczywszy kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet, rozprawiających coś półgłosem, odezwał się do nich:

— A czemu to nie siadacie i nie przekąsacie co, moi ludzie?

— Szczo robyty — odparł jeden z parobków — koły nema hroszi.

— Jakto nie ma, przecie dziś fasowaliście wypłatę.

— Ne znajem szczo to za poriadok, ałe pan nie dali hrosziw.

— Nie wypłacił?

— My czujem, szczo nam krywda!

— A ja to wam nie płacił? wy się możecie przekonywać teraz, kto był dla was Pomeranz. Szulim — dodał, zwracając się do arendarza — każdemu z gospodarzy półkwaterek. Na wasze zdrowie moi ludzie!

Chłopi odpowiedzieli okrzykiem na cześć Pomeranza, który odszedł do wapiennika, aby wysłać stamtąd kilku swoich najzaufańszych. Szulim otrzymał nadto potajemny rozkaz, aby kredytował wszystkim robotnikom z Grodzisk do wtorku. Pijatyka trwała tedy przez całą noc z soboty na niedzielę, a w niedzielę popołudniu zgiełk był taki w karczmie, jakiego od lat nie pamiętano. Zausznicy Pomeranza umieli

podsunąć chłopom podejrzenie, że Grodziski nie miał poprostu czem wypłacić, bo mu fabryka źle idzie i że jak tak dalej zwlekać będzie z wypłatą, chłopi będą mu za darmo pracować. Przytem jeden z wierników Pomeranza wytłómaczył podpitym, że sklepik to nowa krzywda chłopska, bo pieniądze ze sklepiku idzie do pańskiej kieszeni, a chłop biedny nie ma nic i jeszcze nikt nie chce jego krzywdy uznać. Grodziski kanonika podkupił, do karczmy iść nie pozwala, a teraz nawet już pieniędzy dawać nie chce.

— Taże tak — odpowiadali chłopi.

Kilku bronić chciało Grodziskiego, że był dobry i litościwy pan, ale ich zakrzyczano, a dwóch nawet za drzwi wyrzucono.

Z polecenia Pomeranza, jeden z jego wierników ze szczególną łaskawością częstował tych parobków z Grodzisk, którzy odwozili wapno na kolej. Zaproszono ich nawet do alkierza, dano rumu i kiełbasy, Szulim białego kugla przyniósł w dodatku. Parobcy jedli i pili, spowiadali się ze swej biedy, opowiadali o swych domowych kłopotach, wyspiewali wreszcie, że nazajutrz w poniedziałek skoro świt odwozić mają duży transport wapna na kolej do Lwowa.

Wiernik zaczął ich tedy prosić, aby po drodze zabrali kilka baryłek wódki, boć to ciężar niewielki, a zato poczęstunek mieć będą z rana osobny. Parobcy dobrze już pijani przysięgli na wszystkie świętości, że przewiezą choćby sto beczek. Wiernik kazał im dać znów araku i do Pomeranza pobiegł.

— Transport dla Golickiego będziemy jutro wieść! — szepnął mu z tryumfującą miną.

— Nu, aby ino nas nie złapali, jak się będzie wieść, to ja czebie będę wynagradzać.

Wiernik się skłonił, a dnia następnego parobcy z na-

ładowanymi wapnem wozami zajechali przed karczmę i zasiedzieli się w alkierzu z dobre dwie godziny. Wiernik ich tak raczył, tak częstował, że wsiadając na fury, zapomnieli o baryłkach wódki, które mieli przewieść i nie zauważyli nawet, że tuż obok karczmy sterczył cały pagórek wapna, którego przedtem tam nie było, a na ich furach było wprawdzie wapno, ale jakieś inne, niż to, które naładowali w Grodziskach. Po nieprzespanej nocy, wypiwszy naczczo kilka kieliszków nie widzieli nic, prócz równej drogi, która prowadziła do składów kolejowych.

Pojechali tedy, a z pół tuzina żydków zajęło się równocześnie rozbieraniem świeżego pagórka wapiennego. Pomeranz osobiście do pospiechu naglił, a sam dygotał przytem ze strachu i modlitwy w głos odmawiał.

Po upływie kwadransa, gdy już wszystko wapno zebrano, Pomeranz wreszcie odetchnął swobodniej i ku folwarkowi zwrócił swe kroki, gdy nadbiegł mały żydek i szepnął mu, że Grodziski nie będzie na dworcu, bo pojechał do Ułaszówki.

— A co wun tam ma robicz?

Żydek odpowiedział, że stary pan umiera.

— Ewsze is er szojn tojt!

— Nu, co robić, win już i tak buł stary. Direktor Landerer ucieszy się.

Żydek odbiegł, Pomeranz odmawiając modlitwy szedł wolnym krokiem na folwark.

Ruch panował tu ogromny, wozy zajeżdżały i odjeżdżały, mnóstwo żydków snuło się poganiając chłopów, którzy klnąc na czem świat stoi, spełniali wydawane rozkazy. Budynki brudne, obdarte z wapna, sprawiały przykre wrażenie gospodarstwa, opartego na wyzyskaniu najmniejszej rzeczy, na wyciśnięciu

do ostatka życiowego soku ze wszystkiego, co jakąkolwiek wartość przedstawiało. Nawet mury wapiennika, co stał w głębi, raziły widocznem zaniedbaniem.

Pomeranza zdawało się nic dnia tego nie zajmować, z niechęcią odburknął na zapytania, jakie po drodze zwracali do niego rozmaici oficyaliści i obszedłszy błotem zawalony dziedziniec po wąskiej kładce, przeszedł do piętrowego budynku, w którym mieścił się główny zarząd jego interesów. Wszedłszy do kantoru, rzucił okiem na paczkę listów, jakie mu przyniósł sekretarz, ale ich wbrew zwyczajowi nie przejrzał i znów półgłosem odmawiać począł modlitwy. Ale i w ten sposób nie mógł odpędzić od siebie niepokoju, jaki go gnębił, to siadał, to wstawał z krzesła, brał w rękę listy i odkładał, ręce mu się trzęsły. Na sekretarza swego, gdy mu chciał składać sprawozdanie z zawartych interesów, gniewnie się ofuknął, a ten znając już swego pryncypała, wysunął się na palcach z miną złodzieja, schwytanego na kradzieży.

Nareszcze po trzech godzinach, które wydały się Pomeranzowi wiekiem, drzwi się otwarły i wszedł Szloma wołając od progu:

— Sieg! gelungen bałbues!

— Wie a soi?

— Pociąg towarowy odchodził, fin Grodziski niemand gewejen. Wapna nie zrewidowali. Nasz wiernik to on kierował wszystko tak fajn, jakby un buł dwa adwokaty w jedne osoby.

Pomeranz odetchnął.

— Nu wus hat er a sojnes grojses getin, dus treft a jeder.

— Win tam ma a bejamtera, co wun jemu pożycza czasem a par ranesz i ten mu pokazował frachty, to teraz stejt sicher, że transport poszedł do pana Golicki

i pana Popijalski. Golicki to szedżi w naszego kieszenie, a Popijalski, to się trzeba dowiadować.

— Popijalski, ten z czerwony nos, gruby?

— Ten sam.

— Win ma interesa z Taubelesem, pojedziesz zaraz do Lwow i zmusisz Popijalskiego, aby robił giwałt gegen Grodziski: Verstejsti!

— Szojn!

— Bombalski w domu?

— Gdzie ma być?

— Podobno jeździł do Lwowa.

— Jeździł do Landerera po prolongate raty i wracał z niczem. Będzie miał sekwestracyę sicher.

— Dłuski mu będzie pomagał.

— Dłuski to win jest od ładne gadanie, ale win nie da nic.

— Morecki pożyczy z Banku książęcego.

— Kto temu Bombalski będzie podpisował weksel?

— Hast die recht, te szlachcice wszyskie gołe, a Warzycki podobno tojt.

— Hat ihm der Schlag getroffen.

— A może młody Warzycki będzie pomagać Bombalskiego?

— Ewsze!

— We Lwowie skupisz weksle księcia Gierymski.

— To niewielki kłopot, win potrzebuje in einen fort, to win dużo podpisuje.

— Jak będziemy mieli te weksle, pogadam z Warzyckim. Er wird schwitzen. Jego choroba weżmie z taki szwager.

— Nu, a pieniądze?

— Herr Direktor Landerer będzie ci wypłacać, ale targuj się z żydami, aby za szeszćdziesiąt procent

kupować te weksle, a Landererowi sprzedawać za siedmdziesiąt pięć procent.

— Nu, pan będzie miał pietnaście procent, a reszta to za mego fatygi.

— Git! Hast aber a schön Geschäft gemacht.

— Żona u mnie chora i dzieci chore.

— Jak ty będziesz zarabiać to uni będą zdrowe,

— Ale propinacya u Bombalski ja sam biorę.

— Pomówimy.

— Nischt, ech hab allein das Geschäft gemacht, in die propinacye ist man.

— Wie a soi? bist meschigen? ja tobie płacił meklerei.

— Co takie płacenie? ja mógł mieć parę razy hajder, ja wyrabiał takie kawałki, co pasują na wszystkie paragrafy, ja pana wyciągał fin der hajder heraus, ja muszę mieć propinacye!

— Jak ty będziesz takie rzeczy gadał, ja ciebie będę wypędzał.

— To ja zrobię giwałt. Aj waj! ech hab kein forcht.

— Jak będziesz krzyczał to czebi bedo zamknąć.

— A grojs gescheft, lomir beide sitzen.

Pomeranz uznał za stosowne nie spierać się dłużej, argumenta Szlomy były zbyt poważnej natury.

— Ty jesteś niewdzięcznik — rzekł — ale karczma będzie twoja.

— Nu, pan widzi, poco się spierać. Teraz to ja już jadę.

Pogadawszy jeszcze chwilkę, rozstali się w najlepszej harmonii.

* * *

Wyszedłszy od Pomeranza, Szloma przypomniał sobie, że od wczoraj nic w ustach nie miał, a że do odejścia mieszanego pociągu miał jeszcze pół godziny czasu, zaszedł do karczmy, gdyż tu dzięki stosunkom swym, mógł liczyć na jakitaki traktament, za który płacić nie potrzebował.

Szulim, arendarz Pomeranza, oceniał wprawdzie należycie wpływy Szlomy, ale na grosz był chciwy i dlatego ociągając się i wyrzekając na biedę, przyniósł wreszcie kawałek śledzia, małą szklankę piwa, skrawek chleba i odrobinę soli. Szloma zjadł wszystko łapczywie, Szulima dla dodania sobie powagi zwymyślał, a nie mogąc już żadnego prowiantu wydostać na drogę, wsiadł na przejeżdżającą furę i bezpłatnie spożywszy śniadanie, bezpłatnie przyjechał na dworzec kolejowy. Stanąwszy nogą w przedsionku odrazu do niepoznania się zmienił. W skulonym, nieśmiałym i pokornym niktby nie mógł upatrywać wcale zasobnego kapitalisty, przyszłego propinatora, a może nawet in spe dziedzica dóbr i dygnitarza powiatowego. Szloma jednak wobec obcych ludzi grał rolę biedaka, a ułatwiało mu to rozmowę z najuboższym żydkiem i z najbogatszym magnatem. Pierwszy spowiadał się przed nim z całem zaufaniem i opowiedział mu nieraz bardzo ważne sprawy, drugi nie licząc się z nędznym faktorem, kopał go i poniewierał, ale zarazem uważał za podatne narzędzie do rozmaitych pomniejszych interesów, które i na najdonioślejsze rzucały czasem światło.

Jakoż przybywszy na peron, zapytywał Szloma z bardzo pokorną miną jakiegoś szlachcica, czy nie ma na sprzedaż owsa i zręcznie wybadał, że z panem Alojzym bardzo źle i że prawdopodobnie do wieczora skończy, urzędnika telegraficznego zagadnął o skórki

zajęcze, które radby nabyć i dowiedział się, że telegrafowano już po córkę Warzyckiego i że Marynia skutkiem tego dziś wieczór miała przejeżdżać z księżną Gierymską do Ułaszówki, w wagonie wreszcie trzeciej klasy między obdartymi żydkami znalazł takiego, co znał dobrze księcia Alfreda i dowiedział się, którego faktora używa teraz młody książę i wiele ma długów, zebrał jeszcze mnóstwo innych wiadomości nawet o swoim pryncypale Pomeranzu.

Dojechawszy do Lwowa mógł już nawet plan kampanii ułożyć.

Wyrozumiał mianowicie ze wszystkich tych relacyj, że śmierć pana Alojzego Warzyckiego sprzyjać będzie matrymonialnym zamiarom księcia Alfreda i że wieść o tym nagłym zgonie podnosząc jego osobisty kredyt, podwyższy cenę jego weksli. Postanowił więc zająć się najpierw wykupieniem zobowiązać księcia Alfreda, gdyż rozumował ze zwykłym sprytem, że czasu potrzeba nim Popijalski wapno odbierze i że za trzy i cztery dni równie dobrze z tym czerwononosym grubym opojem może dobić interesu.

Poszedł więc prosto z dworca do faktora Grubera, który był ministrem finansów księcia Alfreda. Gruber powrócił poprzedniego dnia z kilkodniowej podróży w interesie kościarni Warzyckiego i załatwił się bardzo sprytnie, gdyż zawarł z Raszkesem, właścicielem żydowskiej kościarni nader prosty, a dla obu złoty interes. Grzybacki miał wedle tej umowy zamówić w kościarni Stanisława Warzyckiego ogromny transport mączki kościanej loco Przemyśl w cenie do 25.000 złr. po możliwie niskich cenach jednostkowych i z zastrzeżeniem rabatu. Cały ten transport nabywał na tych samych warunkach potajemnie Raszkes, płacąc wekslami podupadłych gospodarzy, niemogących już

dotrzymać terminu, a na imię Grzybackiego każdy z nich miał dostać zamówioną przez nich mączkę niby od Warzyckiego, a w rzeczywistości od Raszkesa naturalnie o pięćdziesiąt procent gorszą. Grzybacki za podpisanie potrzebnych dokumentów miał otrzymać 500 złr., przyczem o właściwym stanie transakcyi nie miał nic wiedzieć, a Gruber zapewnioną miał kwotę 1500 złr. Raszkes wreszcie zarabiał: a) 50 procent na wartości mączki kościanej z fabryki Warzyckiego, b) najgorszych odbiorców przekazywał Warzyckiemu, c) niszczył tych ostatnich ekonomicznie dostarczywszy im lichego produktu, d) niszczył przez tosamo niebezpiecznego konkurenta, ustalając odrazu złą opinię o jego produkcie i narażając go na kłopoty z powodu udzielonego kredytu znacznego bez należytego pokrycia. Wszyscy więc zacierali ręce, a Gruber może najbardziej był zadowolony, bo owe 1500 złr. spadały na niego jakby manna z nieba.

W naradzie tajnej z Ryfką doszedł też do przekonania, że gdyby zdołał odebrać choć część pieniędzy od księcia Alfreda, wziąłby się do jakiegoś solidniejszego interesu. Ryfka wzdychała do tej chwili bardzo, bo była już matką dwojga dzieci a w małym pokoiku, wobec trzynastu dusz żyjących, egzystencya była wręcz niemożliwą.

Gruber suszył więc sobie głowę, jakby z księciem się rozejść, gdy go odszukał Szloma, proponując iście złoty interes odsprzedania mu wszystkich do księcia pretensyj. Wytłómaczył mu oczywiście, że działa z upoważnienia jednego z krewnych księcia, który poraz ostatni chce jego długi popłacić, ale jak najtańszym kosztem. Te słowa „jak najtańszym kosztem“ nie podobały się wprawdzie Gruberowi, atoli pojmował dobrze, że jeśli znalazł się taki głupi, co za zrujno-

wanego księcia płaci, to należy brać co daje i póki daje, bo gotów się rozmyśleć i nie dać nic, a to byłby już najgorszy w świecie interes. Opowiedział przeto Szlomie, wiele mu winien książę i wymienił wszystkich innych wierzycieli, zobowiązał się nawet wydobyć od nich weksle i sam całą umowę zawrzeć, wreszcie po długim targu przystał na czterdzieści pięć procent nominalnej sumy. Równocześnie atoli podał sumę weksli wyższą o kilka tysięcy, gdyż targując się ze Szlomą, doszedł do przekonania, że przy pomocy kilku set złotych reńskich może się uda wydostać od księcia nowy podpis i drogą takiej szacherki podwyższyć ofiarowane czterdzieści pięć procent na pięćdziesiąt procent.

Książę Alfred był dnia tego w najgorszym humorze, gdyż obliczenie podręcznej kasy wydało fatalne rezultaty. Ze wszystkich kieszeni powyciągane pomięte papierki złożyły się razem na sumę kilkudziesięciu złotych reńskich, a taka sumka, dziś szczególniej, smutny dla księcia przedstawiała horoskop najfatalniejszych nudów. Wprawdzie przez przeciąg ostatnich kilku tygodni nie miewał nigdy więcej pieniędzy, atoli zajęty przez ten czas Marynią nie uczuwał tęsknoty za resursą obywatelską i zielonym stolikiem do kart, a honorowa służba przy boku narzeczonej pozwalała liczyć na sukursa pieniężne od matki. Teraz po nagłym odjeździe Maryni do Ułaszówki, dokąd ją odwiozła osobiście księżna Gierymska, mimowoli musiał się z tem liczyć książę, że dzień ma 24 godzin, których olbrzymią długość skrócić mu mogła jedynie partyjka i suta kolacya spodniczkowym jakim sportem urozmaicona. Z kimże tu jednak grać, mając kwotę tak małą, że ledwie na pourboiry wystarczała. Książę myślał tedy nad tem i nie widząc punktu wyjścia, bo nawet na Grubera rachować już nie mógł, popadł

w stan najzupełniejszego zniechęcenia. Wszystko co go otaczało, wydawało mu się w dniu tym brzydkiem i odrażającem, bo istotnie w wynajętem na prędce mieszkaniu, nie przypominało mu nic owych świetnych czasów, kiedy po śmierci ojca objąwszy znaczny majątek, rzucał się w wir zabaw i rozrywek.

Pamiętał dobrze pierwszą swą wyprawę do Anglii i Francyi. Miał wówczas zaledwie 21 lat, a sama matka nagliła go do wyjazdu, aby świat poznał i doświadczenia nabył. Jadł też przez lat kilka zapamiętale z drzewa wiadomości dobrego i złego, a gdy po licznych szaleństwach ocknął się pewnego poranku w rodzinnym majątku Białogóry, zdobył w reszcie w smutnym dodatku najniepożądańszą wiadomość o mnóstwie hipotecznych długach, o wekslach, protestach, egzekucyach i sekwestracyach i poznał dopiero różnicę między księciem tytularnym a księciem udzielnym.

Gdyby nie zaintabulowane na pierwszem miejscu hipoteki dożywocie matki, nabyłby książę Alfred i inne jeszcze stokroć boleśniejsze doświadczenia, atoli księżna Helena miała zawiele kobiecego sprytu, aby przy pomocy swych zawsze jeszcze ponętnych wdzięków i licznych w świecie koneksyj, nie uratować jedynaka od zupełnej katastrofy.

W tej akcyi ratunkowej zaważyły cokolwiek zasługi rodzonego stryja Alfreda, księcia Jarosława, który był wybitnym dygnitarzem kraju i na którego wezwanie dyrektor Morecki z prawdziwem poświęceniem zdołał przeforsować zniesienie sekwestru i jakietakie uregulowanie stosunków księżnej Heleny i księcia Alfreda. Zadawalniając się skromną rentą, mogli oni doprowadzić zwolna do zupełnego oczyszczenia majątku z długów. Atoli na nieszczęście książę Alfred rozumu z zagranicy przywiózł niewiele, a natomiast

lenistwo ducha straszne, zabijające, a w dodatku jedną tylko pasyę, którą atoli w szerokim stylu uprawiał: karciarstwo!

Księżna Helena wiedziała o tem dobrze, ale nie upatrywała w tem żadnego niebezpieczeństwa. Wszakże grywał w karty książę Jarosław i grywali niemal wszyscy dystyngowani ludzie, których znała. W „towarzystwie“ umiejętna gra poczytywaną była raczej za przymiot, aniżeli za wadę. Panowie przy cygarach mówili przeważnie o kartach, chyba, że jakieś skandaliki na chwilę obudziły w nich gorliwą troskę o moralne dobro ukochanych bliźnich. Poza plotkami dla dostojnych mężów „towarzystwa“ istniały polowania, wyścigi, a zresztą karty i nic tylko karty.

Jeżeli w resursie obywatelskiej rozpoczął ktoś poważną rozmowę na temat spraw krajowych, odwracano się z niechęcią, uważając to za naruszenie prastarego zwyczaju, aby w „towarzystwie“ poruszać tylko temata lekkie, nie utrudzające myśli, nie wymagające dłuższej debaty.

Zasiadały też w resursie obywatelskiej wszystkie niemal ekscellencye, wszyscy książęta i hrabiowie, a misera plebs szlachciców i tłum o wiele od szlachty liczniejszych i bogatszych dorobkiewiczów, poczytywał partyjkę z dostojniejszemi osobami za coś tak zaszczytnego, iż to chyba z aktem pasowania na rycerzy mogło iść w porównanie.

Grywali wreszcie w resursie z całą namiętnością sędziwi obywatele, których włos osrebrzyła już siwizna i gołowąse chłystki, przez protekcyę wysoko postawionych dygnitarzy resursy zaliczeni do grona członków, grywali ojcowie wobec synów i synowie wobec ojców.

Niedoświadczeni padali często ofiarą, a wyrafinowani gracze żyli formalnie z tego sportu, atoli nad

pierwszymi nikt nie ubolewał, a drugim nikt ręki nie cofał. Co najwyżej śmiano się z zapaleńców, co stawiali na kartę przyszłość, a sprytnych usprawiedliwiano pobłażliwą uwagą, że taka już ich pasya.

Książę Alfred miał także pasyę do kart, ale szczególniejszego rodzaju: nie dbał o wygranę, nie liczył się z przegraną, ale jak siadł do kart, grał do upadłego, a nie grywał, jak tylko z dobrymi graczami, czyli innemi słowy: przegrywał zawsze, a wygrywał zaledwie raz lub dwa razy w sezonie.

Dla uspokojenia matki opowiadał jej wiecznie o swoich, przy zielonym stoliku tryumfach, a księżna Helena nie miała powodu nie wierzyć, gdyż widziała u syna zawsze grubsze pieniądze, a nie wiedziała znów o roli, jaką potajemnie odgrywał w jej domu faktor Gruber.

Cios byłto więc dla niej okropny, gdy dnia jednego zawiadomił ją dyrektor Morecki, że Alfredek znów w okropnych długach, bo lichwiarskich. Książę Jarosław dopomóc nic nie chciał, książę Dłuski zręcznie się wymówił, a Morecki długo susząc sobie głowę, wpadł wreszcie na myśl ożenienia księcia Alfreda z córką pana Alojzego.

Książę Alfred z początku nie chciał o tem słyszeć, gdyż marzył o milionowej fortunie, a dojść do niej mógł tylko drogą bogatego ożenienia się. Posag Maryni, który miał wedle twierdzenia Moreckiego wynosić 200.000 złr. był o wiele niższym od śmiałych Alfreda marzeń, a po spłacie długów mógł wystarczyć zaledwie na wygodne, ale oszczędne życie w Białogórach.

Brr! Alfredek wstrząsał się na samą myśl ciężkiego zawodu gospodarza i nudnych obowiązków powiatowych, a obliczając nadto wszystkie swoje sła-



bości, całkiem tym razem trafnie rozumował, że Warzyckich zniszczy, a sam znajdzie się niebawem na bruku. Pracować bowiem nie chciał i nie wyobrażał sobie, jakimby sposobem mógł się nagiąć do jakiegokolwiek zajęcia.

Przedstawiał tedy matce i dyrektorowi Moreckiemu, że woli wyjechać za granicę i tam zdobyć serce jakiej Amerykanki i sprzedać jej tytuł za miliony. Atoli księżna Helena wiedziała już do czego Alfredek za granicą zdolny, a że na utrzymaniu żeńskiego towarzystwa Wincentego à Paulo nie miała ochoty w przyszłości poprzestać, powzięła myśl heroiczną, zrujnowania do reszty pobocznego kredytu pana Alfreda. W tym celu dyrektor Morecki zakondykował nagle sądownie dożywocie księżnej i objął Białogóry w sekwestr, a gdy wieść o tem rozeszła się po wałach hetmańskich, Gruber i jego przyjaciele wydali parol, aby odtąd żaden żyd nie pożyczał młodemu księciu, „weil der Puretz ist schon total fertig“.

Naprożno Alfredek przedstawiał Gruberowi, iż gotów płacić sto za sto, dawniej tak potulny faktor był niewzruszony i pytał jedynie:

— Nu, a kto będzie podpisował?

— A któżby? ja! — wołał książę.

— Na takiego podpisowania szkoda blankiet wekslowy, bo blankiet czysty, to un coś zawsze wart, a jak jaśnie książę sze na nim posadży, to un już nic nie wart.

Książę zeszedł tedy na chleb łaskawy u mamy dobrodziejki, a gdy mu się to wreszcie sprzykrzyło, zdecydował się wziąć ostatecznie głupie dwakroć i Marynię w dodatku. Raz wyrzekłszy to wielkie słowo, był już konsekwentnym, a że Marynia była miłą i ponętną dziewczyną, lżejszem sercem znosił

czyściec okresu narzeczeństwa. Kredytu oczywiście nie odzyskał, bo mu matka nie dowierzała. Powiększona nieco pensyjka musiała mu na razie wystarczyć.

Tak rzeczy stały, gdy skutkiem telegramów z Ułaszówki, najpierw pani Warzycka, a następnie księżna Helena z Marynią odjechały do ciężko chorego, pana Alojzego, pozostawiając po sobie nietylko pustkę ogromną, ale i straszliwych nudów obawę dla pokutującego pana Alfreda.

W takiej chwili nagle i niespodziewanie zjawił się przed nim człowiek, którego nie widział już całe wieki, a był nim właśnie Szymon Gruber.

Nie dość jednak na tem, że sam przybył, ale nadto oświadczył gotowość udzielania księciu pożyczki. Alfredek był rozczulony tem przywiązaniem faktora, który powierzał mu 600 złr. w zamian za jeden marny podpis. Coprędzej więc ujął za pióro, aby tak wysokie zaufanie godnie odpłacić, gdy naraz ujrzał na wekslu cyfrę 6000 złr.

— Zapewne pomyłka — rzekł do Grubera.

— Naco ma być pomyłka, a płacił jasny pan procenta przez tyle lat?

I zaczął Gruber liczyć i liczyć, aż wreszcie znudził księcia, który wszelkich cyfr nie cierpiał i do arytmetyki miał nieprzezwyciężony niczem wstręt od dzieciństwa.

Alfredek rzucił więc wkońcu przez zęby:

— Niech tam!

Weksel podpisał, pieniądze przeliczył, faktorowi darował pięćdziesiątkę w uznaniu jego pamięci i przywiązania, a wieczorem dnia tego ku wielkiemu zdziwieniu dyrektora Moreckiego, zasiadł w resursie obywatelskiej do partyjki.

Tymczasem Gruber biegał po mieście, wydoby-

wając z zaułków weksle księcia Alfreda, za które jednym więcej, drugim mniej przyrzekał tak, że ostatecznie i na tej bieganinie zarobił piękną sumkę, dopadł wreszcie Szlomy, a gdy wieczorem zziajany, spocony, znalazł się w objęciach Ryfki, przyznał się pod wielkim sekretem, że zrobił świetny interes, bo z pieniędzy, które uważał za przepadłe, wydobył blisko sześćdziesiąt procent. Równocześnie Szloma w podobny sposób okroiwszy Landerera i Pomeranza w skrytości ducha, przyznał się przed samym sobą do poważnego zarobku, chociaż i Landerer także nie narzekał, bo ostatecznie za sto płacił ośmdziesiąt pięć procent.

W resursie książę Alfred grał zawzięcie, póki całych 550 złr. nie przegrał, nie przeczuwając wcale, że w tymże czasie jego własna skóra wystawioną była formalnie na licytacyę.

Po przegranej pocieszył się kolacyjką, do której nawet przysiadł się dyrektor Morecki, aby wybadać jakie nowe źródło monety, wymyślił sobie jego pupil.

Szloma zaś nie mając wstępu do resursy, ani nie mając we Lwowie swej Sury, poszedł do Grubera. Nie przywitano go tu szampanem, ale Ryfka na przyjęcie takiego gościa jedno jedyne krzesło własną ręką starła i poczęstowała go rybą zastudzoną w galarecie, która z dodatkiem cebuli i chleba zaspokoiła jego apetyt po dniu tak pracowitym.

Po tej uczcie dał znak Gruberowi, aby z nim wyszedł, ale nie poprowadził go ani do „kiszki“ w cukierni Kosteckiego, ani do „piekiełka“, ale przechadzając się z nim po błocie na placu Rybnym, taką prowadził rozmowę:

— Nu, icter bist di a grojser puretz.

— Bogu dżenki — odparł skromnie Gruber — pare setki jest.

— Ech denk epes mehr jak pare setki.

— Dżeci także są.

— A brałbyś solid Geschäft, ekstra fein?

— Coby nie!

— Czeba, abyś zakładał w Przemyślu sklep wielki z cykoryę, z mączke kościane, musztardów, octów, wapna, skóra, nafta, żelazo...

— Giwałt, ja temu nie dam rade.

— Hast di Verstand!

— Ja z mego pieniędzy mogę tylko z jednem artykuły handlować.

— Dus ist kein Geschäft, to żaden interes.

— Ze wszystkiego artykuły, co ty mówił, puszcić sze na handel, to bankrot na pewniaki.

— Nu, co tobie szkodzi bankrot, jak ty z tego bendziesz robił a grojse spekulacye. Di bist a chuchem, ty mogesz zarabiać sto tysionców.

— Goje nie dadzą tyle towarów.

— Oh, czemu nie dadzą, ale czeba mieć a git kepełe.

— Nu, jak tak, to ja by brał.

— Und ech stej dafür!

— Wilste mitgehen?

— Ty będziesz dawał firmę, a ja będę twoje czichy wspólnik, a szitew.

— Do połowy?

— Nein, do czwartego część.

— Nu, wiele to jest?

— Pięć tysionców.

Gruber zaczął się skrobać po głowie.

— Nu? napierał Szloma.

— Piętnaście tysionców, to duży gełd.

— Ale mogemy zarobić sto tysionców.

— Nu, jak tak to i schluss bedzie na pewniaki.

— Aj waj! wus schmist di von a sojne sachen, jak ty schowasz sto tysionców, bedarfs di kein mojrem zu haben, zawsze sie znajdo takie wielkie adwokaty goje, co bedo ciebie wydobywać, a jak bendzie żle, kennst di nischt entlojfen.

— Nu, ech gaj nach Przemyśl.

— Si git! — odparł Szloma — żegnając się z przyjacielem.

Gruber dnia tego wcale spać nie mógł, a nazajutrz oświadczył Ryfce z wielką powagą, że będzie robił ze Szlomą a grojse spekulacye.

Ryfka z uwielbieniem spojrzała na swego Romea!...

Szloma dwa dni następne poświęcił ustawicznem konferencyom z Gruberem, a gdy porozumieli się już ze sobą co do wszystkich szczegółów, postanowili zgodnie zawrzeć ze sobą umowę. Zawierają takie formalności adwokaci lub notaryusze, ale Szloma wyznawał zasadę „że duże pysanie to tylko a grojs kłopot! Naco tego wszystkiego, kto ma wiedżeć?“

— Wie a soj wird den san? — pytał zaniepokojony Gruber.

— Lo mir, gehen zum Rebbe.

Poszli więc do rabina, zaprzysięgli wobec niego, że jeden drugiego nie oszuka, że w sprawie nowego przedsiębiorstwa jeden przed drugim nic nie zatai, i że zyskiem podzielą się w stosunku do udziału.

Następnie zobowiązali się część zysku złożyć dla rabina i na kachał, a nawet bezzwłocznie gotówką jako zaliczkę na ten cel złożyli 200 złr. W zamian za to rabin błogosławieństwo nad nimi odmówił, stawiając ich pod opiekę „zakonu“ i orzekając, że żaden żyd nie może w tym interesie przeciw nim działać,

ani też bez porozumienia z nimi kunkurencyę wytwarzać, a wszyscy mają ich solidarnie popierać, w razie potrzeby wszystko ułatwiać i pokrywać, a w razie nieszczęścia do upadłego bronić. Blisko godzinę trwały następnie wspólne obu wspólników z rabinem modlitwy, poczem dopiero odebrawszy jeszcze raz bardzo uroczyste od rabina błogosławieństwo z podniesionemi głowami, opuścili wspólnicy jego mieszkanie. Zaraz w bramie jednego z najbliższych domów wyliczył Szloma Gruberowi w gotówce swój udział, mówiąc mu:

— Icter nem dich fest, abyśmy zarabiali.

Gruber splunął na pieniądze, w zanadrze je schował i żegnając Szlomę, zawołał:

— Nu, di wirst sehen, dus ech hab a gesind kepełe!

Szloma załatwiwszy swój interes, przypomniał sobie zlecenia Pomeranza. Czwarty już dzień upływał od przyjazdu Szlomy do Lwowa, wapno musiało już być na składach u Golickiego i Popijalskiego, poszedł więc bezzwłocznie do pierwszego z nich.

Obliczał nie źle, bo Golicki potrzebując gwałtownie wapna do budowli, transport z Grodzisk poprzedniego dnia jeszcze odebrał.

— Nu, i jakie to wapno jest? — pytał spokojnie Szloma.

— Najgorsze w świecie. Telegrafowałem zaraz do Grodzisk, że tak lichego wapna przyjąć nie mogę i żądam bezzwłocznie wyjaśnienia i zamiany, gdyż zapewne zaszła pomyłka.

— Nu, was hat auf des Grodziski gesugt?

— Czytaj! mówiąc to, podał Golicki Szlomie depeszę.

Szloma oczy przetarł, ku oknu postąpił i czytał powoli:

„Wysłaliśmy najlepsze wapno jakie wyrabiamy, Popijalski dostał równocześnie takiesame, gdyż pośledniejszych gatunków nie mamy. W nieobecności właściciela zarząd“.

— Co pan będzie teraz robić — pytał Szloma, odkładając telegram.

— Oglądnąłem wapno przeznaczone dla Popijalskiego, które na szczęście leży na dworcu kolejowym nieodebrane i przekonałem się, że tak jak moje jest niedoużycia. Chciałem zarządzić natychmiast zbadanie wapna przez znawców sądowych, ale z Popijalskim trudno dojść do końca.

— Już ja z nim poradzę, ale niech pan pamięta na obietnice.

— Jaką obietnicę?

— To musi stać wszystko w gazecie opisane.

— Wpierw muszą znawcy orzec.

— Pan już wie, że Grodziski pana oszukał.

— Jednak to mój kolega.

— Nu, Pomeranz kazał panu przypominać, a jak pan nie chce spamiętować na swoję honorowe słowo...

Golicki z niecierpliwością wąsy pociągał.

— Ostatecznie — rzekł — nie potrzebuję mieć dla Grodziskiego względów, skoro mam stratę, bo budowle stoją.

— Teraz to pan mówi ganz gescheidt.

— A sprolongujecie mi dług na dalsze trzy miesiące.

— Nu, to sze dałoby zrobić.

— Słowo?

— Jak będzie stało w gazecie pismo od pana naprzeciw Grodziskiego.

— Pisać sam nie będę, ale postaram się, aby fakt

podany był do wiadomości publicznej w kronice. Dobrzeby jednak było, aby Popijalski...

— Nu, to się zrobi, ja tu będę przychodzić za dwa godziny. A niech pan telegrafuje do Pomeranza po wapno. Pan dostawać będzie zaraz bardzo dobre.

— Co prawda, wapno wasze także nieszczególne.

— Nu, ale teraz to na pewniaki będzie sehr fein. Niech pan telegrafuje, bo szkoda czas, co sze nie buduje.

— Zatelegrafuję, bo muszę.

— Żyd oddalił się z zadowoloną miną, Golicki poszedł do żony.

— Wybierzemy się dziś do teatru — mówił do niej z uśmiechniętą twarzą.

— Zrobiłeś jaki interes?

— Zapewniłem sobie spokój z tym Pomeranzem na trzy miesiące, mam więc nadzieję, że się nie damy.

— A co będzie z Grodziskim.

— Żal mi go, ale sam sobie winien, ja nie mogę rujnować się z powodu jego niedbalstwa. Przynajmniej pierwszy raz powinien był przysłać dobry produkt.

— Masz zupełną racyę, ty masz przecież dzieci, pracować musisz dla ich przyszłości.

— Oj, tak moja droga, obowiązków wiele, a życie ciężkie, gdyby nie ty!

Pani Zofia zamknęła mu usta pocałunkiem.

Szloma nie poszedł oczywiście do Popijalskiego ale do Taubelesa.

Popijalski bowiem byłto jeden z tych budowniczych, którzy dla braku kapitału obrotowego, popadłszy raz w długi lichwiarskie, schodzą zwolna do rzędu niewolników żydowskich.

Powszechne jest mniemanie, że takie niewolnictwo

rozwija się jedynie po wsiach, gdzie bogaty arendarz lub żyd dziedzic, wyrzucając chłopów z ojcowizny, zmienia ich w najnędzniejszy rodzaj wyrobników, bo w żydowskich parobków, nie posiadających ani domu, ani stałego wynagrodzenia, ani wystarczającej odzieży. Tymczasem nie ma gorszej niewoli jak ta, w jaką popada obdłużona inteligencya rekrutująca się stale z niższych, a często i wyższych urzędników, adwokatów, inżynierów, budowniczych, profesorów i innych małych i wielkich dygnitarzy. Ożeniwszy się wcześnie i zadłużywszy się na samo urządzenie domu, przez liczne familijne wypadki narażeni na nieprzewidziane koszta, zwiększają ustawicznie stan swój bierny, a nie mogąc potem poza granice zwyczajowe ograniczyć ani potrzeb ani wydatków, kurczą się i wiją w strasznych konwulsyach procentów, opłat, prolongat i nowych pożyczek, aż zejdą do takiej nędzy, że żyd wyznacza im z pensyi małe alimenta za oddawane sobie usługi kosztem obowiązku, stanowiska, przyszłości własnej i przyszłości kraju.

Opłakane położenie tych inteligentnych proletaryuszów, tych żebraków w surdutach, jest jedną z ważnych przyczyn ogólnego w kraju zastoju i jest też bezpośrednim powodem smutnego objawu, że sklepy chrześciańskie nikną, a żydowskie firmy jakby z pod ziemi wyrastają po ustawicznym deszczu tajonych łez tych najnieszczęśliwszych proletaryuszy naszego wieku.

Popijalski popadł w stan niewolnictwa skutkiem długiej i ciężkiej choroby ukochanej żony. Niegdyś młody i energiczny, cieszył się liczną klientelą, wybudował cały szereg domów i wyrysował mnóstwo planów, z czego jednak wiele nie miał, bo ciągle kredytem operował. Choroba żony i śmierć jej pozbawiła

go swobody umysłu, z wiekiem rzutkość dawna zmieniła się w ociężałość, a przyjaciele za ułatwienie kredytu przez dostarczanie podpisów wciągnęli go w życie knajpiarskie. Z początku chadzał na kufelek, potem na dwa, trzy, pięć, dziesięć bombek, potem na miodek, aż zeszedł do kategoryi tych obywateli, których można zastać tylko w restauracyi lub handelku i rozmówić się z nimi tylko przed południem, gdy głowa jako-tako obejmuje życiowe fakta.

Popijalski jadł, pił i płacił, a nikt go nie pytał skąd brał, bo budowniczym być nie przestał, a ten i ów mówił nawet, że Popijasio na gotówce siedzi. Ale Popijasio brał tyle tylko, ile mu wyznaczał w tym okresie życia Taubeles za podpisywanie planów i kosztorysów budowli, których Popijasio nawet nie oglądał. Wprawdzie stawiane przez Taubelesa domy waliły się niekiedy, a magistrat ostatecznie wiedział, że żyd ten stawia domy, nie mając koncesyi i zasłaniając się wiecznie zapitym Popijalskim, atoli nie pociągał do odpowiedzialności ani Taubelesa ani Popijalskiego.

Przyczyna tego znów najprostsza w świecie.

Lwów wybiera stu radców miejskich, a stu radców wybiera jednego prezydenta, który też bacznie na prawo i na lewo musi się oglądać, aby się nie naraził wpływowym radcom i wpływowym wyborcom, a ci bacznie uważać muszą na to, aby się nie narazić wpływowym redaktorom, agitatorom, trybunom i krzykunom. Stąd jaśnie wielmożny prezydent miasta musi się nieraz liczyć z głosem marnego pisarzyny, a szef stronnictwa z krzykliwym opojem, co wiecznie siedząc w knajpie, może go bez wielkiego trudu obrzucić błotem, rosnącem jak drożdże, skutkiem powtarzanych sobie z ust do ust skłamanych dykteryjek.

Popijalski był niewolnikiem żydowskim, ale wy-

prawił sobie gębę w knajpie znakomicie, a miał zawsze liczniejszych słuchaczy, niż sam prezydent prawdziwych przyjaciół. Z tego powodu był groźnym jako agitator, a przez to samo liczył się magistrat nietylko z nim, ale ze względu na nie, patrzał też przez szpary na szelmostwa Taubelesa.

Jakżeby śmiał biedny urzędnik magistratualny zadzierać się z przyjacielem osobistym Haczykiewicza i nieodłącznym druhem Krzykackiego! Dopierożby się miał z pyszna, gdyby go taki Popijalski obrobił przed Krzykackim, a Krzykacki w „Pukawce" lub na pełnej radzie. Mógłby się usprawiedliwiać do sądnego dnia, ale nie doczekałby się awansu, który wyżebrać należało u stu radców miejskich, zaskarbiając sobie z góry łaski powolnością, potulnością, pochlebstwami i innemi sztuczkami.

A zresztą i Taubeles znał się na rzeczy, nazywał się po żydowsku, ale mówił dobrze po polsku, w surducie chodził, od czasu do czasu śniadanie zapłacił i jak mur milczał, gdy co komu w łapę wsunął.

Szloma nie potrzebował z nim zbyt długo rozprawiać, mądrej głowie dość po słowie, Taubeles wyrozumiawszy życzenie Pomeranza, wybrał się sam do Popijalskiego. Pan budowniczy mieszkał w trzech pokojach z liczną rodziną, której losem zajmowała się Kasia, zmarłej pani ulubienica, teraz szafarka, gospodyni, kucharka i minister finansów pana domu.

Z Taubelesem wojowała ona wieczyście, poczytując go zawsze za coś gorszego od zwykłego człowieka.

I teraz, gdy wchodził, drogę mu zaszła.

— A co to, a gdzie to?

— Pan budowniczy w domu?

— Może i w domu, co wam do tego.

— Mam pilny interes.

— Patrzcie-no go, z interesem wyjeżdża, a jak pan wczoraj po pieniądze posyłał, toś psi synu nie dał.

— Kaśka! gębę zamknij, bo cię zaskarżę do sądu.

— Cholera by ciebie wzięła parchu, a toć przy ludziach nie gadam, a w oczy to i napluć mogę, jak ci gadanie nie recht.

— Zobaczysz, że cię pan wygoni za twój zły język.

— Jak ciebie przyjmuje, chociażeś go zniszczył, to mnie ta nie wygoni. Za nieboszczki pani toś stał przed bramą, czekając aż wyjdzie, a teraz to się bisurmanisz.

— Ty się dziś chyba upiła.

— Za co? z mojej pracy trudno, a z wami ja nie kradła.

— No, dość już tego, puść mnie do pana budowniczego, bom mu przyniósł pieniądze.

— To dawaj tu, niech schowam, przecież mieszkanie trzeba zapłacić i dzieciom obiad ugotować. Patrz, Rózia chora, za Stefka szkolne nie zapłacone.

— A jak się pan budowniczy będzie gniewał?

— Śmiałby to? a kto domem rządzi, on to już przepadł, jak się z wami wdał. Za nieboszczki pani...

— No, masz pięćdziesiąt reńskich i puść już raz, bo czasu nie mam.

— Pewnie go oszwabisz, bo gdzieżbyś ty dał za durno. Ale już idź, zastaniesz go na tapczanie, bom mu dopiero łeb wodą zlała, aby oprzytomniał. Spił się, że aż wstyd, nieboraczysko!

W kancelaryi Popijalskiego leżał istotnie sam gospodarz w stanie najsmutniejszego zaniedbania.

Zobaczywszy Taubelesa, wyciągnął do niego obie ręce.

— Witaj zbawco! — wykrzyknął patetycznie — jestem golissimo basso, bez centa, jak cię szanuję.

— Dałem Kasi pięćdziesiątkę i musiałem wysłuchać steku grubiaństw, zaczyna mnie to już gniewać.

— No to się pociesz miłą nowiną, że plany na nową oficynę w domu twoim przy ulicy Różanej zatwierdzone, mimo ogromnej opozycyi pięciu członków sekcyi budowniczej. Musiałem za to upić się wczoraj z Krzykackim i z Mühlingiem i jestem bez grosza.

— Kaśka przecież odda.

— Dobryś! ona nie głupia lać w moje gardło koniaku. Jak czem poczęstuje, to chyba konewką wody na ochłodzenie, patrz jak zlała podłogę, ale z tem wszystkiem mądra dziewka, prawdziwy skarb.

— A ja ją przecież do kryminału wpakuję.

— Tylko się z tem nie odzywaj, bo dopadnie cię kiedy i w cztery oczy po papie wygrzmoci. Cóż myślisz? albo to ze mną inaczej postępuje?

Mówili jeszcze chwilę o Kaśce i domowych kłopotach, o Krzykackim i o magistracie, wreszcie opowiedział Taubeles „o niebywałej nieuczciwości“ Grodziskiego, który poważył się zaraz przy pierwszem zamówieniu dostawić jak najgorsze wapno.

— Nauczymy go mores, ale grosze na stół.

— Piątkę?

— Dziesiątkę, a sponiewieram go tak w „Pukawce“, że się odrazu z nóg zwali.

— Niech stracę!

— Chciałbym mieć to, co ty na tem zyskasz.

Taubeles nie żegnając się, brał za klamkę.

— A Golickiego — wołał za nim Popijalski — przyszlijcie do „kiszki“, zaraz tam będę.

Jeszcze się drzwi nie zamknęły za Taubelesem, kiedy nad głową budowniczego pojawiła się Kasia.

— Wiele panu dał pieniędzy?

— Nie dał mi nic, ruszaj precz.

— Kiedy słyszałam na własne uszy, że dał panu dziesiątkę.

— Podsłuchiwałaś?

— A cóżem miała robić, dał mi ten parch pięćdziesiątkę, to ledwo tem dom opędzę i już na szkolne dla Stefka braknie.

— To niech idzie do szewca, patrz co mi z nauki przyszło!

— Stefek do szewca, syn nieboszczki pani, co też pan gada?

— Lepiej, że będzie szewcem, niż żeby się tak miał poniewierać jak jego ojciec.

— Bo też pan hula i hula.

— Ty mi może zabronisz?!

Kaśka ujęła się znów za dziećmi nieboszczki pani, Popijalski pomstował, Kaśka na to w płacz, skończyło się wreszcie na tem, że po długiej awanturze Popijalski wyszedł z domu z piątką, nie popatrzywszy ani na chorą Różię, ani na biednego Stefka.

Nazajutrz pojawił się w „Pukawce“ sążnisty artykuł przeciw Grodziskiemu, zakończony szumną pochwałą dla Pomeranza.

„Zacny obywatel Pomeranz“, brzmiał końcowy ustęp artykułu, „ucierpiał niewątpliwie wiele skutkiem konkurencyi pana Antoniego Grodziskiego, atoli spełniły się nasze przepowiednie, że w Grodziskach nie ma odpowiednich pokładów wapna, i że szkoda było poprostu pieniędzy na nowy kosztowny wapiennik. Nie usłuchał nas pan Grodziski, niechże słucha tak znakomitych sił fachowych, jak obywatele Golicki i Popijalski. Kto chce wspierać przemysł, niech dopomaga przedewszystkiem istniejącym już firmom. Wszelka donkiszoterya na tem polu, to tylko zręczny manewr wsteczników, aby tumanić łatwowiernych“.

X.

Rezultaty obywatelskiego poparcia.

Sędziwy Alojzy Warzycki był z natury krwistym i już przed kilkoma laty uległ raz apoplektycznemu atakowi. Natychmiastowa pomoc lekarska przywróciła mu jednak przytomność, a unikanie gwałtownych wstrząśnień i regularny, spokojny tryb życia podparły zdrowie skądinąd silne i czerstwe, bo żadnem wyuzdaniem, ani nadmiernemi hulankami niewyniszczone.

Gdy jednak żona z Marynią odjechała do Lwowa, staruszek, choć nie mówił, bolał nad tem niewypowiedzianie, bo wiedział, że ta podróż miała na celu zapoznanie Maryni z księciem Alfredem; a w tem upatrywał pan Alojzy dla swego domu największe nieszczęście.

Przez całe trzy tygodnie chodził też jakby pomieszany i nie mógł godziny nawet wysiedzieć na werandzie, tak go niepokój dręczył.

Stanisław widział ogromną w ojcu zmianę, ale ile razy o lekarzu wspominał, stary obruszył się jedynie zapewniając, że się czuje zupełnie zdrowym. Tymczasem po nocach nie sypiał, a gdy usnął, sen miał

niespokojny i zrywał się często jak w gorączce. Przy ludziach miną nadrabiał, proboszcza dykteryjkami bawił, syna o kościarnię zagadywał, ale gdy sam znalazł się w pokoju, fajeczkę z rąk wypuszczał, ręce załamywał i w głos wzdychał.

— Dziecka mnie pozbawią, majątek zniszczą, wszystko pójdzie na marne.

Tego dnia, w którym Grzybacki przyjechał, więcej był niż kiedykolwiek zirytowany, bo wyczekiwał nadaremnie od dni kilku na powrót żony.

— Nie wracają, już się porozumieli, nieszczęście! — zawodził zaraz po przebudzeniu się.

Opowiadanie Grzybackiego dolało tylko oliwy do ognia, a że to opowiadanie płynęło z ust letkiewicza, który dodatki rozmaite w nie wplątał, staruszek temwięcej wziął to wszystko do serca. Wypił przytem nieco więcej starego wina jak miał w zwyczaju i gdy się znalazł w swoim pokoju, padł jak martwy na ziemię.

Stanisław przy pomocy sług ułożył ojca na łóżko, rezesłał konnych posłańców po lekarzy i księdza proboszcza prosić rozkazał.

Atak nie był śmiertelny, bo staruszek dawał znaki życia i przy staraniach syna i proboszcza otworzył oczy jeszcze zanim lekarze przyjechali.

Pierwsze słowa, które wymówił, odnosiły się do żony i do Maryni.

— Przyjechały? — szepnął, szukając syna błędnym wzrokiem.

— Przyjadą wieczorem! — odparł Stanisław.

— Jutro, jutro dopiero? dlaczego nie zaraz? ja nie mogę... trudno... nieszczęście... Bełkotał coś niewyraźnie, jakby na poły nieprzytomny.

Nareszcie otworzył oczy i wyrzekł głośno i dobitnie: — księdza!

Proboszcz ujął jego dłoń.

— Jestem przy tobie, przyjacielu!

Staruszek chwilę na niego patrzał, jakby przypominając sobie co zaszło, potem głowę podniósł i rękę do księdza wyciągnął, mówiąc:

— Żony nie ma, dziecko mi zabrali, do Boga trzeba się uciec, do Boga!

W sąsiednim pokoju śród świec jarzących przygotowane stało już „Sanctissimum“. Ksiądz wdział komżę i stułę; Stanisław w niemem przerażeniu odszedł, pozostawiając ojca samnasam ze spowiednikiem.

Długi czas głucha cisza panowała w śmiertelnej komnacie, a w tym czasie służba i gospodarze Ujazdówki zebrali się licznie pod oknami. Wszyscy byli smutni i przygnębieni; najstarsi wiekiem od łez powstrzymać się nie mogli.

— Oj, takich jak stary pan, dziś już nie ma, mówili do innych; wymagał pracy, ale był nam prawdziwym ojcem, uczył jak pożytek z pola mnożyć, jak chudobę powiększać, jak dziećmi pokierować.

Nareszcie ozwał się dzwonek na znak, że spowiedź skończona.

Wszyscy oddech zatrzymali w piersiach, Stanisław na palcach wrócił do ojca. Siedział on na łóżku zdziwnie rozjaśnioną twarzą, a choć mu głos płynął niewyraźnie, najzupełniej był przytomnym. Prosił, ażeby okna otwarto; życzenie to spełniono natychmiast, a w otwartych oknach pojawiły się zaraz głowy licznie zebranych włościan. Przeciągłe westchnienie, jakby cicha do Stwórcy modlitwa, wzbiło się z ich piersi. Kilku najpoważniejszych gospodarzy, rządca, leśniczy i dwóch ekonomów weszli do pokoju.

Z najwyższą skruchą i pobożnością przyjął sta-

ruszek przenajświętszy Sakrament i drżącemi usty, ale dość wyraźnie odmówił modlitwę.

W tej chwili jakby mu życia przybyło. Najpierw księdzu dziękował:

— Tak pragnąłem — mówił — pogodzić się z Bogiem i zwracając się do obecnych, dodał: od Boga wszystko pochodzi i czas, aby się ludzie otrząsnęli z niewiary. Sami nic nie możemy. Patrzcie, tak długo pracowałem, a com zgromadził ani tego wezmę, ani zabezpieczę.

— Ale twoja praca nie przepadnie — przemówił ksiądz — bo z dobrą myślą rzucałeś ziarna, bo miałeś w sercu bojaźń Bożą, co przed łakomstwem strzeże, a z dobrej drogi zejść nie pozwala. Co tam z twoich ziarn będzie, to w Bożem ręku, kruki niejedno z ziemi wydziobią, a kąkol część powiewu zgłuszy, ale i plon będzie na jutro i na długą, nieznaną przyszłość. Nie możemy i nie powinniśmy żądać od Boga i prosić go o to, aby koniecznie nasze życzenia spełnił, ale iżby się działa święta jego wola w dni dobre i złe, w dni pociechy i burzy, a Pan niebieski tę pokorę przyjmując przyda nam i dary doczesne jakich się żaden z żyjących nie spodziewa.

Staruszek drżącą rękę położył na głowie syna:

— Tak, idź z Bogiem w każdej sprawie, mój synu — mówił cichym głosem — a ziemi ojczystej broń do upadłego, aby nie popadła w ręce nieprzyjaciół Polski... ograniczaj swoje potrzeby... kredytu unikaj... pieniądzmi nie szafuj, ale gdy cel godziwy, daj pełną garścią... włościan miej za braci; pracy żądaj, ale ich dobrze wynagradzaj...

Zamyślił się, łzy zaświeciły mu w oczach.

— Dla Maryni bądź opiekunem i bratem najlepszym, dla matki przywiązanym synem.

Stanisław przysięgał spełnić przykazania ojcowskie, staruszek go do piersi przycisnął a po chwili zapytał:

— Przyjadą dziś wieczorem z pewnością?

— Grzybacki po nich pojechał, przyjadą.

— To dobrze, bo choć mi lepiej, coś koło serca dolega bardzo, taki dziwny niepokój mną wstrząsa.

Ksiądz i włościanie przystąpili nieco bliżej. Po tych ostatnich słowach wzrokiem po nich powiódł i rzekł:

— Pracowaliście ze mną, pracujcież z moim synem, nie opuszczajcież go. Dbajcie o kawałek ziemi, jaki wam Bóg dał w doczesne dziedzictwo, a jak zła godzina przyjdzie, nie słuchajcie złych doradców.

— Nas starych oni nie zmienią. My do śmierci o was nie zapomnimy.

— Czuwajcież nad młodymi, niech nie słuchają podszeptów zdradzieckich; niech nie pragną więcej dobra, niż uczciwie zapracować mogą, niech nie szukają rozpusty i nie zagłuszają wódką sumienia.

Znów zaczął się skarżyć na ból serca, pot mu wystąpił na skronie, głowa opadła na poduszki.

Na dany przez proboszcza znak wszyscy się oddalili, pozostał tylko on sam z synem pana Alojzego. Po chwili weszło dwóch lekarzy. Nie radzili budzić chorego, który usnął przed chwilą. Uważali ten sen za najszczęśliwszy zwrot w chorobie. Niepokoiło ich tylko, że staruszek skarżył się na ból w sercu. Z wielką ostrożnością podłożyli pod głowę chorego kilka poduszek, aby mu nadać pozycyę siedzącą. Oświadczyli przytem, że jeżeli sercu nic nie zagraża, żyć będzie. Pozostawiwszy Stanisława przy ojcu, wyszli następnie z księdzem proboszczem do drugiego pokoju. Koło dziesiątej wieczorem rozległ się pod oknami turkot

powozu, a pani Warzycka, napróżno przez proboszcza zatrzymywana, w podróżnem ubraniu wpadła do chorego. Syn ją u progu przyjął przytłumionem łkaniem. Pocałowała go w czoło i podbiegła do łóżka.

Staruszek w tej chwili oczy otworzył i obie ręce ku niej wyciągnął:

— Jesteś, jesteś — mówił — a Marynia?

Pani Warzycka milczała zakłopotana.

— Przyprowadź ją, przyprowadź zaraz, nalegał staruszek.

— Musiała zostać we Lwowie u hr. Bombalskiej — zwolna odpowiedziała żona.

— Jakto, nie przyjechała?

— Przyjedzie jutro, Stasia po nią wyślemy.

— Nie przyjechała, nie przyjechała, to nieszczęście... ledwie zrozumiałym głosem szeptał pan Alojzy i znak krzyża ręką zakreślił.

Naraz za pierś się ujął, chcąc mówić, ale słowa mu na ustach zamarły, głowa opadła na poduszki.

Lekarze przybiegli... puls bić przestał... życie uleciało...

— Paraliż serca — zadecydował przybyły ze Lwowa lekarz.

Z przerażającym krzykiem rozpaczy rzuciła się żona do stóp łóżka.

Stanisław z księdzem musieli ją niemal przemocą wyprowadzić z pokoju.

Z podwórza dolatywał głośny płacz zgromadzonego ludu.

Ojciec i prawdziwy dobrodziej całej gminy, najzacniejszy obywatel kraju; człowiek cichy a w czynach potężny żyć przestał.

Duch jego w ofiarnej daninie składał już Ojcu przedwiecznemu cierpienia lat kilku w więzieniu za

sprawę kraju przebytych i kilkodziesięcioletnią wytrwałą pracę w obronie ziemi ojczystej i przykazań Boskich.

. . . .

Uspokoiwszy się co do stanu zdrowia żony nieboszczyka, ksiądz i lekarz ze Lwowa, którzy jak się okazało, szkolnymi byli kolegami, odjechali razem na probostwo.

Tu po skromnym posiłku rozpoczęli rozmowę o zmarłym.

— Narzekają ludzie — mówił ksiądz — że nieszczęścia się mnożą, jakby Bóg zapomniał o tej ziemi, jakoby obok złych skazał także i zacnych ludzi na zagładę, a czemuż nie patrzą na drogowskazy, jakie na drodze postępu Opatrzności ręka rozpala?

— Może i niejeden patrzy, ale...

— To nieszczęsne „ale“ zawsze stanowi wymówkę dla naszej gnuśności, bo jeśli sprawiedliwie oceniać będziemy wypadki, większa część naszych społecznych i narodowych niepowodzeń w tem ma przyczynę, że dobre umiemy nawet podziwiać, że na chwilę poprzysięgamy iść drogą wytkniętą przez najrozumniejszych i najzacniejszych, atoli naśladować ich w praktycznem życiu nie możemy się nauczyć i przyzwyczaić.

— Usiłowania jednak pod tym względem są widoczne; pan Alojzy nie był, dzięki Bogu, jedynym wyjątkiem.

— Ale i ci inni, których masz na myśli, żyją w odosobnieniu; ich prace, to jak oaza na puszczy, co do pokrzepienia strudzonemu pielgrzymowi służy, ale nie użyźnia piasku złych przywar i spekulacyjnej polityki obecnego pokolenia...

Gdyby choć dbałość była o własne dobro u całej masy jednostek, jeszczebym tego nie ganił.

— Nie może być jednak plonu ze ziarn rozrzuconych po gościńcu czysto osobistych dążeń.

— Powiadają, że pomyślność jednostek...

— Odwieczne kłamstwo, którem djabeł kusił Chrystusa na puszczy.

— Zawsze dobrego tkwić coś musi i w osobistej ambicyi, bo ona jest matką wielu czynów i do postępu przynagla.

— Uświęca raczej zasadę siły przed prawem.

— Niechby już była choćby taka siła. Ale nie będzie jej nigdy ze źródła osobistych ambicyj, bo tylko poczucie wspólnego dobra wyradza taką siłę, która nawet piasek pustyni zmienia w życiodajną glebę.

— Nie zaprzeczysz jednak mu księże, że wielu z tych co wielką dla bliźnych uczuwali miłość, padli wśród drogi złamani ciężkimi zawodami.

— Bo żyli i działali siłą własnych dążeń, a cała przyszłość nasza i przeszłość ludzkości w tem, aby nie naruszając całości poszczególnego ogniwa, złączyć je razem łańcuchem nierozerwalnym wspólnego dobra. Tworzymy coraz to nowe zbawcze hasła, a o najzbawienniejszych słowach Zbawiciela zapominamy! Czyż nie jest wzniosłem to przekonanie: „abyśmy się społecznie miłowali“.

— Jakże to przeprowadzić w praktyce?

— Katolikami jesteśmy, w ewangelii mamy wyraźne przykłady i wskazówki. Trzeba jednak być katolikami w czynie a nie w słowie; nasi panowie, co na świeczniku stoją, pamiętać o tem powinni, że Bóg domagać się będzie rachunku z włodarstwa i ważyć będzie na szali zasług życiowych i to, cośmy zrobili i to cośmy zaniedbali, a to ostatnie często ważniejszem i donioślejszem.

— Skromnemu śmiertelnikowi wytłómacz-że to trochę jaśniej kochany księże.

— Dobrze, mój drogi, a wpierw o jednem ważnem wydarzeniu z życia nieboszczyka wspomnę. Gdy po kilku latach więzienia zabłysła nowa era sprawiedliwych rządów, pan Alojzy wypuszczony na wolność i cierpieniami i przymiotami umysłu, majątkiem wreszcie i rodem stanął odrazu w szeregu tych, co hierarchię doczesną dzierżą w owych rękach. Ciągnęli go więc koledzy i przyjaciele do rydwanu władzy, uśmiechnęła się doń fortuna, tytuły, ordery, zaszczyty...

— Jakże postąpił? — pytał zaciekawiony lekarz.

— Zapytał najwpływowszych, a sobie najżyczliwszych, czy podejmą wraz z nim niestrudzoną działalność, aby całe obywatelstwo jednym sprządz duchem...

— I odpowiedziano mu?

— Że to wypływa samo z siebie, ale że przedewszystkiem poobsadzać trzeba posterunki wybitniejsze i zapewnić sobie wpływ na wiedeńskie decydujące sfery. Pan Alojzy wysłuchał wszystkiego spokojnie, przypatrzył się jakich to ludzi do tego biorą, jak ci ludzie myślą, jak żyją, do czego wreszcie są zdolni?...

— A potem?

— Potem ostrzegł najrozumniejszych, że cała ich polityka może mieć uzasadnienie, ale że jej brak podstawy w należytem opanowaniu stosunków wewnątrz kraju.

— Nie chciano go oczywiście zrozumieć.

— Gorzej jeszcze; odmówiono mu wręcz politycznego zmysłu, zarzucając, że się bawi w utopię, podczas gdy on bardzo trafnie pojmował, że powagę i wpływ na zewnątrz może mieć społeczeństwo, które

potrafi się skupić na wewnątrz i dowiedzie tem nietylko siły żywotnej, ale i nieugiętej woli, aby tę siłę ciągle zwiększać i pomnażać.

— Pan Alojzy usunął się więc do życia prywatnego?

— Chciał jeszcze w swoim powiecie tęsamą zasadę przeprowadzić, ale i tu ambicye jednostek zagłuszyły jego usiłowania. Najdzielniejszych usuwano od pracy, aby wysunąć naprzód tych, co na zewnątrz wystawnem życiem mogli reprezentować powiat. Stary Grodziski nie mógł się nawet utrzymać w wydziale, a hrabia Bombalski osiągnął nawet powiatowe marszałkowstwo. Teraz mogę myśl moją sformułować.

— Słucham z uwagą — zapewniał lekarz.

— Jednostki choćby najdzielniejsze, bronić mogą przez lata poszczególnych posterunków, ale nie mogą oddziałać ani na otoczenie własne, ani, co ważniejsza, na kraj cały. Dokonać tego może jedynie złączenie wszystkich tych jednostek, czy u władzy stojących, czy w zaciszu spełniających obowiązki w potężny święty zakon; święty, bo na przykazaniach Bożych oparty i skierowany nie przeciw tym, lub owym przeciwnikom, ale do działania, do zbawiennej pracy, do czynu. Nazywam taki związek zakonem, bo musi zasadzać się na solidarności nietylko w działaniu, ale w trybie życia nawet; na wzajemnej wreszcie kontroli, aby pomoc mogła być dana istotnie potrzebującym i zasługującym na poparcie ludziom twórczym, a nie niedołęgom, których równocześnie dobrze w kluby wziąć należy. To może nas jeszcze ocalić, to może uratować resztki ziemi naszej, a nawet przyczynić się skutecznie do zdobycia nowych obszarów, do podniesienia rolnictwa i ludu wiejskiego, do rozwoju przemysłu.

— Myśl wzniosła i wielka, ale czas długi minie, nim ją kto podejmie.

— Gotowo być po niewczasie.

— Przyznaj się jednak, księże, że inicyatywa jednostek przyczyniła się jednak do uratowania niejednego majątku.

— Jeden kupuje, drugi sprzedaje, a innych znów licytują; ostateczny rezultat raczej ujemny niż dodatni.

— Nie o tem mówię, ale o obywatelskiem poparciu, o sąsiedzkiej pomocy, o ofiarności poszczególnych obywateli.

— System to jałmużny, który uszanować trzeba, ale który niekoniecznie i niezawsze dobre wydaje owoce.

— Niejednego taka pomoc podźwignęła.

— Zapewne, człowiek młody i zdolny może przy takiej pomocy studya skończyć i wyjść na pożytecznego człowieka; człowiek zadłużony może wyjść ze szponów lichwy, jeżeli jest przytem pilnym i pracowitym. Wdowa może zyskać środki na wychowanie dzieci, ten i ów talent może się rozwinąć w tej lub owej sferze działania; błysnąć może wreszcie, dzięki takiej ofiarności, zielona trawka przyszłych plonów, ale poza tem...

— Gdyby tak było, ale oto ś. p. pan Alojzy parę razy organizował pomoc, to dla włościan, to dla podupadłych obywateli. Owocem pierwszych usiłowań było kółka rolnicze: wspomnę o nich później. Teraz powiem, jak się skończyła akcya dla ratowania obywateli. Dla Brudzyńskiego dał sam pan Alojzy do dziesięciu tysięcy, a dziś jego majątek ma Pomeranz i założył tam swoją fabrykę; dla Świątnickiego dał ze trzy tysiące i także go nie uratował, dla Świdni-

ckiego zebrano 16.000 złr. i również przepadł. A co mówić o pieniądzach rozrzuconych w mniejszych sumach? znalazłyby się w połowie w kieszeniach lichwiarzy, w jakiejś części w kieszeniach sprytnych graczy, a w nadzwyczaj drobnej kwocie w postaci ulgi chwilowej dla tonących. Nie ma więc ratunku bez gruntownej dobrze obmyślonej organizacyi.

— Wspomniałeś ksiądz o kółkach rolniczych.

— Mogłyby służyć dla moralnego podniesienia włościan i dla podniesienia krajowego przemysłu i kupiectwa, ale jakże anemiczny ich żywot; ile słów, a jak mało czynów! Procent obywateli, zajmujących się szczerze kółkami rolniczemi tak nieznaczny, że wstyd o tem wspominać. Niektórzy się boją, aby kółka nie stały się z czasem ogniskami socyalnej agitacyi, ale nie mają chęci i patryotyzmu, aby dobrymi czynami do dobrego pociągać. Innym po prostu nie chce się od zwykłych zajęć oderwać; przeważna większość ospałość i gnuśność w sprawie tak ważnej zastępuje małym datkiem pieniężnym, oto największe słowo nowoczesnej dobroczynności i dbałości o przyszłość kraju. Niepodobna głośno przeciw temu powstawać, bo i tak skrajne obozy zbyt niesprawiedliwie oceniają obywatelstwo kraju i zbyt zawzięcie przeciw niemu walczą. Ale, jako kapłan, wyznaję, że nie może być miłą Bogu jałmużna, która ma zastąpić uczynki. Chrystus przyjął datek celnika, ale odtrącił ofiarę i modlitwę faryzeusza.

— Mimoto kółka rolnicze dodatnio się rozwijają.

— Praktycznego kierunku samychże obywateli nie zastąpi jednak nigdy doktrynerskie gospodarstwo samych dyletantów. Kto prawie nie był na wsi, przy najlepszych chęciach więcej może zdziałać złego, niż dobrego. Jeżeli w tej lub owej okolicy rozwija się

pomyślnie sklepik wiejski, to dzięki zmysłowi gospodarczemu włościan naszych. Panowie miejscy zamiast ten zmysł rozwijać i rozbudzać, chcą go zastąpić swoim rozumem, któremu bardzo daleko do zdrowego rozumu chłopskiego. Nie znają przytem wcale włościan, mają odwieczne pojęcia, że chłop chce mieć wszystko za darmo, a kupuje to, co tańsze. Tymczasem chłop jest najrzetelniejszym płatnikiem i zapłaci dobrze za rzecz dobrą. Zarząd kółek sprowadza mączkę kościaną dla kółek ze Szląska, bo tańsza, a chłop sam wybrałby z pewnością mączkę z Ujazdówki, gdyż woli zapłacić parę centów więcej, a mieć plon lepszy. Myślą także, że uszczęśliwią chłopów bezpłatnemi gazetami i książkami, a chłop to wszystko składa na pułki, bo najchętniej czyta to, co kupi za własne pieniądze. Ta nieznajomość życia wiejskiego i charakteru naszego ludu prowadzi też do tego, że kółka rolnicze i sklepiki wiejskie prawie nic zgoła nie przyczyniają się do rozwoju przemysłu i handlu rodzimego.

— Bardzo ujemnie ocenia ksiądz udział inteligencyi miejskiej w pracy około podniesienia ludu wiejskiego.

— Bo żyję przecież z tym ludem lat tyle i znam jego potrzeby; kończąc zaś o tym przedmiocie tyle powiem: niech ci mędrkowie miejscy myślą przedewszystkiem o swojej nędzy moralnej, a potem dopiero troszczą się o źdźbło, co tkwi w oczach naszego chłopa, niech ustaną raz agitacye wszelkie między ludem wiejskim w sprawie jakiegoś dziwnego postępu, który się wcale nie liczy z warunkami życia wiejskiego; niech pewna kategorya całych i niecałych prawników przestanie okłamywać i wysysać naszego chłopa, a szkoły dla nauczycieli ludowych niech zakła-

dają przy folwarkach wiejskich, aby pan nauczyciel poznał się także na gospodarstwie i pojmował dolę chłopa. Tego przedewszystkiem pragnę jako kapłan.

— Pozostaje jednak Towarzystwo gospodarskie — ozwał się lekarz — którego działalności można tylko przyklasnąć.

— Zdaje ci się, mój kochany — odparł ksiądz — bo piszą o niem wiele w gazetach, a na czele stoją ludzie szerszemu ogółowi wcale sympatyczni. Ale i w tem towarzystwie za dużo pisaniny i frazesów, a za mało pracy i zrozumienia rzeczy. I w nich pracują wynajęci urzędnicy, co się po większej części nie znają na roli i na stosunkach wiejskich. Przyjedź na nasze powiatowe zebranie, a zobaczysz ile prawdy w tem, co gazety piszą. Niechby zresztą pisały jak najkorzystniej, byleby nie zakrywały prawdy dymem nieznośnych kadzideł i hymnów pochwalnych dla zasług bez treści i czynów niespełnionych.

Lekarz zamyślił się głęboko. Ksiądz dodał po chwili.

— A powiem ci jeszcze, jak potężnego wpływu dowiodło Towarzystwo gospodarskie w sprawie kościarni Warzyckiego. Przeszło stu członków zwróciło list polecający nieprzeczytany, kilkunastu odpowiedziało, że już są związani innemi umowami; reszta nie dała żadnej odpowiedzi, a zamówił wyrób pana Stanisława jeden tylko członek, Antoni Grodziski. Takie są rezultaty obywatelskiego poparcia przy obecnej organizacyi, a właściwie w braku jakiejkolwiek organizacyi.

. . . .

Pogrzeb pana Alojzego odbył się przy ogromnym zjeździe obywatelstwa z całego powiatu, a wzięli w nim udział najwybitniejsi dostojnicy kraju, między

innymi książę Dłuski i książę Jarosław Gierymski. Książę Alfred w grubej żałobie prowadził za trumną Marynię. Wszyscy zwracali uwagę na tę młodą parę narzeczonych, tak niespodzianym ciosem dotkniętą.

Po pogrzebie książę Jarosław w powrocie do Lwowa, siedząc w tymsamym przedziale wagonowym z Alfredem, oświadczył mu, że czas ostatni, aby się wziął do publicznego życia. Alfred zdziwionemi spojrzał oczyma.

— Zbliżają się wybory do sejmu — mówił książę Jarosław — a w twoim okręgu chyba jeden Grodziski wystąpi jako jedyny kandydat z większych posiadłości. Pokonamy go bez trudu przy moich stosunkach; mówiłem właśnie z księciem Dłuskim i jest korzystnie dla ciebie usposobiony. Jakże myślisz?

Alfred nie zarzekał się przed zaszczytem, który go zdaniem jego do niczego nie obowiązywał, a wyrzekał tylko na brak funduszów reprezentacyjnych.

— Białogóry — odparł książę Jarosław — oczyścimy przy pomocy posagu twej przyszłej żony, a z mej strony przyrzekam kilka tysięcy rocznego apanażu.

Alfred tak był rozczulony, że poraz pierwszy w życiu pocałował stryja w rękę.

— Twój wybór — ozwał się znów książę Jarosław — nie ulega wątpliwości. Będzie on rezultatem obywatelskiego poparcia dla dobrej tradycyi naszej rodziny. Bogu dzięki, obywatelstwo w tak ważnych sprawach ma jeszcze poczucie solidarności.

. . . .

We dwa miesiące później książę Alfred Gierymski wybrany został jednomyślnie posłem na Sejm krajowy.

XI.

Drobni kapitaliści i kredyt bankowy.

Pieniądze, jakie uzyskał Szloma ze sprzedaży zboża nie mogły hr. Bombalskiemu na długi czas wystarczyć. Kilkotygodniowy pobyt hrabiny we Lwowie i nadzwyczajny zapał, z jakim popierała matrymonialne projekta księżnej Heleny Gierymskiej, a więc liczne przyjęcia i obiady, nowe konie do ekwipażu, nowa liberya dla służby, poświęcenie się wreszcie samego hrabiego dla tak dobrej sprawy, zasadzające się na uczestnictwie w kilku poważniejszych partyjkach, pochłonęły tak wiele, że na zaległe raty hypoteczne w Banku obywatelskim nic a nic nie zostało. Z początku nie myślał o tem hrabia, a tem mniej brała to w rachubę hrabina, która zajęta projektowaną tombolą na rzecz bazaru krajowego, zamierzała do wiosny pozostać we Lwowie. Nagła śmierć pana Alojzego oderwała ich myśli jeszcze bardziej od wszelkich interesów, a po pogrzebie należało ufetować księcia Jarosława i pocieszyć stroskaną wdowę i nieszczęśliwą Marynię. Bank obywatelski nie dawał znaku życia, a więc nie troszczyli się Bombalscy o zaległe raty.

Naraz jak piorun z jasnego nieba zjawił się pewnego dnia nagle i niespodziewanie w bramie pałacowej woźny sądowy i miał tę czelność, że nie zważając na protesta służby, wszedł po marmurowych schodach do prywatnego gabinetu hrabiego. Ograniczył wprawdzie swą wizytę na doręczeniu jakiegoś papieru sądowego, ale ten papier nie musiał sprawić wielkiej przyjemności ani hrabiemu, ani hrabinie, bo dnia tego hrabia był w najgorszym humorze a hrabina dostała migreny. Mimoto byli oboje dnia tego na obiedzie u księstwa Dłuskich, a wieczorem w teatrze na operze. Hrabina ożywiła się nawet do tego stopnia, że zapomniawszy o migrenie, po powrocie z teatru z wesołą niemal miną ozwała się do męża:

— Ostatecznie, nie mamy się czego smucić, przecież nasz majątek wart milion.

— Trochę mniej — odparł zasępiony małżonek.

— Zawsze jednak wart więcej jak te raty zaległe.

— Zapewne, ale 12.000 złr. z rękawa nie wytrzęsę.

— Dlatego też chciałam cię wybawić z kłopotu.

— Co, może żoneczka ukryła jakie pieniądze na czarną godzinę.

— Ciekawam skądbym je wzięła, ale jest inny na to sposób.

— Zaciekawiasz mnie!

— Damy we wtorek obiad i zaprosimy dyrektora Landerera. Będzie to z naszej strony ustępstwo dla niego ogromne i będzie musiał należycie to ocenić.

— A wiesz co? — odparł małżonek — kto wie? pomysł niezły!

— A widzisz!

Koncesya ta jednak nie przydała się na nic, albowiem dyrektor Landerer przyjął wprawdzie zapro-

szenie i wysłuchał z zadowoleniem wszystkich komplementów pani domu, atoli nazajutrz oświadczył bardzo chłodno hrabiemu, że musi się trzymać statutu i żadnych ulg dopuścić nie może.

Hrabia nie miał odwagi zakomunikować żonie tak smutnej wiadomości z Banku obywatelskiego, pojechał tedy wprost do Banku książęcego. Morecki, zrozumiawszy rzecz całą, szczere objawił współczucie i przyrzekł nawet wekslowy kredyt, ale oprócz podpisu hrabiego i hrabiny, wymagał jeszcze trzeciego, mającego pełne pokrycie.

Hrabia wymienił mu na to kilku przyjaciół z resursy, ale Morecki dał mu najgrzeczniej do poznania, że należy się postarać o daleko lepsze podpisy, i jakby od niechcenia wspomniał o Grodziskim i Stanisławie Warzyckim.

Z takim rezultatem stanął wreszcie hrabia przed żoną.

Był pewny, że nastąpi płacz i lament, ale hrabina nie odłożyła nawet kapelusza, który właśnie wkładała na głowę i najspokojniej w świecie odpowiedziała:

Racya najzupełniejsza, Warzycki i Grodziski tyle nam zawdzięczają, że jest ich obowiązkiem przyjść nam w pomoc.

— Zwłaszcza chwilowo — wtrącił mąż.

— Naturalnie, ale niechże już podpiszą na dwadzieścia tysięcy złotych reńskich, aby coś na domowe potrzeby zostało.

W kilka dni po tej rozmowie hr. Bombalski wybrał się na wieś i oddał wizytę Grodziskiemu. Odwdzięczając życzliwość okazaną przy sposobności otwarcia wapiennika, podpisał mu tenże bez wahania weksel na 10.000 złr. Nieco trudniejsza była sprawa ze Stanisławem. Trzymając się zasady ojca, że jak

pomagać, to gotówką, nie chciał on z początku nawet słyszeć o wekslu, gdy jednak Bombalski zaklął się, że terminu dotrzyma, że idzie tu więcej o honor niż o pieniądze, Stanisław nie mając pod ręką tak znacznej gotówki, podpisał z ciężkiem sercem weksel na 10.000 złr.

Powróciwszy do domu, hrabia nie omieszkał pochwalić się przed Szlomą, że raty będą zapłacone, a Szloma użył całej swej wymowy, aby przekonać hrabiego, że nie wypada, aby taka jaśnie wielmożna osoba kompromitowała się zaciąganiem pożyczki w Banku książęcym, gdyż narazby wszystkie „szlachcice i całe miasto sze dowiadywali“.

Hrabia zły trochę na Moreckiego, że zażądał trzeciego podpisu, rad był obejść się bez jego łaski, oddał więc oba weksle Szlomie, aby wziął pieniądze z Banku centralnego.

Szloma, odbierając weksle oświadczył, że może i tego nie będzie potrzeba, bo on ma właśnie takiego żydka, co na siedm procent da zaraz pieniądze i jeszcze bedzie „robicz sobie wielkiego honor, co może nawiązywać stosunki z jasny pan“.

Hrabia spieszył się do Lwowa — odparł więc bez wahania:

— Bardzo dobrze, byle dziś.

— Niechże jaśnie hrabia będzie zaczekać; mnie ino co nie widacz.

— A może ci dać konie?

— Naco wielmożne konie fatygować, ja sobie najmować będę chłopskie szkapy, to mi taksamo bedo biegać.

Hrabia był rad, że się dworskie konie zaszanują, rzucił mu więc reńskiego na okazyą, a sam udał się do swego gabinetu na drzemkę dla skrócenia czasu.

Szloma reńskiego schował i koni chłopskich nie najmował, bo na końcu wsi czekały go konie Pomeranza. W godzinę zajechał przed jego wapiennik. Pomeranz zobaczywszy weksle, nie posiadał się z radości. Szloma na pochwałach nie poprzestał, ale domagał się jeden procent z góry, naco Pomeranz tym razem bez wahania przystał i wypłacił Szlomie natychmiast 19.650 złr. dla hrabiego a 50 złr. dla niego jako jeden procent za trzy miesiące, bo tak weksle były wystawione. Sam zadowolnił się więc sześcioma procentami. Szloma umiał się przytem zręcznie przymówić o obiad i zjadł smaczną rybę ze swym pryncypałem, który nawet zdobył się na postawienie butelki wina.

Podjadłszy sobie dobrze, Szloma powrócił do Bombalskiego i oddał mu 19.550 złr., bo jak mówił: „inaksze sze nie dało“. Hrabia nietylko że się o brakującą setkę nie gniewał, ale jeszcze tytułem faktornego dał Szlomie 50 złr. Tak więc zyskał Szloma na tej transakcyi obiad wcale dobry, 1 złr. za furmankę, 50 złr. od Pomeranza, 50 złr. od hrabiego i 100 złr., które ukradł; razem więc zarobił za nic 201 złr. i sperandę, że za trzy miesiące przy prolongacie zarobi drugie tyle, jeżeli nie więcej.

Hrabia bezzwłocznie odjechał do Lwowa, a tymżesamym pociągiem podążał tam również Pomeranz. Nie spotkali się jednak ani w drodze, ani na dworcu kolejowym. Pomeranz starannie tego unikał.

Dnia następnego hrabia zaspał do dwunastej, a nim się zebrał, była już pora śniadaniowa; zapłacenie rat przeto odłożył do dnia następnego. Nie przypuszczał nawet, jak ciężko przyjdzie mu odpokutować to lenistwo i jak zgubnie wpłynie całe jego postąpienie z wekslami nietylko na jego interesa, ale i na sytuacyę finansową Grodziskiego.

Pomeranz o dziewiątej z rana był już w biórze Banku centralnego i zgłosił do eskontu oba weksle. Turski, który go najserdeczniej przyjął, zapytał jedynie, czyli i on weksle podpisze, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, odezwał się z całem poczuciem potężnego swego stanowiska.

— Gdybyś pan podpisał, kazałbym zaraz wypłacić pieniądze, a tak dam wprzód cenzorom do zbadania.

— Jak ja dla siebie nie potrzebuje, to ja nie chce podpisować.

— Bardzo słusznie, kto podpisuje, musi być przygotowanym na zapłatę.

— Kiedy mam przychodzić po odpowiedź?

— Koło dwunastej.

— Pomeranz oddalił się. Turski odszedł do telefonu i zapytał najpierw Bank książęcy o stan zobowiązań Bombalskich. Pod nieobecność Moreckiego odpowiedział Myrtenbaum, że dłużni są około 7000 złr. i starają się o nową pożyczkę na 12.000 złr. Po chwili z Banku obywatelskiego odtelegrafował dyrektor Landerer: Bombalscy niewypłacalni, podaliśmy o sekwestracyę.

Turski złożyl o tem wszystkiem relacyę na sesyi cenzorów, oświadczając przytem, że podpisy Grodziskiego i Warzyckiego wobec ciężarów, jakie na nich nowe fabryki wkładają, nie przedstawiają również terminowej pewności. Obecny drugi dyrektor Rotnowski bronił Grodziskiego i Warzyckiego, którzy według jego zdania reprezentowali znaczny majątek i wzorową punktualność. Cenzorowie przysłuchiwali się w milczeniu. Byli to panowie: Rachmiles, aptekarz, żyd; Karczewski, właściciel fabryki rosolisów i Brynowicz, księgarz.

Ten ostatni łasił się od dawna Turskiemu, poparł więc jego zdanie, mówiąc:

— Ze szlachtą trzeba bardzo ostrożnie postępować!

Rotnowski protestował, utrzymując, że należy odróżnić letkiewiczów od ludzi seryo, uczciwych i pracowitych.

Rachmiles i Karczewski milczeli.

Turski zwrócił się do nich z zapytaniem, Karczewski odparł:

— Ja nie znam ani Warzyckiego, ani Grodziskiego.

— A ja jestem zatem — rzekł Rachmiles — aby głosować, bo szkoda czasu.

Podano gałki (odmawiające pożyczki) i białe gałki (przyznające kredyt).

W milczeniu wrzucono gałki do urny kamiennej. Po chwili Turski ogłosił wynik: wszystkie trzy gałki czarne; pożyczka odmówiona.

Dwie jeszcze inne szlacheckie pożyczki również odrzucono; jeden mieszczanin katolik i szesnastu żydów otrzymało znaczniejszy kredyt.

Cenzorowie po dopełnieniu obywatelskiego obowiązku odchodzili, Turski został samnasam z Rotnowskim, który rzekł doń:

— Instytucya nasza faktycznie dopomaga Bankowi obywatelskiemu i uzupełnia jego akcyę, przychylną przeważnie żydom. Nie wiem do czego to doprowadzi, ale Sejm, powołując do życia Bank centralny, miał chyba inną myśl na celu, odmienne dążenie.

— Kolega powtarza zawsze jedno i tosamo — odparł Turski — a przecież obowiązkiem naszym oddawać pieniądze w ręce pewne.

— Warzycki i Grodziski są o wiele pewniejsi

niż ci wszyscy kupcy żydowscy, którym przyrzekliśmy dziś kredyt.

— Nie my, ale cenzorowie.

— W każdym razie po wysłuchaniu pańskiego zdania.

— Przykro mi, że codziennie różnimy się w zapatrywaniach.

— Bo ja chcę wiedzieć, do jakiego celu zmierzamy i jakiej sprawie daję moje nazwisko.

— Dążeniem mojem jest rozszerzyć klientelę banku, nie ponosząc żadnego ryzyka.

— A ja uważam w tem nowe dla kraju niebezpieczeństwo — rzekł, powstając z krzesła Rotnowski — gdyż przekonuję się, że w ten sposób ułatwiany żydom kredyt, a nie przyczyniamy się do rozwoju przemysłu, ani do poparcia interesów włościaństwa polskiego.

— Cóż więc pan zamyśla uczynić?

— Nie sądząc, aby dały się usunąć różnice w naszych zapatrywaniach na podstawie jasnego i konsekwentnego programu, rozważę, czy nie będzie lepiej, jeżeli kto inny zajmie moje miejsce.

— Proszę wierzyć — odezwał się Turski — że żałować będę straty tak godnego i szanownego kolegi.

Rotnowski nic już nie odpowiedział i w ponurem zamyśleniu odszedł do swego gabinetu.

Pomeranz odebrał w południe weksle, nie uczyniwszy z powodu odrzucenia ich żadnej zgoła uwagi, ale gdy je na schodach do kieszeni schował, mówił sam do siebie:

— Ten Turski, to on nie wart buty czyścić od pana dyrektor Landerer. Takie podpisy, co są jak złoto, to u niego nic nie warte, a gałgany, to un zbiera. Nu, katołyki, to uni sobie zawsze wybierają takiego, coby ich dusził, a potem potrzebują wycze-

kiwać na żydy, co ino zarabiają na tych poduszonych. Co to wyczekiwać! Jak uni sami kogo duszą, to my takich doduszamy, coby się nie męczył bardzo długo.

W bramie oczekiwał go Taubeles. Pomeranz wręczył mu oba weksle z poleceniem, aby na wałach hetmańskich wszystkim faktorom proponował po kolei eskont tych weksli najmniej za 24 procent, ale z żadnym nie skończył i za pół godziny odszukał go w głównej filii austro-węgierskiego banku. Taubeles odchodząc rzekł:

— Warzycki i Grodziski będą zgubieni; faktorzy roztrąbią po całem mieście, że obaj są w długach po uszy.

Pomeranz uśmiechnął się.

— Nu, co to szkodzi — odparł — jak oni będą nieżyć przez długi, to nie będą potrzebować płacić!

Taubeles spisał się wybornie. — Tak natrętnie narzucał faktorom weksle, tak zręcznie dawał przytem żydom do zrozumienia, że ma ich więcej, iż najodważniejsi ofiarowywali za nie zaledwie 60 procent. Taubeles w powrocie przez wały szeptał do ucha tym, którym najpierw pożyczkę proponował, że istotnie weksle sprzedał po 60 procent. Gdy w kwadrans potem złożył z tego relacyę Pomeranzowi, tenże wchodząc w podwoje Banku austro-węgierskiego, rzekł do Taubelesa:

— Nu, teraz to już ani Warzycki, ani Grodziski nie będą mogli omijać Pomeranza. Ja im będę pokazować, co oni bezemnie nie będą nic dostawać, nischt a mul a hundert ranesch, a sojne grojse Prinzen!

W Banku austro-węgierskim dał Pomeranz swoje giro na obu wekslach i zaskontował je na cztery procent, to jest, że na czysto dwa procent, czyli 100 złr. za kwartał za nic zarobił, bo był najmocniej prze-

świadczonym, że obu stać na zapłacenie kwot daleko znaczniejszych bez uszczerbku w majątku.

Kilka tygodni od tego czasu upłynęło. Bombalski zapłaciwszy raty, o wekslach zapomniał; Warzycki i Grodziski nie mieli najmniejszego przeczucia, że podpisy miał w swych rękach Pomeranz i jakiego im figla wypłatał. Warzycki zresztą, pieniędzy nie potrzebował, bo na pokrycie posagu siostry, który chciał mieć w pogotowiu, zaciągnął pożyczkę hypoteczną w kwocie 220.000 złr. i oddał się wyłącznie gospodarstwu i fabryce.

Natomiast Grodziski zaatakowany przez Golickiego i Popijalskiego w „Pukawce" uczuł boleśnie następstwa walki konkurencyjnej. Zakładając fabrykę, zaciągnął był dług hypoteczny, który był o tyle znaczniejszym, że po zmarłym stryju musiał w gotówce wypłacić rozliczne legata dla biedniejszych krewnych. Cały więc kapitał obrotowy składał się z dochodów majątku umniejszonych przez raty bankowe i szczupłych dochodów domu we Lwowie. Rozgłoszona przez dzienniki za sprawą Pomeranza wiadomość, że w Grodziskach są pokłady wapienne nie do użycia, pociągnęła za sobą ten skutek, że nietylko nowych zamówień nie otrzymał, ale stracił bardzo wiele poprzednio otrzymanych. Wytoczył wprawdzie proces prasowy „Pukawce" i „Gazecie demokratycznej", ale jego zastępca prawny wprost mu oświadczył, że wobec orzeczenia znawców, którzy zbadali dostarczone przez niego Golickiemu i Popijalskiemu wapno, proces będzie musiał w zupełności przegrać. Tymczasem wypłaty tygodniowe pochłaniały masę pieniędzy, a gdy ich wreszcie brakło w jego kasie podręcznej, zmuszonym był starać się o kredyt. Do uregulowania stosunków i przetrzymania walki konkurencyjnej potrzebował

co najmniej 25.000 złr., a nadto wiadomości, jakie w międzyczasie otrzymał o faktycznym stanie majątkowym Bombalskich nakazywały przygotować zawczasu 10.000 złr. na wykupienie wekslu podpisanego Bombalskim.

W tym celu przybył więc do Lwowa, aby wyrobić sobie odpowiedni kredyt; przytem liczył na to, że mimo wszystkich tych stosunków, miał oprócz wapiennika najmniej 150.000 złr. czystego majątku.

Adwokat, do którego się z tą sprawą zwrócił, jak najlepsze robił mu nadzieje, a sądząc, że pożyczkę bez trudu zdoła wyrobić, zastrzegł sobie jeden procent honoraryum, na co Antoś bez wahania przystał.

Atoli już po upływie dni kilku tenżesam adwokat z bardzo chmurnem powitał go obliczem i zażądał podwyższenia honoraryum, gdyż, jak mówił, zaciągnięcie pożyczki natrafiało we wszystkich bankach na ogromne trudności.

— Pożyczka hypoteczna — dodał — jest wprawdzie pewną, ale wymagałaby ponownego oszacowania majątku przez delegatów towarzystwa i wielu innych formalności, któreby zajęły kilka miesięcy tak, że wobec tego stanu rzeczy można na razie myśleć jedynie o pożyczce wekslowej. Tymczasem...

Tu adwokat zaniechał się nieco, jakby wyznanie prawdy przykrem mu było. Grodziski nalegał.

— Tymczasem — kończył zwolna, jakby ociągając się adwokat — kredyt pański jest zachwiany przez lichwiarskie długi, jakie pozaciągałeś.

Antoś podskoczył na krześle.

— Gdzie, kiedy? pytał.

— Tego już wyjaśnić nie mogę; pan powinieneś najlepiej wiedzieć.

— Zapewniam pana, że zaledwie raz podpisałem weksel dla Bombalskich.

— Otóż to prawdopodobnie tak panu zaszkodziło.

— Weksel opiewał zaledwie 10.000 złr.

— Jeśli go jednak hrabia puścił między żydów.

— Tego nie uczynił, nie przypuszczam.

— Faktem jest jednak, że opinia o panu we wszystkich bankach jak najgorsza, a między żydami zdanie jednomyślne, że pańskie weksle warte zaledwie pięćdziesiąt procent.

Antoś chwycił się za głowę.

— Co pan mówisz? panie mecenasie!

— Szczerą tylko prawdę, bo nikogo, a szczególniej pana nie mam zamiaru w błąd wprowadzać. Przyczyny złego mogą być na pozór drobne, ale w świecie finansowym opinia jest podstawą każdej transakcyi.

— Jakiż więc punkt wyjścia?

— Trzeba skupić dwa, lub trzy podpisy. Możeby pan się udał do Warzyckiego?

— Za nic w świecie!

— Wszakże to pański przyjaciel.

— Stosunek mój do jego rodziny nie pozwala nawet myśleć o tem.

— W takim razie proponuję panu wspólną pożyczkę z Dzirytem, którego interesa również zastępuję. Jego kredyt dopomoże panu, a pański kredyt dopomoże jemu. Ręka rękę myje.

— Na to zgodziłbym się najchętniej.

— Musi pan jednak poprzestać na 15.000 złr., bo drugie tyle potrzebuje Dziryt.

— Nie wystarczy mi ta suma.

— Zaciągniemy pożyczkę hypoteczną, tymczasem trzeba łatać biedę jak można.

Układy z Dzirytem nie trwały długo. Obaj fabrykanci zgodzili się na zaciągnięcie wspólnej pożyczki w Banku centralnym, licząc na życzliwość Turskiego, gdyż na Bank obywatelski wcale liczyć nie mogli, a Morecki dał już Dzirytowi przedtem odpowiedź, że książę Dłuski w nowe interesa nie wchodzi.

Turski po przedstawieniu mu sprawy narówno Grodziskiemu jak Dzirytowi najwspaniałomyślniej poparcie swe przyrzekł, ubolewał tylko, że Grodziski pozwolił na skompromitowanie swego podpisu przez Bombalskiego. Na nieszczęście obu fabrykantów do sesyi cenzorów przybyli znów Rachmiles i Brynowicz, a jako trzeci cenzor żyd Tuches, właściciel handlu towarów żelaznych. Ten ostatni sam jeden obstawał za udzieleniem pożyczki.

— Ja żyd — mówił dobrą polszczyzną — ale ja muszę mówić sprawiedliwie, bo ja krytemi drogami chodzić nie zwykłem. Grodziski ma znaczny majątek, a Dziryt porządny przemysłowiec.

Rachmiles zarzucał, że Grodziski podpisuje weksle z grzeczności, że płacić nie będzie, że tak znacznej sumy płacić nie jest w stanie.

Tuches utrzymywał znów, że to wszystko wymyśleć musieli wrogowie Grodziskiego, bo znał dobrze jego stryja i wie, że pozostawił znaczny majątek.

— Znaczniejsze fortuny poszły na marne! — zakonkludował Brynowicz — a przy głosowaniu dwie gałki czarne udaremniły pożyczkę, za którą acz z wielkiemi zastrzeżeniami przemawiał sam Turski.

Tłómaczył się on też długo i szeroko przed Grodziskim i przed Dzirytem i dla zmniejszenia ich żalu przyrzekł Dzirytowi solennie pożyczkę z krajowego funduszu przemysłowego; pożyczkę, jak mówił, daleko lepszą, bo tylko trzyprocentową. Dodał wreszcie, że

niebawem sam pospieszy zwiedzić fabrykę Dziryta, aby sprawę najprędzej załatwić.

Grodziski niemało strapiony, zwłaszcza, że go do domu powoływały obowiązki, poszedł znów na naradę do adwokata.

— Ktoś panu szkodzi najwidoczniej — rzekł tenże.

— Chyba Turski.

— O to go nie podejrzywam; błądzi nieraz przez nieznajomość stosunków, zbyt wielką wagę przywiązując do finansowej żydów biegłości, wreszcie niedowierzając obywatelstwu ze stanowiska interesu bankowego domaga się zbyt uciążliwych gwarancyj, ale ma chęci dobre i rozmyślnieby nie szkodził.

— Więc któż taki — chyba Pomeranz?

— Zdaje mi się, że odgadłeś pan tym razem i że powinieneś na przyszłość ze zdwojoną ostrożnością na każdy jego krok uważać.

— Przyznam się jednak mecenasowi, że na razie jestem w fatalnem położeniu.

— Będziemy się starali temu zaradzić. Banki zawiodły, trzeba się zwrócić do osób prywatnych.

— Nikogo nie znam.

— To wcale nie przeszkadza. Są drobni kapitaliści, co z takich pożyczek żyją. Mogę panu kilku wskazać, atoli musisz do nich pójść sam i nie możesz się na mnie powoływać. Każdy z nich tai przed światem, że ma pieniądze, a tai tem troskliwiej, że pobiera nieco większy procent. Panu jednak potrzeba pieniędzy, więc rad nie rad musisz ponieść tę ofiarę.

Grodziski zapisał sobie tedy nazwiska trzech kapitalistów: adwokata Bambergera, panów Marudę i Lutanieckiego i wybrał się w ciężką do nich pielgrzymkę.

Adwokat Bamberger był bardzo bogatym człowiekiem, a kancelaryę adwokacką prowadził nie dla

klienteli, której prawie nie miał, ale dla łatwiejszego załatwienia się z własnymi dłużnikami, jakich miał całe szeregi. Żył oszczędnie, niemal skąpo, a całym zbytkiem, jaki sobie pozwalał, były cygara, które wypalał regularnie przez dwie godziny codziennie przy czarnej kawie w kawiarni wiedeńskiej między 2—4 po południu. O godzinie 2., kiedy jeszcze mniej było gości, zagłębiał się w część edyktalną „Gazety Lwowskiej“ i „Wiener Zeitung“ i wynotowywał pilnie wszystki licytacye i nieobjęte spadki. Kiedy nieraz znajomi wyśmiewali tę jego dziwną manię, Bamberger odpowiadał:

— Te wiadomości są ważniejsze, jak artykuły wstępne, kronika i telegramy. Także trzymał się niewzruszenie dawnego nawyknienia, a podania, jakie do sądu robił, mogły przekonać niejednego (chociaż na jego szczęście nikt się o to nie troszczył), że z tego czytania edyktów czerpał znaczne źródło swych dochodów.

Resztę czasu poświęcał Bamberger na zbieraniu ustnych informacyj od stałych kawiarnianych gości, a temi informacyami posługiwał się potem niejednokrotnie w toku spraw podjętych i przy zawieraniu nowych interesów.

Ludzie mogą przesadzać i wiele kłamstw rozmyślnie rozgłaszać, mawiał często, ale ostatecznie w każdej nieprawdzie jest choćby mała cząstka prawdy.

Informacye te sprawdzał niejednokrotnie przez zaufanego doktora, który służył mu już z górą lat dwadzieścia i na którego słowie polegał.

Z takim człowiekiem sprawa nie była tak łatwa. Bamberger wysłuchał wprawdzie cierpliwie Grodziskiego, poczęstował go nawet cygarem, ale zarazem zapewnił, że pieniędzy nie ma i dopiero rozglądnie się,

skądby sam wydostał na ten cel fundusze. Stanowczą odpowiedź przyrzekł dopiero na dzień następny, a tymczasem sądował opinią, która okazała się bardzo korzystną dla Grodziskiego.

Przedewszystkiem tabula krajowa, ten najwiarogodniejszy informator, przekonała Bambergera, że Grodziski miał majątek znaczny i tylko długiem towarzystwa obciążony, a z poważniejszych osobistości nawet Turski i Haczykiewicz życzliwe wydali opinie. Bamberger już obliczał, wiele straci na sprzedaży listów zastawnych i jakby to odbić przy obliczeniu procentów, gdy stary jego faktor projekt tej pożyczki w zupełności rozbił.

Refleksya faktora była krótka.

— Na wałach gadają, że ten Grodziski ist bis auf Kopf verschuldet, ale to nie jest prawda, bo jego weksli nikt nie pokazował.

— Więc można z nim wejść w interes?

— Ja nie radzę.

— A to dla czego?

— Grodziski wojuje z Pomeranz, na co panu wchodzić w kłopot z takim gwałtownikiem jak Pomeranz. Jak w czem on jest, to już nie można gadać.

Bamberger dał faktorowi dwie szustki za tak sumienną relacyę, a sam następnie przeprosił Antosia, że nie dostał pieniędzy, więc na razie interesu załatwić nie może.

Poszedł tedy Grodziski do Marudy. Byłto stary kawaler, który całe życie karmiąc się byle czem i mieszkając w dwóch małych pokoikach na przedmieściu, uciułał ze znacznej pensyi spory kapitalik.

Maruda nie wychodził prawie z domu, gazet nie czytywał, faktora nie miał, a przy zawieraniu interesów kierował się jedynie długoletnią praktyką.

Wizyta Grodziskiego przejęła go zdumieniem, bo wyciągnął stąd wniosek, że w mieście uważają go za kapitalistę, co mu zaraz nasunęło myśl, iż może być teraz narażony na okradzenie i na inne niebezpieczne wypadki. Zmierzywszy przeto Grodziskiego podejrzliwym wzrokiem, poszedł czemprędzej do drugiego pokoiku i wydobywszy z siennika gruby plik papierów wartościowych, przepatrzył swoje skarby, czy są nienaruszone, a uspokoiwszy się co do tego i przekonawszy się nadto za powrotem do pierwszej izdebki, że gość jego nic nie ruszył z porozstawiawianych dokoła sprzętów, usiadł naprzeciw Antosia i przez dłuższą chwilę bacznie mu się przypatrywał. Spokojne wejrzenie Antosia przejęło go widocznie większem zaufaniem, bo Maruda przestał drżeć nerwowo i nieco mniej ostrym, jak pierwej, przemówił głosem.

— Więc powiadasz pan, że chciałbyś odemnie pożyczyć?

Na potakującą odpowiedź dodał zaraz: ale ja mam tylko cokolwiek grosików, cokolwieczek. Wiele też pan myśli, że ja mogę mieć?

— Wcale nic nie myślę — odparł Grodziski — bo nic o tem nie wiem.

— Otóż tak, to dobrze — rzekł udobruchany nieco gospodarz — bo pozory, panie drogi, mylą, bardzo mylą. Pan pewnie nie tutejszy.

— Mieszkam na wsi.

— Ma pan wieś?

— Grodziska, objętość 720 morgów.

— Więc jest wieś, jest wioseczka, to ładnie, to bardzo ładnie. I zapewne coś więcej?

— Dom we Lwowie.

— Więc i kamieniczka, śliczne rzeczy. Hypoteka zapewne czysta?

— Mam na hypotece majątku ziemskiego Towarzystwo kredytowe, a na kamienicę Kasę oszczędności.

— Pierwsze numera zajęte, ale wieś jest i kamieniczka jest. A czemże się pan zajmuje?

— Założyłem fabrykę i potrzebuję właśnie kapitału obrotowego.

Maruda brwi zmarszczył.

— Fabrykę? to źle, bardzo źle.

— Dlaczego panie?

— Bo to nie niesie procentów, a zjada dużo; ja to wiem.

— W przyszłości jednak...

— Gruszki na wierzbie, to niepewne, zawsze lepszy liścik zastawny; kłopotu mniej, cokolwieczek znam się na tem.

— Mógłbym więc pana prosić.

— Żeby nie ta fabryka, możebyśmy pogadali, ale ja się boję ryzykować; mam niewiele, cokolwieczek zaledwie.

Mówiąc to, znów trząść się zaczął Maruda jakby w febrze.

— Może kto inny pożyczy — dodał — mnie trudno.

Antoś widział, że nic nie wskóra, podał więc Marudzie rękę na pożegnanie, a ten obydwie ku niemu wyciągnął i prosił niemal ze łzami w oczach:

— Tylko niech pan nikomu nie mówi, że coś mam. Wygadałem się trochę przed panem, że mam cokolwieczek, ale to zaledwie drobnostka, nie warto o tem mówić, słowo daję, nie warto.

— Przed nikim nie wspomnę, racz pan być pewnym.

— To dobrze, to bardzo dobrze — mówił uspokojony Maruda, wyprowadzając gościa — szkoda, że

pan tę fabrykę założył, bo to kłopot ogromny, lepsze liściki zastawne, lepsze. Ja ich nie mam, ale jak pana szanuję, mówię prawdę.

Wreszcie wyszedł Grodziski, a idąc po wąskich schodach, słyszał jak Maruda rygle zakładał i kłódkę na dwa spusty zamykał.

Siódma dochodziła, Antoś chcąc już dnia tego zakończyć pożyczkową kwerendę, wsiadł do dorożki i kazał się zawieść do Lutanieckiego. Był on właścicielem jednego z domów przy ulicy Łyczakowskiej poza kościołem, gdzie już znika duszna atmosfera miejska i z całego trybu życia mieszkańców przebija się małomiasteczkowa swoboda. Właściciele domów przewyższają w tej okolicy Lwowa o całą głowę mizerne społeczeństwo czynszowników, którym w wysokiej łasce swojej pozwalają podziwiać przewietrzane ustawicznie przed domem pierzyny i dywany swoje, jak i kolorowe szlafmyce, usadowione wieczyście na szczycie ich głowy. Czuwają jednak troskliwie nad porządkiem domowym, pilnie badając każdego wchodzącego i wychodzącego z domu, a gromkich słów wymianą ze stróżem, lub też z dobrodzijką jejmością „panią gospodynią" urozmaicają monotonną całego dnia ciszę, o ile dzieła tego nie dokonywają daleko dokładniej furmanki, przewożące od rana cegłę i piwo.

Gdy Antoś przed dom zajechał, Lutaniecki stał w bramie domu w białym cylindrze, z ogromną lagą w dłoni, gotów do wyjścia i kończył właśnie przyjacielską wymianę myśli ze swą żeńską połową.

— Już cię ciągnie do kufla! — wołała jejmość.

— Ty się tam rozumiesz na magistrackich sprawach.

— Zato ty się rozumiesz na wszystkiem, ale murarzy nie umiesz doglądnąć i byliby spartaczyli robotę, gdyby nie ja.

Lutaniecki, który poczytywał siebie za najlepszego gospodarza w całej dzielnicy, obruszył się gniewnie na taki przytyk.

— Wolałabyś patrzeć — zawołał — aby śmietanka nie wybiegła.

— No, no, dam ja tobie śmietankę, ino mi nie wróć przed dziesiątą.

— Uwa! myślisz, że się boję.

— Zaspiewam ja ci mój robaczywy pacierz, zaspiewam.

Antosia, który wysiadał właśnie z dorożki, uderzyły te ostatnie słowa, ale nie miał nawet czasu przejrzeć się tak energicznej magnifice, bo na jego widok cofnęła się w głąb pokoju, zamykając z trzaskiem kwaterkę okna.

Tymczasem Lutaniecki, oparłszy się na lasce, zwrócił na wysiadającego wzrok niemal impertynencki.

— Pan zapewne do mnie! — odezwał się z tą pewnością siebie, która mu nie pozwoliła nawet przypuścić, aby przed jego dom mógł ktoś zajechać dorożką nie do niego.

— Szukam pana Lutanieckiego — odparł Antoś.

— Z kimże mam honor?

Po wzajemnem przedstawieniu się Lutaniecki poszedł przez kuchnię do mieszkania, zapewniając gościa, że w parę sekund otworzy mu drzwi do „salonu".

W pół drogi wrócił się jednak.

— Może pan odprawi dorożkę — zaproponował.

— A jakże się z powrotem do miasta dostanę?

— Per pedes — mości dzieju — to najpraktyczniej, a gotóweczka zda się na wina kwaterkę; wypijemy razem u Rosza, jak dzieci kocham.

Grodziski rad nie rad odprawił dorożkę, a Luta-

niecki poczęstowawszy znów gościa impertynenckiem spojrzeniem, poszedł drzwi otworzyć.

Gość z miasta był dla całego domu Lutanieckich nadzwyczajnem zjawiskiem, zwłaszcza taki gość, którego wprowadzano do „salonu“. Lutaniecki, ekskupiec, żyjący obecnie z czynszu domu i procentu od rozpożyczanych pieniędzy, przyjmował gości jedynie dwa razy do roku: na Wielkanoc i na imieniny żony. Czynił to zaś jedynie przez wzgląd na „dorastającą“ — jak zwykł mawiać — córkę Klocię, która jednak w rzeczywistości przerosła już ojca i była dawno gotowa uciec przed ustawicznem w domu gderaniem obojga rodziców pod opiekuńcze skrzykła przyszłego męża. Ojciec atoli odpędził już z dziesięciu kandydatów do ręki wcale niebrzydkiej jedynaczki, gdyż marzył przedewszystkiem o „kamieniczniku“, w czem popierała go gorliwie małżonka, mająca w ogromnej pogardzie wszelkich gołych „inteligentników“.

Klocia miała w tym przedmiocie zupełnie inne zapatrywania, atoli nie mogła ich nigdy przeprzeć wobec rodzicielskiego absolutyzmu i w cichej rezygnacyi oczekiwała pojawienia się „kamienicznego pana“, a tymczasem cerowała bieliznę i obcierała noski dwom małym braciszkom, w których ojciec szczególniej był rozmiłowany.

Wiadomość, że jakiś pan „bardzo elegancki“ zajechał przed dom dorożką, a następnie po kilku minutach gromki głos ojca: „zdjąć w salonie pokrowce z mebli“, prędzej! w całym domu wywołały ogromną senzacyę.

Męskie latorośle rzuciły się do pokrowców, matka zapomniawszy o swojej z mężem utarczce, ścierała kurz ze stołu, a Klocia zdjąwszy fartuszek, przyczesywała pospiesznie włosy przed lusterkiem. Lutaniecki

schowawszy cylinder do szafy, biegł drzwi otworzyć. Nareszcie wprowadzono gościa, który przybywając w interesie zdziwił się niemało, gdy się ujrzał nagle wobec dwóch pań, z których w otyłej i czerwonej jak ćwik jejmości, miał szczęście poznać gospodynią domu, a w młodszej, smukłej i zgrabnej brunetce jedynaczkę obojga małżonków, pannę Klocię.

Podziwiał wprawdzie okazałą peryferyę pani domu i wcale miłe rumieńce Kloci, ale w głowę zachodził jak tu wobec takiego zebrania mówić o interesie. Gospodarz domu nie zdawał się jednak podzielać tego zapatrywania, bo po uroczystej prezentacyi odezwał się donośnym swym głosem.

— O panu tośmy już w gazecie — mości dzieju — czytali, że wapno masz nieszczególne, ale wioskę podobno piękną, a to ważniejsze jak wapno, słowo daję.

— Swój własny kąt, to panie grunt — wtrąciła pani domu.

— U pana musi być bardzo ładnie na wsi? — przemówiła nieco pomieszana Klocia.

— Coto o to pytać — odezwał się ojciec — wieś, to mości dzieju pozycya, a pan pewnie dobry gospodarz.

— Niedawno odziedziczyłem majątek — odparł wreszcie Antoś — i prowadzę gospodarstwo rolne i przemysłowe.

— Dwa grzyby w barszcz nie radziłabym — zawołała pani domu.

— Pokłady wapna mam obfite — mówił Antoś — mam przekonanie, że wapiennik będzie się dobrze rentować, byle przetrzymać walkę konkurencyjną. Wiadomości podane w dziennikach były fałszywe.

— A więc potwarz — mości dzieju — i cóż pan na to?

— Wytoczyłem proces.

— Doskonale.

— Najważniejsza jednak rzecz — ciągnął dalej Antoś — nie ustawać w pracy i dlatego staram się o fundusz obrotowy, zanim zaciągnę większą pożyczkę hypoteczną.

— A pan kawaler, z przeproszeniem? — zainterpelowała pani domu.

— Do usług.

— A czemuż się pan nie żeni?

Przy tych słowach, wyrzeczonych przez matkę, Klocia oczki ku ziemi spuściła, rumieniąc się po uszy.

— Wprzód gospodarstwo trzeba urządzić — odparł Antoś.

— Właśnie chciałem mówić — odzwał się Lutaniecki — kto nie ma domu, nie może się żenić; święta prawda, mości dzieju.

Antoś był w rozpaczy, cały bieg dyskusyi nużył go niewypowiedzianie. Uznał więc za stosowne powiedzieć:

— Najważniejsza rzecz dla mnie w tej chwili, wypożyczenie odpowiedniego funduszu obrotowego.

— Rozumię — mości dzieju — idzie o pożyczkę; pomówimy o tem sami, a kobiety przygotują nam tymczasem kolacyjkę.

— Mamy dziś studzone nogi i kawałek bruścika z obiadu — zauważyła pani domu — Klocia majster od herbaty.

— To mój wydział — wtrąciła dziewczyna.

— Do gospodarstwa przyzwyczaja się dziewczynina, aby umiała potem honory robić we własnym domu; to moja zasada, mości dzieju.

Obie panie wyszły. Grodziski odetchnął spokojniej,

nie przeczuwając jeszcze, jakie go miłe czeka sam-nasam z szanownym gospodarzem.

Lutaniecki pożyczki udzielał chętnie, pośredników do tego nie używał, ale sprawę lubił sam „zgruntować“ jak najdokładniej.

Musiał więc Grodziski opowiedzieć całe niemal curriculum vitae i przedstawić swój stan majątkowy; musiał wysłuchać długiej i nudnej perory Lutanieckiego na temat niepotrzebnego zabawiania się w przemysł, musiał wreszcie sztuka po sztuce obejrzeć wszystkie listy zastawne, stanowiące posag Kloci, jak go o tem gospodarz uroczyście zapewnił, a wreszcie usłyszeć zapewnienie gospodarza, że nim mu da odpowiedź co do pożyczki, musi wpierw po dawnemu przełamać się z nim chlebem. Wreszcie oddalił się gospodarz, aby przekonać się osobiście, czy kolacya gotowa, a w gruncie rzeczy po to tylko, aby szepnąć Kloci.

— Trzymaj się, dziewczyno, bo mówię ci, że to partya, mości dzieju.

— Hm — odezwała się matka — Klocia mu ani w głowie; po pożyczkę przyszedł i koniec.

— Mądraś sobie — toć nie święci garnki lepią.

— Rób, jak chcesz — odparła jejmość — byleś nie żałował.

— Ma wieś i kamienicę.

— No, to podam jeszcze sera szwajcarskiego do herbaty.

— Postaw-że mości, mości dzieju, karafkę z piwem.

— Lepiej wina — zauważyła Klocia, która była zdania, że dobre przejęcie bez wina obejść się nie może.

Wprowadzono wreszcie gościa uroczyście do drugiej izby, nieco obszerniejszej, która służyła za pokój sypialny i jadalny; Antoś zaś powiedziawszy sobie, że ma do czynienia z ludźmi bardzo oryginalnymi,

zajął bez oporu miejsce obok Kloci. Raczono go z nadzwyczajną serdecznością, a Klocia nie chcąc się źle wydać, wysilała się, aby mu powtórzyć wszystkie wiadomości z wielkiego świata, jakie doleciały do jej uszu.

Lutaniecki zachwycony był roztropnością Kloci, nie wiedząc, że Antoś powstrzymywał się nieraz, aby parsknąć śmiechem.

— Ho, ho — mówił do Grodziskiego — żyjemy zdala od świata, ale wiemy wszystko, co się dzieje na świecie.

Gość ze swej strony starał się rozmowę sprowadzić na normalne tory i zrobił spostrzeżenie, że Klocia odzyskując naturalność, daleko milszą się wydawała. Czuł też, że biedna dziewczyna wobec dziwnych nieco zapatrywań swych rodziców, przez istny ogień przechodzi w tej rozmowie; podwójnie był więc dla niej uprzejmym i wyrozumiałym. Zręcznie też zaznaczył, że sprowadził go jedynie interes, co Klocia bardzo dobrze zrozumiała, ale czego nie chcieli rozumieć państwo Lutanieccy.

Salaterka nóżek studzonych i talerz cielęcego faszerowanego bruściku zniknęły wreszcie w żołądkach gospodarstwa i ich młodszej dziatwy, bardzo ruchliwych bębnów. Grodziski posilił się herbatą i jakąś przekąską, wypito całą butelkę wina i zakończono tem kolacyę.

Lutaniecki wstając od stołu — rzekł do gościa:

— Wyjdziemy teraz na miasto dokończyć o interesie, bo taką rzecz na gorąco trzeba — mości dzieju — robić, a jutro, da Bóg doczekać, zjesz pan z nami obiadek. Klocia, dodał zwracając się do córki, pamiętaj, że pan będzie jutro u nas na obiedzie.

Napróżno wypraszał się Grodziski; musiał przyrzec.

Klocia żegnała go smutnym uśmiechem, jakby mu chciała powiedzieć:

— Wiem, żeśmy nie dla siebie stworzeni.

Pani domu ponawiała zaproszenie na jutrzejszy obiad, a piorunowe spojrzenia ciskała na męża, który miał dobry pretekst wymknąć się z domu.

Lutaniecki natomiast, uwolniony od gderania magnifiki, wyprowadził Antosia w najlepszym humorze, a znalazłszy się na ulicy, rzekł doń:

— Wie pan co? Interes zrobimy, ale musisz mi darować jeszcze małą godzinkę. Zaprowadzę pana między same grube ryby, same matadory, mości dzieju.

Antoś spojrzał ze zdziwieniem na Lutanieckiego.

— Patrzysz pan na mnie, jakbyś nie wierzył — rzekł tenże — a ja, mości dzieju, powiem panu otwarcie, że my tu na Łyczakowie mamy swoją arystokracyę i swoich krezusów.

Antoś uspokojony co do pożyczki, dał za wygranę.

— Co mi szkodzi — myślał — poznać świat, którego nie znałem.

Odpowiadając zaś na wykrzyknik Lutanieckiego — głośno zapytał:

— Cóżto za arystokracya i coza krezusi?

— Małe kółko — odparł Lutaniecki — ale jeden bogatszy jak drugi.

— I cóż robią z pieniądzmi?

— Co robią? ano, trzymają w szparkasie i na hypotekach.

— Czy nie lepiej użyć tych pieniędzy do podniesienia przemysłu?

— Ha, ha! — zaśmiał się Lutaniecki — toż właśnie każdy z nich, wziąwszy poły, uciekł od przemysłu, aby choć na stare lata zażyć spokoju. Przemysł to

mitręga, wierzaj mi, mości dzieju; na pańskiem miejscu, mając wieś, rzuciłbym fabrykę, to nie na dzisiejsze czasy.

— To też dla przyszłości pracuję.

Lutaniecki stanął.

— Mości dzieju, a ja to nie byłem kupcem? Piętnastu ludzi zatrudniałem i z przeproszeniem, wszystko do djabła cisnąłem.

— A toż czemu?

— Żydostwo opanowało wszystko i trzebaby oszukiwać, aby im dorównać.

— Raczej trzeba ich prześcignąć wytrwałością i zapobiegliwością.

— Zębym zjadł — mości dzieju — walcząc z jednym i z drugim, ale cóż, oni idą razem, a u nas każdy sam dla siebie.

— To się złączyć.

— Kamieniczni już się łączą. Poznasz pan właśnie samych członków naszej „Łączności i Zgody“.

— Gdyby tak panowie złączyli się dla popierania i podniesienia przemysłu.

Pierwej niech się przemysłowcy złączą, aby ten, który coś ma, wiedział komu daje. Nie sztuka pieniądz na wiatr rzucać.

— Nie rozumię — odparł Antoś.

— Narzekamy — mości dzieju — bardzo słusznie na żydów, rzekł Lutaniecki, ale chrześcianie poniekąd od nich gorsi. Dawniej firmy chrześciańskie stały lata całe jak mur. Każdy z zaufaniem szedł do takich firm, jak Wenzel lub Markiewicz. Dziś setki ludzi bez grosza biorą się do handlu i przemysłu. Istne skaranie boskie, mości dzieju.

— Ale biorą się także do przemysłu ludzie zasobni i z fachowem wykształceniem.

— Niechże — mości dzieju — tak zrobią, aby każdy z nich miał hypotekę.

Antoś uśmiechnął się na tę uwagę.

— Ja mówię całkiem seryo — ciągnął dalej Lutaniecki — panu naprzykład nie pożyczyłbym wcale, gdybyś nie miał hypoteki, ale że masz pan wieś, popatrzę jutro do tabuli i po obiadku wyłożę ci gotóweczką cały posażek Kloci.

Bojąc się, aby rozmowa nie przeszła na Klocię — zaważył szybko Antoś:

— Nie każdy przemysłowiec ma wieś; Dziryt naprzykład.

— Wiem — mości dzieju — porządny człowiek; ale niechże się wszyscy złączą i niech zaprowadzą jakątaką kontrolę wzajemną, a miliony pójdą na przemysł krajowy.

— Aż miliony?

— Widzę, że pan — mości dzieju — nie wiesz, ile pieniędzy leży u nas w kasach oszczędności i w listach zastawnych, ale kto ma, ten się obawia, aby nie stracił. Ja, mości dzieju, dwa razy traciłem w życiu wszystko, a teraz nie głupim.

— W tem — co pan mówisz — jest niewątpliwie racya...

Lutaniecki z tryumfem spojrzał na Antosia.

— Myslałeś — mości dzieju — że na Łyczakowie kołtuny mieszkają, a my tymczasem nie w ciemię bici. Przeszedłszy nieraz przez rózgi, nie wierzymy inteligentnikom. Hypoteka grunt, słowo daję.

Przesiedziawszy dobrą godzinę w separatce u Kosza, gdzie się zbierali „kamienicznicy“ łyczakowscy, owa „Łączność“, która tyle sobą zajmowała we Lwowie opinię publiczną, zwłaszcza w czasie wyborów, doszedł Antoś do przekonania, że Lutaniecki nie był

oryginałem, ale że takich jak on było i jest w naszem społeczeństwie nieco więcej, i że ci ludzie na pozór nieogładzeni i prości, mają jednak bardzo trafne poglądy, z którymi należałoby się nieco więcej liczyć, niż to czynią zazwyczaj krajowe wielkości, oceniając wszystko i wszystkich najdowolniej bez znajomości ludzi i ich dążeń. I „Łączność“ miała swoje dążenia i Lutaniecki miał je także. Że w tych dążeniach wysuwały się zbyt często kwestye osobiste, nie było niczem nadzwyczajnem ani odstraszającem, skoro grunt patryotyczny i zdrowa w interesie zasada pozwalała wróżyć, że ci przedmieściowi i małomiasteczkowi ludzie, zapomnieni i zaniedbani, nie brani zresztą w rachubę przy rozważaniu dalszych naszych szans w pracy społecznej, stanowićby mogli ogromną siłę, zdolną podeprzeć skutecznie każde wielkie przedsięwzięcie.

Lutaniecki wobec swych przyjaciół szczycił się najwidoczniej znajomością ziemianina, a panowie kamieniczni starali się olśnić gościa wyliczeniem dochodu ze swych domów i wyjaśnianiem mu swych poglądów. Nie obeszło się bez namiętnych wycieczek przeciw wszechwładnym rządom „inteligentników“, ale Grodziski musiał w duchu przyznać, że żałoby te miały z niejednego względu wiele słuszności. Wreszcie faktem jest, że prawdziwą inteligencyę przytłacza u nas pseudo inteligencya, a z pośród niej czelnością niezwykłą wybijają się na wierzch przeważnie ludzie bez głębszej wartości, owe chorobliwe narośle inteligencyi i karyerowicze partyjni. Tymczasem misera plebs, opłacających podatki i ponoszących ciężary, powoływaną jest jedynie do oklaskiwania blagierów i potakiwania samodzierczym trybunom ludu.

Antoś wracał też do domu zupełnie zadowolony z wieczoru, bo przekonał się, że obok małego społe-

czeństwa wiecznie krzyczącego, obok naszych umysłowych bulwarów, jest drugie mało znane a olbrzymie społeczeństwo ludzi na pozór zamkniętych w sobie — na pozór egoistów — ale mających realniejsze zasady życia obok znacznie gorętszego serca zdolnego i do szlachetnych wzruszeń i do wielkich poświęceń. Przekonał się przytem, że ci ludzie nie dowierzając już inteligencyi, chętnie się do niej garną, zwracając jednak baczną uwagę na istotną tej inteligencyi wartość, na materyalną podstawę zewnętrznego blasku; że więc inteligencya prawdziwa, mająca w swej pracy i w swych usiłowaniach realne oparcie, może na te szerokie koła ludności dobroczynnie oddziałać.

Dnia następnego Lutaniecki — przejrzawszy tabulę — rzekł w południe do żony:

— Ten Grodziski, to pan, co się zowie, słowo daję.

Matka zwróciła się do Kloci:

— Słyszysz?

Klocia potakująco skinęła głową, ale była dziwnie smutną i nie zarumieniła się rumieńcem radosnego oczekiwania jak wczoraj, gdy krajała ser szwajcarski, słuchając uwag macierzyńskich o godności małżeńskiego stanu.

Zato Grodziski był przy obiedzie w wybornym humorze i rozruszał nawet Klocię, która odzyskawszy śmiałość i swobodę, naturalnym śmiechem rozpędziła chmurę ze swego czoła, zachwycając gościa nietylko pięknymi białymi zębami, nietylko swem wesołem spojrzeniem, ale i bardzo rozsądnemi i praktycznemi uwagami, których się Antoś po niej wcale nie spodziewał.

Po czarnej kawie nastąpiła finansowa konferencya, która jednak zaledwie kwadrans zatrzymała Antosia w szponach formalistyki Lutanieckiego, bo ten wziąwszy

skrypcik i sześć procent za pół roku odtrąciwszy, wypłacił Antosiowi około 20.000 złr., to jest całą kwotę, jaką na razie rozporządzał.

Gdy Antoś dziękował, Lutaniecki się obruszył.

— Coto — mości dzieju — dziękować, kiedy interes i dla mnie dobry, gdyby jeszcze przytem...

— Niechże pan dokończy!

— Ugryzłem się właśnie w język, aby nie kończyć.

Grodziski już nie nalegał, ale do pań poszedł pożegnać się. Pani domu do kuchni właśnie odeszła, Klocia była w ogrodzie. Antoś aż tam za nią poszedł i wesoło rozprawiając z dobry kwadrans w altanie zabawił, a gdy już miał odchodzić, zdawało się obojgu, że się znali oddawna i że się żegnają nie na całe miesiące, ale znowu do dnia następnego.

Lutaniecki po odejściu gościa zwrócił się do Kloci:

— No, jakże ci się podobał? — mości dzieju!

— Bardzo miły człowiek.

— A widzisz — odparł ojciec, chociaż Klocia odmiennego w tym przedmiocie zdania wprzód nie wypowiedziała, a teraz po odejściu Grodziskiego widziała znów przed sobą szeregi dni jednakich, monotonnych wśród krzyku młodszych dzieci i częstych kłótni rodziców.

Ojciec nie mógł jej bliżej wytłómaczyć swej myśli, gdyż położywszy się na sofie, chrapał po dwudniowym wysiłku.

XII.

Akcya ratunkowa w kraju.

Wielu ludzi wierzy w to, co jest jedynie ich życzeniem i pragnieniem, a więc i Haczykiewicz uwierzył w to głęboko, że jest powołanym do odrodzenia przemysłu krajowego, i że każde inne ręce mogą poważne to dzieło tylko skoślawić i na złą popchnąć drogę. Tę wiarę podniecał w nim Turski, ile razy byli samnasam, lub w pośród swych stronników i wielbicieli. Gdy jednak Turski znalazł się sam w swoim gabinecie lub w kole swoich najzaufańszych, natenczas przyznawał jedynie sobie zdolność kierowania tak ważną sprawą, wyrzekając nawet dość głośno na Haczykiewicza, że przywłaszcza sobie jego myśli ojcostwo i psuje jego dzieło przez ową zarozumiałość.

Ponieważ w gruncie rzeczy wobec swej partyi, wobec świata, wobec siebie samych udawali, że jednych są zapatrywań i kłamali, że w obronie tegosamego programu walczą, przeto zatajając istotne względem siebie usposobienie, w sprawach przemysłu krajowego szli pozornie ręka w rękę.

Haczykiewicz szczerze chciał dopomódz Dzirytowi. raz dlatego, że go o to książę Dłuski prosił, a słowo księcia ważyło u Haczykiewicza bardzo wiele, powtóre z tej przyczyny, że wobec zbliżających się wyborów do Sejmu krajowego rad był przypomnieć obywatelstwu miejskiemu swoje zasługi około rozwoju przemysłu. Pomagając Dzirytowi, mógł wreszcie pozyskać dla „Gazety demokratycznej“ i swojej partyi jednego z tych, co mieli wyrobiony mir między przemysłowcami, a trzymali się dotychczasowo z daleka od wszelkiej roboty partyjnej.

Pierwszą jego myślą było, aby wyrobić Dzirytowi kredyt w Banku centralnym. Turski obiecał wszystko uczynić, ale ostatecznie całego swego wpływu nie użył, bo się czuł dotkniętym, że Dziryt najpierw do niego się nie zgłosił. Losy więc tego kredytu zdał Turski cenzorom, a otrzymawszy odmowną odpowiedź, ofiarował Dzirytowi pomoc z krajowego funduszu przemysłowego.

Ofiarował! Turski rozporządza funduszem przemysłowym!

Haczykiewicz oburzał się w głębi serca, atoli przyznać musiał, że była to jedyna myśl trafna, bo jego partya nie była zdolną zdobyć się na szybką i energiczną akcyę ratunkową, którą przeto należało zrealizować kosztem kraju. Wybory się zbliżały.

Haczykiewicz i Turski wybrali się dnia pewnego zwiedzić fabrykę cykoryi Dziryta.

Dziryt znajdował się podówczas w bardzo ciężkiem położeniu, gdyż przeważnie żydowscy kupcy, którzy od niego brali cykoryę w celach dalszej rozprzedaży, byli mu razem dłużni przeszło trzydzieści tysięcy złotych reńskich, a jakkolwiek niejednokrotnie w drodze sądowej starał się Dziryt uzyskać zapłatę

swoich należytości, tak znacznej sumy nie mógł atoli od razu ściągnąć. Tymczasem co sobota trzeba było wypłacać stu kilkudziesięciu robotników, opłacać gotówką surowy materyał i ponosić znaczne koszta ekspedycyi i podatki. Chociaż więc fabryka sama i jego prywatny majątek reprezentowały znaczny kapitał, nie wychodził z długów, których część zaciągnięta u żydów, bardzo mu dolegała, psując nadto kredyt bankowy i niszcząc zaufanie okolicznych obywateli.

Nie uzyskawszy pożyczki w Banku centralnym na podpis Grodziskiego, znalazł się Dziryt w okropnem położeniu, o którem tylko nieszczęśliwi fabrykanci i przemysłowcy galicyjscy mogą mieć wyobrażenie. Szersza publiczność widząc wzmagający się ruch fabryczny u przeciętnego przemysłowca, poczytuje to za dowód jego dobrobytu, tymczasem pod maską uśmiechu kryje się częstokroć najsmutniejsza walka wewnętrzna, w której ani wsparcia, ani przyjaciela szukać nie podobna.

Ileż razy Dziryt po bezsennej nocy spędzonej na rozmyślaniach skądby wziąć pieniędzy na jutrzejszą wypłatę, wyczekiwał w swym kantorze z gorączkową niecierpliwością poczty, która zamiast spodziewanych tysięcy, przynosiła zaledwie kilkadziesiąt złotych reńskich. Ileż razy zadawał sobie w takich razach rozpaczliwe pytanie: „co począć?“ gdy do dwunastej niecałe dwie godziny brakowało, a każdy protest mógł pociągnąć za sobą najzgubniejsze następstwa!

Cóż dopiero mówić o każdej sobocie. Od rana biegał w tym dniu biedny Dziryt po mieście, zbierając drobne należytości. Ten i ów płacił, ale przeważająca większość odpowiadała nieubłagane: „jutro, pojutrze, piętnastego, pierwszego“. Majętniejsi kupcy wręcz się nawet oburzali na tę jego natarczywość.

Nie wierzy mi pan, czy co? — wołali z gniewem — lepiej doprawdy sprowadzać cykoryę z zagranicy. Stanowczo mniej kłopotu.

Trzeba było tłómaczyć, przepraszać i poprzestać wkońcu na obietnicy.

Tymczasem nadchodził wieczór. We fabryce długi rząd robotników czekał już na wypłatę, a robotnik potrzebując na życie gotowego grosza, nie może czekać i liczyć się z ciężką walką przemysłowca.

Wreszcie wypożyczywszy gdzieś na prędce brakującą sumę, wsiadał Dziryt do bryczki i odjeżdżał do fabryki. Tu po obrachunku i wypłacie zamiast pożądanego wypoczynku, znajdował niezałatwioną korespondencyę i niezliczone potoczne troski. Blady i złamany całodzienną walką, zasiadał więc do biórka...

Najlichszy robotnik mógł sobie wyprosić kilkudniowy urlop, Dzirytowi nie wolno było nawet zachorować, bo coby się natenczas stało, ktoby go zastąpił?

Przystrajając fabrykę na cześć dostojnych gości, doznawał Dziryt uczucia nieopisanej trwogi na myśl o swoich zobowiązaniach. Groziła mu już od dni kilku egzekucya za podatki, a żyd Taubeles, nabywszy do niego pretensyę za 2000 złr., mógł także spaść niespodzianie z egzekutorem sądowym.

Dziryt na kilka godzin przed przybyciem gości pchnął więc konnego posłańca do Lwowa, aby się choć z tej strony zabezpieczyć.

Nieco uspokojony przypatrywał się następnie jak na długich żerdziach, owiniętych choiną, przymocowali robotnicy u bramy wjazdowej napis: „niech żyją czcigodni protektorowie przemysłu krajowego“.

Dopilnował następnie wszystkich przygotowań do uczty, obejrzał salę jadalną i wyszedł ku bramie.

Zdala na gościńcu bielił sie tuman białego kurzu, coraz się przybliżający, i wnet ozwał się długo oczekiwany sygnał: „jadą!“

Dziryt ledwie miał czas przywdziać odświętną czamarę, gdy przeciągły okrzyk zgromadzonych robotników i włościan powitał skromną bryczkę, wiozącą obu dygnitarzy.

Wysiedli szybko a okrzyki radośne zmieniły się naraz w ponure grobowe milczenia. Taubeles i egzekutor sądowy stali przed odrętwiałym z przerażenia Dzirytem. Tuż za nimi na skromnym wózku nadjechała ich asysta, panowie oceniciele: Bubeles i Knorr.

Egzekutor sądowy wylegitymował się mandatem sądowym.

Dziryt zwrócił się do Taubelesa.

— Pisałem dziś do pana.

— Co mnie z pańskiego pisania, proszę zapłacić.

— Zapłacę za dwa, trzy dni.

— Potrzebuję zaraz pieniędzy.

— Dzisiaj niepodobna; mają właśnie nadjechać członkowie komisyi przemysłowej, przypuszczam, że pan uwzględnisz moje położenie i cofniesz egzekucyę.

— Ani myślę.

— Zapłacę panu procenta i czwartą część kapitału.

— Wszystko, albo opieczętuję panu zapasy towaru, zboża i meble.

Niepodobna było dłużej układać się, bo znów rozległ się potężny okrzyk robotników, a przez improwizowaną bramę tryumfalną wjechali Haczykiewicz, Turski i Kargel.

Dziryt drżącym głosem rozpoczął powitalną mowę, a w czasie tej mowy Taubeles, egzekutor sądowy,

Bubeles i Knorr ustawili się w sposób arogancki tuż obok Dziryta. Kargel uśmiechał się złośliwie, Haczykiewicz brwi zmarszczył; jeden tylko Turski zachował minę męża stanu, którego nic wzruszyć nie może. Odpowiedział też na przemowę Dziryta z wielką swadą, kładąc nacisk na ciężkie położenie przemysłu krajowego. W chwili, gdy kończył przemowę, zajechał Grodziski i jednym rzutem oka ocenił okropną sytuacyę Dziryta.

Egzekutor sądowy szedł już ku budynkom fabrycznym, za nim dwaj oceniciele, następnie Haczykiewicz, Turski i Kargel, a Dziryt błagalnym głosem szeptał coś Taubelesowi.

Grodziski zbliżył się natychmiast do Dziryta, zapytując, ile dług wynosi, a otrzymawszy żądane wyjaśnienie, rzekł do Taubelesa krótko i dobitnie:

— Płacę w zastępstwie pana Dziryta.

Na twarzy Taubelesa odmalowało się niezadolenie; zakroił on ogromny skandal, a przez prosty przypadek cofać się musiał. Nie mogąc przeto w inny sposób gnębić nieszczęsnego fabrykanta, ostatniego użył aktu zemsty, silnym głosem wołając:

— Panie woźny, cofam egzekucyę.

Egzekutor odwrócił się na te słowa i wpadł przez nieuwagę na Haczykiewicza, który przyspieszając kroku, mruknął do Turskiego:

— Dziryt w ostatnich opałach.

— Przekonaj się pan, czy Bank centralny mógł udzielić pożyczki.

— Nie wiem, czy nawet w komisyi przemysłowej zdołamy coś dla niego uzyskać.

— Bardzo ciężka sprawa! — wtrącił Kargel.

Tymczasem Dziryt, zdawszy Taubelesa Grodziskiemu, podszedł do członków komisyi przemysłowej,

zwracając ich kroki do głównego pawilonu fabryki, nad którego wchodowemi drzwiami, czerwonemi literami na białem tle błyszczał napis: „Witajcie!“

Turski skierował rozmowę na stosunki robotnicze, aby nie poruszać smutnego zajścia, którego mimowolnymi byli świadkami. Wkrótce Grodziski powiększył grono rozmawiających, a pod wpływem jego ożywienia i humoru Dziryt przyszedł zwolna do siebie.

Zaimprowizowana przez Grodziskiego owacya robotników na cześć Haczykiewicza, pozwoliła wreszcie wszystkim zapomnieć o Taubelesie i jego niepożądanych odwiedzinach. Grodziski nawiązując bowiem do gościnnego napisu: „witajcie!“ wypowiedział piękną mowę, w której zaznaczył, że przemysłowcy krajowi pragnąc szczerze współdziałania całego społeczeństwa w pracy około rozwoju przemysłu, otwierają dla wszystkich swoje warstaty i pracownie, aby uchylić zgubne uprzedzenia i przedstawić, jakiemi drogami i do jakich celów zmierzają. Wspomniawszy następnie o urzędowem stanowisku Haczykiewicza, jako jednego z pierwszych dygnitarzy autonomicznych dodał, że z jego osobą wchodzi niejako całe społeczeństwo polskie do murów fabrycznych, bo on właśnie tego społeczeństwa jest legalnym reprezentantem, a przemysłu krajowego naturalnym opiekunem.

Przy tych słowach robotnicy podnieśli Haczykiewicza do góry na rękach wśród długotrwałych na cześć jego okrzyków, a to gorące i serdeczne przyjęcie ujęło bardzo pana radcę, który przy zwiedzaniu fabryki nie szczędził w dalszym ciągu pochwał wewnętrznemu urządzeniu i wprawie robotników i robotnic. Mniej szczodrym w rozdzielaniu pochwał był Turski, którego gniewało, że Grodziski zapewne przez nieuwagę w przemowie swej wcale o nim nie wspomniał.

W duchu przyznawał jednak, że stan fabryki przeszedł jego oczekiwania. Jadąc do Dziryta, wyobrażał sobie, że zastanie jakiś młynek wodny do mielenia surowca, jakiś piec staroświecki do wypalania materyału i brudny warstat do sortowania i napełniania paczek. W rzeczywistości znalazł cały szereg budynków fabrycznych, na zewnątrz niezbyt okazałych, ale murowanych, zapasy surowca, przedstawiające wartość kilkunastu tysięcy złotych reńskich, motor parowy z transmisyą, piece najnowszej konstrukcyi, wzorowo utrzymane, suszarnię z bogatym składem gotowych fabrykatów, wreszcie własną introligatornię. Przeszedłszy wszystkie budynki fabryczne, wyszli goście tylną bramą ku rozległym polom, gdzie nowy i niezwykły czekał ich widok. Jak okiem sięgnąć rozciągały się przed nim szerokie łany, na których Dziryt plantował cykoryę. Haczykiewicz i Turski mieli sposobność przekonać się, że fabryka ma nawet dla rolnictwa krajowego poważne znaczenie, bo plantacye cykoryi nie wymagają nadzwyczajnych kosztów, a pożytek mogą dać większy jak pszenica, której cena tak jest zmienną.

W głównym kantorze wyjaśnił wreszcie Dziryt dostojnym gościom stosunki kredytowe fabryki, swoje aktywa i pasywa.

Haczykiewicz był olśniony, Turski starał się zmniejszyć zapał pana radcy, podszepnąwszy mu nieznacznie:

— Gdybyż tym relacyom można wierzyć.

Po dwugodzinnych oględzinach poprowadził Dziryt swych gości do sali jadalnej, gdzie odbyła się suta uczta, przy której nie brakło szampana i cygar w lepszym gatunku. Rzeczą całkiem naturalną, że nie obeszło się bez toastów, i że w toku świetnych prze-

mówień uczczono po kolei wszystkich obecnych. Nawet Turski udobruchał się i po kilku kieliszkach szampana nazwał Dziryta „jednym z najdzielniejszych przemysłowców polskich“.

Wreszcie przebrzmiały wiwaty, a czerwony odblask zachodzącego słońca przypomniał uczestnikom uczty, że czas powracać do Lwowa.

— Z wielką niechęcią opuszczamy tę prześliczną miejscowość, kochany gospodarzu — zapewniał Haczykiewicz, zajmując w powozie honorowe miejsce — wywozimy stąd najmilsze wspomnienia.

Turski także kilka pochwał wypowiedział, ale gdy powóz ruszył, gdy postać gościnnego gospodarza zniknęła mu z oczu, rzekł do Haczykiewicza:

— Powiedzcież państwo, jak pogodzić świetny stan fabryki z ciągłemi niepowodzeniami materyalnemi, z błotem skarg i egzekucyi.

— Trzeba to przypisać niesumienności odbiorców — odparł radca.

— A ja sądzę — zawołał Turski — że przyczyną tego życie nad stan.

— Przyjął nas po królewsku — wtrącił Kargel

— Cygara istotnie wyśmienite — rzekł radca, błękitne kółka z ust wypuszczając — coza aromat!

— A szampanik? hę? — odezwał się znów Kargel

— Jednem słowem: co Maciek zarobi, Maciek zje; zwykła gospodarka galicyjska! — zakonkludował Turski.

Tymczasem Dziryt, znalazłszy się samnasam z Grodziskim, rzucił mu się na szyję, dziękując za przysługę.

— Wybawco! dobrodzieju! jakżeż ci się wywdzięczę.

Grodziski nie chciał nawet słyszeć o podziękowaniu.

— Powinniśmy się popierać wzajemnie, to nasz obowiązek!

— Słowa te sprawiają mi tem większą przyjemność, że je słyszę z ust szlachcica.

— A toż chyba czas ostatni, abyśmy się pozbyli uprzedzeń stanowych.

— Gdybyż to zapatrywanie podzielało całe obywatelstwo!

— Bądź pan przekonany — odparł Grodziski — że je już podziela, a tylko nieliczne jednostki radeby się wyróżnić i jak pawie pysznią się barwnemi piórami rodowej tradycyi, niepopartej własnymi czynami.

— Czyżby ich było istotnie tak niewielu?

— Jeżeli zazwyczaj doznajemy wrażenia, że jest ich więcej; przyczyny tego szukać należy w niewłaściwem stanowisku, jakie demokracya miastowa zajmuje wobec obywateli wiejskich.

— Co pan chcesz przezto powiedzieć? — pytał Dziryt.

— Demokracya miastowa zbyt namiętnie występuje przeciw obywatelstwu, a wybryki poszczególnych obywateli wiejskich niewłaściwie odnosi do całego obywatelstwa. Z tego, że pan Durnicki wyjechał do Monako i przegrał tam trzyczwarte majątku, nie wypływa jeszcze, aby taksamo postępowali wszyscy inni, a z tego, że pan z Ziemblic Ziembieliński kupił sobie włoskie hrabstwo, aby mieć tak szacowny tytuł, nie można wytwarzać pocisków przeciw setkom obywateli, walczących ciężko o kawałek chleba.

— Jako mieszczanin mogę tylko powiedzieć: dałby Bóg, abyśmy się poznali...

— I szli naprzód ręka w rękę — dodał Grodziski — aby trzeci nie korzystał dłużej z naszych sporów i zatargów.

— Ach ten trzeci; bodaj tego Taubelesa, jakim mnie przejął strachem!

— Cały ten skandał dzisiejszy musiał być z góry uplanowany — ozwał się Antoś — kto jednak mógł powiedzieć Taubelesowi, że dziś będzie u pana komisya przemysłowa.

— Przypuszczam, że mój doglądacz, którego musiałem przyjąć na życzenie rabina, a który po prostu jest opłacanym moim szpiegiem.

— Więc go wyrzucić.

— Łatwo to powiedzieć, ale wykonać...

— Potrafię zaraz, jeżeli tylko pan zechcesz.

— Choćbym chciał, nie pozwalają stosunki. — Trzebaby naprzód zrzec się kredytu żydowskiego i mieć fundusz obrotowy do przetrzymania agitacyi Raszkesa.

— Jest nadzieja, że komisya przemysłowa, poznawszy stan rzecy na miejscu...

— Przypuszczam, że mi da 20.000 złr. tytułem niskoprocentowej pożyczki, ale to wystarczy do przyzwoitej wegetacyi, nie zaś do zwycięstwa.

— Nie mamy więc siły, któraby skutecznie wsparła przemysł.

— Niestety, żadnej, a widoki na przyszłość jeszcze gorsze.

— Osłabiać to jednak nie powinno naszego zapału — rzekł Grodziski — a raczej dodać nam bodźca, abyśmy przetrwali czas próby.

— Kiedyż ona trwa i trwa w nieskończoność.

— Bo nie szukamy najdzielniejszej podpory.

— Jakiejże?

— W złączeniu sił własnych.

Długo jeszcze rozprawiali obaj przemysłowcy,

omawiając swoje własne położenie i ciężkie przejścia kolegów zawodowych.

Nazajutrz dopiero odjechał Grodziski do domu, a Dziryt oddany codziennym troskom i kłopotom, czekał rezultatów akcyi ratunkowej kraju.

O ile jednak Dzirytowi zależało na pospiechu, o tyle członkowie krajowej komisyi przemysłowej rozważając sprawę z za zielonego stolika nie czuli się obowiązanymi do spiesznej decyzyi. Gdy po kilku tygodniach Dziryt poszedł do Haczykiewicza, aby się dowiedzieć o zapadłej uchwale, tenże oświadczył mu z całym spokojem, że uchwały nie ma żadnej, bo komisya nie otrzymała od niego formalnej prośby. Dziryt wniósł tedy podanie, na które po upływie miesiąca otrzymał pisemne wezwanie, aby wykazał, jakie może dostarczyć pokrycie dla udzielić się mającej pożyczki z krajowego funduszu przemysłowego. W dalszych dwóch miesiącach żądano od niego przedłożenia ekstraktu hypotecznego i inwentarzy fabrycznych. Dziryt doznawał uczucia głodnego, któremu pokazują stół obficie jadłem zastawiony, pocieszając nadzieją, że może kiedyś odrobinę dostanie.

Nareszcie po upływie pół roku otrzymał ostateczną decyzyę komisyi przemysłowej. Komisya mianowicie godziła się wypożyczyć mu z krajowego funduszu 15.000 złr. pod warunkiem, że nietylko zahypotekuje tę sumę na swym majątku, ale nadto zgodzi się na egzekucyjne opieczętowanie maszyn fabrycznych, tudzież zajęcia całego zapasu wyprodukowanego towaru, z którego sprzedaży pokrywane miały być raty udzielonej pożyczki.

Treść tej uchwały podała do wiadomości publicznej „Gazeta demokratyczna“ na dowód zapobiegliwości, z jaką komisya przemysłowa czuwa nad roz-

wojem przemysłu krajowego. — Dziryt przeczytawszy ten wyjątek z posiedzeń komisyi przemysłowej, niemal ze łzami w oczach pobiegł do Turskiego.

— Jak mogliście mi panowie wyrządzić tak wielką krzywdę — przemówił — załamując ręce:

— Jaką krzywdę? o czem pan właściwie mówi?

— Artykulik „Gazety demokratycznej" jest najboleśniejszym ciosem dla mego kredytu i moich interesów.

Mówił to z takiem rozdrażnieniem, że go dyrektor uspakajać musiał.

— Ależ, szanowny panie — rzekł doń — bierzesz te rzeczy zbyt tragicznie. Gazeta ogłasza przecież stale sprawozdania z posiedzeń komisyjnych.

— Powinniście jednak panowie zarządzić tajność, gdy macie do czynienia z fabrykantem, który nie prosił przecież o jałmużnę.

— Ofiarujemy panu pożyczkę.

— Na warunkach, które mógłby przyjąć podupadły rzemieślnik, ale nigdy ja, który w moją fabrykę włożyłem cały majątek i nie jestem w tem położeniu, abym zaciągając pożyczkę, przyjmował tak poniżające i upokarzające warunki.

— Więc pan nie przyjmujesz pożyczki?

— Wolę sto razy wziąć od żyda, niż korzystać z takiej pomocy.

— Zapominasz pan, że to pomoc kraju.

— Niechby kraj nie dawał raczej żadnej pomocy i nie łudził nas nadzieją, jeżeli wkońcu rzuca jałmużnę jak żebrakom, krępując przytem ręce i powstrzymując na drodze dalszego rozwoju.

— Uwzględniam pańskie rozdrażnienie, ale zwrócić muszę jego uwagę, że za ostro wyrażasz się pan o działalności krajowej komisyi przemysłowej.

— Jeżeli mamy dojść do rezultatu, nie możemy wiecznie prawić sobie komplementa. Któregoż przemysłowca poratowała ta wasza komisya? Waliński dostał dziesięć tysięcy, ale ścisnęliście go w zamian tak obręczami licznych warunków, że zbankrutował. Ten sam los spotkał Towarzystwo handlu skór; cały szereg innych subwencyj poszedł również na marne, zaledwie jakaś jednostka wyjątkowa zdołała nieznaczny odnieść rezultat przy waszem poparciu.

— Zdaniem pańskiem tedy akcya ratunkowa kraju...

— Jest upokarzającym systemem jałmużny, która obniża poziom naszych dążeń i usiłowań, pozbawia nas kredytu usprawiedliwionego rezultatem prac naszych i ogłasza nas bankrutami wobec szerszej publiczności kraju i poważnych firm zagranicznych, z któremi utrzymujemy stosunki.

— Mogę pana zapewnić — rzekł Turski — że mamy najlepsze chęci.

— Pozwól, panie dyrektorze, wyznać mi otwarcie, że sam skład komisyi przemysłowej nie odpowiada interesom przemysłu krajowego. Wszak między panami nie zasiada ani jeden przemysłowiec, a więc niepodobna, abyście przy najlepszych chęciach nie popełniali błędów, które się ciężko na nich odbijają.

— Ślicznieby wyglądał fundusz przemysłowy — rzekł Turski — gdybyście panowie sami nim zarządzali.

— Utworzylibyśmy z tego funduszu podstawę do potężnego towarzystwa wzajemnej pomocy.

Turski tak dalece nie spodziewał się tej odpowiedzi, że aż cygaro z rąk wypuścił.

— A wiesz pan co — rzekł — że to byłoby może najlepsze rozwiązanie sprawy.

— Ale dzisiejsza komisya przemysłowa tego nie dokona.

— Dlaczego?

— Powód bardzo prosty; panowie macie wiecznie na oku jakąś politykę partyjną, a przemysł krajowy z ruchem partyjnym nie może mieć nic wspólnego, jeżeli ma mieć trwałe szanse powodzenia.

— To kwestya zapatrywań.

— Roztrzygniętych niezbitem doświadczeniem, że przemysłowiec-polityk nie osiągnął jeszcze nigdy poważniejszych rezultatów.

— A Oczapowski?

— Wszakże to jedynie zręczny spekulant i przedsiębiorca, jakkolwiek ma zdolności niezwykłe i niewątpliwie najlepsze chęci.

— Wedle pana więc przemysłowiec nie powinien mieć żadnych zasad politycznych.

— Wcale tego nie twierdzę, ale jestem zdania, że w pewnych stadyach rozwoju nie może agitacyom politycznym poświęcać rezultatów zapobiegliwej pracy zawodowej, wymagającej zupełnego i wyłącznego poświęcenia wszystkich sił.

— Nie mogę panu przyznać słuszności — rzekł Turski — bo to co pan mówisz, mogłoby wstrząsnąć systemem narodowych usiłowań na polu autonomicznego życia.

— Jakiżto jednak system, aby go konserwować warto? Wytwarzanie sztucznych przeciwników, gdy nie ma prawdziwych, rywalizacya osób wobec zaniedbywania spraw najżywotniejszych i dążność do opanowania warstw niższych przez ustawiczne spotwarzanie przeciwników, to prędzej można nazwać chorobą społeczną kraju, jak zakładem lepszej przyszłości.

— Demokracya polska nie może jednak złożyć broni.

— Byle tylko w zaciekłości partyjnej nie dopomagała do zwycięstwa wrogom kraju.

— Którym?

— Obcym i swoim.

— Nie ma panie o to strachu! — rzekł Turski z uśmiechem.

— Bo nie wsłuchujecie się panowie w rozmaite głosy, które się z wnętrza kraju dobywają i z zagranicy do kraju płyną.

— Turski nie chciał się uznać pobitym, powrócił znów do sprawy pożyczkowej i przyrzekłszy Dzirytowi, że ogłosi w „Gazecie demokratycznej“, iż tenże nie korzystał z ofiarowanej mu przez komisyę przemysłową pożyczki, pożegnał go pięknymi frazesami na temat swej osobistej dla niego sympatyi i życzliwości.

Sam udał się bezzwłocznie do Haczykiewicza, gdyż nie mógł się powstrzymać, aby mu nie zatruć spokoju przykremi uwagami, jakie przed chwilą usłyszał z ust Dziryta.

Haczykiewicz jednak ani się zdziwił, ani się rozgniewał.

— Co mnie obchodzi — rzekł — opinia poszczególnej jednostki.

— Na nieszczęście — odparł Turski — prawie wszyscy poważniejsi przemysłowcy tosamo mówią.

— Dlatego też na moje wychodzi, że przedewszystkiem czuwać powinniśmy nad zastępami pomniejszych rękodzielników i przemysłowców. Póki mieć będziemy wpływ na te koła, póty partya nasza zajmować będzie wybitne stanowisko.

— Musielibyśmy mieć chyba milionowy fundusz przemysłowy, gdybyśmy chcieli spełnić żądania drobnych przemysłowców.

— Będziemy więc spełniać żądania jednostek wpływowych i te żądania, które się cieszą popularnością u szerszych zastępów.

— Wartoby wziąć w swe ręce sprawę Sanockiego. Fakt, żeśmy ułatwili krajowcowi dostawę szyn dla kolei podolskiej byłby wobec kraju doniosłym dla nas tryumfem.

— Ani słowa — odparł Haczykiewicz — że miałoby to dla nas znaczenie.

— Damy mu więc kapitał obrotowy, oczywiście pod naszą najściślejszą kontrolą.

— Bardzo dobrze. „Gazeta demokratyczna“ będzie mogła wystąpić z pięknym artykułem, który zatrze wrażenie naszej porażki z tym Dzirytem.

— Szkoda, że nie nasz — to człowiek cięty.

— Wolę ja cię tość naszej „Zgody“. Gdyby nie ci drobni rękodzielnicy i przemysłowcy, przepadlibyśmy z kretesem przy ostatnich wyborach.

— Z czystego zysku Banku centralnego przeznaczymy coś dla „Zgody“.

— Oj, to, to, niechby choć cokolwieczek liznęli ci poczciwcy.

XIII.

System ofert i upadłości kupieckie.

Stanisław Warzycki po śmierci ojca ciężkie chwile przechodził. Straciwszy najlepszego doradcę, musiał się zajmować teraz nietylko kościarnią, ale całem gospodarstwem i wszystkimi interesami całej rodziny. Matka i siostra ciągle go odrywały od zajęć, od czasu nawet mu wymawiały, że jest zbyt wielkim materyalistą. Tymczasem zajęcia mnożyły się z dniem każdym, a jakby z pod ziemi wyrastały troski i kłopoty, o jakich przedtem nie miał wyobrażenia.

Do kościarni napływały znaczne zamówienia, najpierw od Grzybackiego na 20.000 złr., potem za pośrednictwem tegoż dla centralnego składu Szymona Grubera w Przemyślu na 25.000 złr., wreszcie za pośrednictwem Jurka od rozmaitych gmin. Na pokrycie pierwszego zamówienia dostał Warzycki cały plik weksli rozmaitych obywateli, których wcale nie znał; na drugie zamówienie dostał weksle Szymona Grubera, o którym wieści chodziły, że jest milionerem, od Jurka wreszcie same tylko listy zamawiające, a po nich w jakiś czas wezwania od zarządów gminnych, aby coprędzej produkt odsyłał.

Na oko tedy kościarnia się rozwijała, wymagając jednak wiele wkładu, gdyż za same kości do 30.000 złr.

gotówką musiał zapłacić, gdy tymczasem na zapłatę weksli i należytości trzeba było czekać. Grzybacki wprawdzie upewniał, że dał mu co najlepsze firmy i rozpowiadał istne cuda o bogactwach Grubera, atoli za te piękne nadzieje trzeba było Grzybackiemu wypłacić prowizyę, a na razie własnym kapitałem obracać. Powiększył więc Stanisław liczbę robotników w swej kościarni i przyjął stałego sekretarza do prowadzenia rozległej korespondencyi.

Listy, jakie do kościarni nadchodziły, nie zawsze jednak miłe i pożądane zawierały wiadomości. Rozliczne gminy zbyt natarczywie domagały się o mączkę kościaną i już niebawem okazało się, że Jurek pobrał poprostu pieniądze i nie odesłał ich do kościarni.

Stanisław z początku nie przywiązywał do tego wielkiej wagi.

— Co tylko go nie widać, wszakże należy mu się prowizya.

Sekretarz nie podzielał tego zapatrywania, a gdy odesłano zamówioną mączkę kościaną, po dokonanym z gminami obrachunku sprawdzono, że przy ogólnej sumie zamówień 5400 złr. Jurek 3400 zabrał dla siebie i przepadł bez śladu.

Stanisław nie chcąc pomimo znacznej straty rozgłaszać przykrego wypadku, kazał wpisać do ksiąg, że nienadesłane przez Jurka pieniądze sam odebrał i wysłał gminom pokwitowanie na całą należytość prosząc, aby na przyszłość wprost z fabryki zamawiali.

Wziął się jednak po tak przykrem doświadczeniu do rozpatrzenia weksli doręczonych mu przez Grzybackiego. Atoli, gdy je pokazał Moreckiemu, tenże nie mógł powstrzymać się od niezbyt pocieszającego okrzyku:

— Ależ to bankruci!

— Jakto, wszyscy?

— Jedni bliżsi smutnego końca, drudzy nieco się jeszcze trzymają, ale cały interes jak najgorszy!

— Zamówień tych dostarczył Grzybacki.

Moreckiego zmieszała ta wiadomość. W twarzy jego przebijał się cień bolesnego zawodu.

— Zdawało mi się, że ten człowiek bardzo do tego odpowiedni, rzekł po dłuższej chwili.

— Czyliż wszystko stracę? — pytał Stanisław.

— Tego nie powiedziałem. Doświadczenie uczy, że biedny szlachcic jest nieraz uczciwszym od lekkomyślnego magnata. Należy jednak być przygotowanym na długie z tem kłopoty, na procesa i koszta.

— A ja właśnie najwięcej obawiam się wszelkich procesów.

— Niestety, żaden przemysłowiec nie może ich uniknąć — rzekł Morecki — ale probój pan odbić tę stratę.

— W jaki sposób?

— Towarzystwo handlowe, świeżo zawiązane, rozpisało oferty na znaczniejszą dostawę mączki kościanej. Przypuszczam, że postawiwszy umiarkowaną cenę, otrzymasz dostawę. Poniekąd mógłbym nawet poręczyć za skutek.

Nie wypadało jak podziękować.

Po tej wizycie, wracając do hotelu, niemal w bramie, spotkał Stanisława Grzybackiego. Tenże witał go z najspokojniejszą miną, zdawał się być nawet w bardzo dobrym humorze. Stanisław jednak, który nie umiał maskować swego istotnego usposobienia, w słowach dość ostrych wypowiedział mu swój żal z powodu znacznej straty, na jaką go naraził. Grzybacki nietylko nie wyznał całej prawdy, ale

w dodatku poczytał te wymówki za osobistą obrazę i tegosamego dnia jeszcze wzywał Stanisława na pojedynek. Nie doszło oczywiście do krwi przelewu, ale Stanisław rozwiązując swój stosunek z Grzybackim, musiał mu jeszcze wypłacić resztującą prowizyę w kwocie 800 złr.

— Dobrze ci tak — mówił mu wieczorem Rzępała — paniczów nie bierze się na agentów.

— A toć i z Jurkiem zrobiłem takiesame doświadczenie.

— A któż ci tego znów naraił?

— Radca Haczykiewicz.

— Alboż nie powtarzam wiecznie — ozwał się Rzępała — że to szarlatan polityczny, protegujący na prawo i na lewo wszystkich, którzy za nim gardłują, nawet afiszerów.

— Faktem jest jednak — zauważył obecny przy tej rozmowie Grodziski — że chrześciańskich agentów z inteligencyi nie mamy.

— A cóżeś myślał — wykrzyknął Rzępała — że ludzie wyrastają z pod ziemi na zawołanie?

— Masz pan słuszność — odezwałem się na to — przemysłowcy i kupcy chrześciańscy muszą wyrobić, jeśli nie wychować od młodości kategoryę zdolnych, wykształconych i sumiennych agentów, bez których przy dzisiejszych stosunkach żadna fabryka istnieć nie może.

— Ale do tego trzeba — przemówił Rzępała — aby nasi panowie przemysłowcy szli gromadą i w takich sprawach działali wspólnie.

— Może i do tego przyjdzie — odparł Warzycki.

— Ja już tego nie dożyję — rzekł na to Rzępała — nim słońce zejdzie, rosa oczy myje.

— Ależ szanowny redaktorze.

— Żadne ale; wyście wszyscy z przeproszeniem mazgaje, nie możecie się obejść bez naniek i mamek. Jegomości pana Stanisława prowadzi naprzykład w tej chwili za rękę pan dyrektor Morecki i pokazuje mu jak Mikołajka za szybką nowe świetne zamówienie Towarzystwa handlowego.

— Przecież sprawa poważna.

— Ogromnie poważna — odparł z ironicznym uśmiechem Rzępała. Ponieważ w całym kraju daje się uczuwać prąd za przemysłem krajowym, więc liberały nasze wymyśliły system ofert, a cui bono? hę?

— Jakto cui bono — rzekł Grodziski — przy systemie ofert każdy ma równe szanse.

— Jużeś powiedział — wykrzyknął Rzępała, biorąc go za klapę od surduta — słuchajże więc teraz: przy ofertach zwycięża ten, kto da cenę najniższą, a któż może dać cenę najniższą, jak nie ten co wybada zręcznie ceny przeciwników, lub puści się na szwindel, stawiając cenę niżej kosztu uczciwej produkcyi, odbijając ją potem na jakości materyału i wykonania przy pomocy znacznych łapówek. Zrozumieliście hreczkosieje?

— Sanocki dostał jednak wczoraj na podstawie ofert zamówienie na szyny kolejowe do drogi podolskiej.

— Czekajmy jednak co z tego dalej wyniknie.

— Cóżby miało wyniknąć?

— Ano przewidzieć nie trudno. Sanocki, aby bliskiego terminu zamówienia dotrzymać, rozszerzy fabrykę przy pomocy kredytu, jaki mu dostarczy Bank centralny, odda wszystko na czas i zarobi cokolwiek na tym interesie.

— Korzyść więc oczywista — zawołał Warzycki.

— Pomaleńku — odparł Rzępała — jeszcze skóra

na baranie! Przecież oddawszy roboty zamówione, nie będzie mógł Sanocki rozpędzić zaraz czeladzi.

— Postara się o nowe zamówienia.

— Myślicie, że to tak łatwo. Otóż ja wam przepowiadam, że zagraniczni fabrykanci dawszy się raz złapać, będą na przyszłość ostrożniejsi i zawrą kartel między sobą.

— Opinia krajowa będzie za Sanockim. Kartelowcy znów upadną.

— Nie, utrzymają się — rzekł z powagą Rzępała — bo dadzą ceny o wiele niższe, a rząd nie będzie miał podstawy do odrzucenia ich oferty, skoro będzie niższą i dogodniejszą. Czy jasne?

— Dzisiejsi protektorowie Sanockiego staną jednak mimoto w jego obronie.

— Musielibyśmy wypowiedzieć walkę systemowi ofert i systemowi jałmużny w sprawach przemysłu krajowego. Aby Sanocki zwyciężył i mógł z zagranicznemi fabrykami skutecznie konkurować, potrzebaby mu dać zaraz na dalsze rozszerzenie i zaprowiantowanie fabryki w maszyny i materyał surowy dwakroć do trzykroć sto tysięcy, a na to nie zdobędzie się ani Turski ani Dłuski.

— Przecież mu teraz dopomogli.

— Dają mu zaliczki, ściągając je następnie od kolei. Powagi fabryki nie może to ustalić.

— Czynią, co mogą.

— Zapewne — rzekł na to Rzępała — system jest systemem.

— Jakże postąpią wobec kartelu?

— Jak? sam Turski zmusi Sanockiego, aby przystąpił do kartelu.

— Cóż w tem złego?

— Na oko nic, ale w rzeczywistości przestanie

być samodzielnym przemysłowcem i harować będzie w czoła pocie na kartelowców.

— Jesteś pan ogromnym pesymistą.

— Ale to rzecz tak pewna jak to, że Warzycki nie powącha nawet zamówienia Towarzystwa handlowego.

— Morecki mnie poniekąd zapewnił.

— Przeciw Moreckiemu nic nie mam, ale przy ofercie utrzyma się fabryka Grinzberga ze Szląska.

— Załóżmy się.

— Postawcież z góry ze dwie butelki szampana, bo nie zwykłem się zakładać, gdy jestem czegoś pewny.

— Szampana stawiam — rzekł Warzycki — ale proszę mi wytłómaczyć, skąd ta pewność.

Rzępała zrobił wielce tajemniczą minę i patrząc w sufit, bębnił palcami po stole.

— Niechże redaktor powie — poparł przyjaciela Antoś.

Warzycki rękę do starego wyciągnął.

— Przecież — rzekł — to sprawa dla mnie bardzo ważna.

— No, więc słuchajcie, uroczystym głosem przemówił Rzępała — macie dobre chęci, w to wierzę; pracujecie uczciwie, o tem jestem przekonany, ale doświadczenia nie macie za grosz.

Warzycki i Grodziski zdziwieni patrzyli na siebie; ja, jeszcze więcej zdziwiony, na nich obu.

— Wdaliście się z żydami — ciągnął dalej Rzępała — narajono wam w dodatku agentów z pod ciemnej gwiazdy i dlatego reputacya waszych fabryk coraz smutniejsza. Grodziskiego obrabiają gazety, na Warzyckiego rzuci się kilkunastu ubogich szlachciców. Pomeranz i Sprinzer będą kieszenie nabijać, a w sta-

nowczej chwili dobiją was weksle, puszczone między żydów.

— Ależ, redaktorze, to plotki! — zawołał Warzycki.

— Podpisałem weksel jedynie hrabiemu Bombalskiemu.

— Bombalski dał je Szlomie, a Szloma Pomeranzowi, który oba weksle eskontował ze swoim podpisem w Banku austro-węgierskim, a wykupiwszy je onegdaj, zaprotestował przeciw wam z takiem narzekaniem i wrzaskiem, jakby co najmniej był przez was zrujnowany.

Warzycki i Grodziski zerwali się na równe nogi.

— Nie róbcież hałasu — ozwał się Rzępała — jeszcze nie skończyłem. W dodatku zamówienia tych Grzybackich i Jurków szły drogą niebardzo prostą, bo gdzie się ruszyć, słychać ogromne narzekania na wapno z Grodzisk i na mączkę kościaną z Ujazdówki. Towarzystwo handlowe prawdy dochodzić nie będzie, bo tam fachowców nie ma, ale dyletanci o dobrych chęciach i zarozumiałych głowach. Ostatecznie więc odrzucą ofertę Warzyckiego, odrzucą dla przyzwoitości ofertę Sprinzera; a że duobus ligitantibus tertias gaudet, dostawę weźmie Grinzberg.

Warzycki był wściekły.

— Najpierw głowę rozwalę Bombalskiemu — zawołał — a potem zdemaskuję Pomeranza i Sprinzera, żeby mnie to miało kosztować cały majątek.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Rzępała — ależ im nie idzie wcale o honor tylko o pański majątek.

Bombalski ciężko to odpokutuje!

— A ja radzę — ozwał się po chwili Rzępała, gdy już Warzycki z pierwszego gniewu nieco ochłonął

— zastawić Bombalskiego w spokoju, bo on i tak pieniędzy nie odda, a przedewszystkiem porozumieć się z Grodziskim i zaraz jutro wspólnemi siłami weksle wykupić.

— Najgoręcej tę myśl popieram — rzekłem — na to jesteście panowie sąsiadami, przemysłowcami i urzędnikami; wszystko przemawia za tem, abyście szli razem.

— Pragnąłem szczerze, by nasz związek był najściślejszy — westchnął Stanisław — niestety...

— Polityka babska przeszkodziła — wtrącił Rzępała — ale teraz tem spieszniej powinniście się złączyć, aby zapobiedz następstwom tej polityki.

Warzycki i Grodziski niemal w jednej chwili wyciągnęli naprzeciw siebie ramiona, padając sobie w objęcia.

— A postawcież szampana, do stu piorunów — wołał Rzępała — przecież takie przymierze, jak wasze, trzeba oblać antiquo more.

Dał znak służącemu, a szampan wnet perlil się w kielichach. Stary szklankę do góry podniósł.

— Daj Boże — rzekł — aby wasze braterstwo było zawiązkiem potężnego syndykatu przemysłowców polskich.

— Tylko mi czasu nie marnujcie na awantury z Bombalskim — dodał po chwili — to nie szlachecka rzecz i nie polska, brać za oręż dla miłości pieniędzy; szlachetnością możecie go daleko więcej upokorzyć, a może nawet do upamiętania doprowadzić.

Dnia następnego, na wspólny podpis Warzyckiego i Grodziskiego, Bank austro-węgierski wypłacił 20.000 złr. a ja wykupiwszy z polecenia obu przyjaciół weksle zaprotestowane przez Pomeranza, odesłałem je hr. Bombalskiemu.

Wkrótce potem dowiedziałem się, że z ramienia Towarzystwa handlowego dostawę mączki kościanej dla członków towarzystwa otrzymał w drodze rozpisania ofert Grinzberg ze Szląska.

Wyczytałem także drugą o wiele smutniejszą wiadomość, że firma Szymona Grubera w Przemyślu ogłosiła upadłość, a szef firmy, Szymon Gruber, pozostawiwszy 200.000 złr. niepokrytych długów, umknął do Ameryki. Zadrżałem o Antosia i o Stanisława.

W kilka dni potem, wracając w południe z bióra do domu, w bramie hotelu Europejskiego zobaczyłem całkiem niespodzianie Antosia Grodziskiego.

— Przyjechałem dziś rano ze Stanisławem — rzekł do mnie po przywitaniu — a w domu zastaniesz pan list od nas, który wysłaliśmy przed godziną przez posłańca.

— Pragnąłem was istotnie jak najprędzej zobaczyć — odparłem na to — gdyż wiadomość o bankructwie Grubera przejęła mnie wielkim o was obu niepokojem.

— Ponieśliśmy istotnie bardzo ciężkie straty. Mnie został winien do 15.000 złr., Stanisławowi około 25.000 złr.

— Ależ to majątek!

— Firma zdawała się być tak pewna.

— Może przecież zdołacie coś uratować?

— Stan czynny masy konkursowej wynosi niespełna 9000 złr., które zaledwie wystarczą na honorarya panów adwokatów i zarządców masy.

— Przecież musiały zostać towary.

— Owe 9000 złr. pochodzą właśnie z licytacyjnej sprzedaży tych towarów.

— To niepodobna, przypuszczałem, że firma ma na składzie towarów co najmniej za 150.000 złr.

— Miała i więcej, ale sprzedano wszystko niestety, za tak niską sumę.

— Trudno doprawdy uwierzyć.

— A jednak wracamy z Przemyśla i przekonaliśmy się o tem naocznie.

— Dlaczegoż nie stanęliście do licytacyi?

— Przyjechaliśmy zapóźno. Licytacya rozpisaną była na dwa tygodnie przed otwarciem konkursu z powodu jakiejś pretensyi nie przenoszącej 3000 złr. Któż z nas otrzymując zawiadomienie o licytacyi przypuszczał, że dotyczy ona wszystkich towarów jakie miał Gruber na składzie. Byliśmy raczej przekonani, że Gruber niewielki dług przed licytacyą zapłaci. Tymczasem wczoraj z Przemyśla dowiedzieliśmy się, że tym długiem miała być suma posagowa jego żony, Ryfki Nelken.

— Któż kupił towary?

— Któż inny, jeżeli nie Ryfka Nelken?

— Jakto? żona?

— Tak! żona, ale nieślubna.

— Ależ to oszustwo!

— Papiery Ryfki Nelken w porządku, uchwały sądowe prawomocne; licytacyę przeprowadzono z zachowaniem wszelkich formalności.

— Jakiż więc będzie koniec?

— Ryfka Nelken prowadzić będzie dalej firmę pod własnem nazwiskiem.

— A wierzyciele, a wy?

— Ponosimy podwójną stratę, gdyż tracimy całą wartość towarów, a w dodatku Ryfka Nelken, nabywszy je za bezcen, sprzedawać je będzie niżej kosztów produkcyi. Biedny Dziryt najwięcej na tem ucierpi!

— Ale i wy dwaj niemało macie zapewne z tego kłopotów.

— Idziemy przynajmniej ręka w rękę, a we dwóch iść zawsze łatwiej.

Wchodziliśmy do bramy hotelowej, gdy uwagę naszą zwrócił piękny ekwipaż hr. Bombalskiego, który właśnie zatrzymał się przed hotelem.

Hrabia nim wysiadł, już nas ręką pozdrawiał.

— Szukałem pana wczoraj w Grodziskach — rzekł do Antosia.

— Jakiemuż wypadkowi mam zawdzięczyć pańskie odwiedziny?

— Powiedz pan raczej: obowiązkowi, ale chodźmy na górę, bo tu w bramie rozmawiać niepodobna.

Chciałem pożegnać Antosia, atoli tenże mnie gwałtem do siebie wciągnął.

W pokoju zastaliśmy Stanisława Warzyckiego. Był niemało zdziwiony, zobaczywszy nas wchodzących w towarzystwie hr. Bombalskiego. Przywitał go więc bardzo chłodno, gdyż nie mógł mu darować, że weksle jego i Grodziskiego sprzedał Pomeranzowi. Hrabia nie dał się jakoś zbić z tropu i odezwał się z całą swobodą do Stanisława:

— Wiem, że powinieneś mnie porządnie wyłajać, kochany sąsiedzie, ale przypuszczam, że następnie obaj (tu zwrócił się do Grodziskiego) zechcecie wysłachać mojej obrony.

— Ależ zapomnieliśmy już o wszystkiem — panie hrabio — nie ma doprawdy o czem mówić.

— Za pozwoleniem — rzekł Bombalski — wolno było wam zapomnieć, ale mnie nie wolno. Siadajcie więc panowie i słuchajcie, a potem sądźcie.

Zapaliliśmy tedy papierosy i zasiedli dokoła stołu; a hrabia oparłszy się o biórko, tak dalej mówił:

— Od lat, nie wiem wielu, wszystkie moje interesa

załatwiałem przez faktora Schlomę i jemu też oddałem wasze weksle. Nie przypuszczałem, aby je dał Pomeranzowi i nie przywiązywałem do tego żadnej wagi, nawet wówczas, gdyście już weksle wykupili, gdyż Szloma tak mnie potrafił opętać, że z moich własnych interesów nie mogłem sobie zdać sprawy. Dopiero bankructwo Grubera otworzyło mi oczy na istotne moje położenie i na ohydną rolę, jaką odgrywał Szloma przy moim boku.

— Skądże bankructwo Grubera — odezwał się Stanisław — przecież pan nie zostawałeś z nim w stosunkach.

— Ja osobiście w żadnych, ale dawniejszymi czasy ten sam Gruber faktorował księciu Alfredowi, a księżna Helena, obawiając się czy Gruber nie zachował z owych czasów jakich weksli z podpisem jej syna, prosiła mnie, abym to wybadał przez Szlomę. Tydzień temu pojechałem przeto do Przemyśla, gdzie dowiedziałem się, że mój cichy i pokorny Szloma został przyaresztowany jako tajny wspólnik Grubera, i że przy rewizyi znaleziono u niego liczne na to dowody, iż wspólnie z Pomeranzem dążył do opanowania fortuny mojej i pana Grodziskiego, a nadto skupywał zobowiązania pana Warzyckiego, jak się zdaje dla dyrektora Landerera.

— Co hrabia mówi? — zawołali równocześnie Warzycki i Grodziski.

— Niestety, szczerą prawdę!

— W takim razie winniśmy się cieszyć — rzekł Warzycki — że pozbędziemy się najniebezpieczniejszych wrogów.

— Może nie pozbędziemy się ich tak prędko — zauważył hrabia — bo żydzi ci mają potężne stosunki i ogromne pieniądze. Będąc w Przemyślu, spot-

kałem tam najwybitniejszych adwokatów lwowskich, którzy usilne czynią starania, aby śledztwu kark skręcić. Sprinzer sprowadził na pomoc cudownego rabina, a Landerer pojechał coprędzej do Wiednia.

— A niechże sobie robią, co chcą — zawołał Grodziski — co do nas, wiemy przynajmniej jak się na przyszłość od nich zabezpieczyć.

— Ujazdówki nie dadzą mi wydrzeć! — dodał Warzycki.

— A ja mego kawałka ziemi także im nie dam! — rzekł z mocą hrabia.

— Brawo hrabio, widzę, że przechodzisz do naszego obozu! — odezwał się na to Warzycki.

— A czyżto mnie Szloma nie dość długo za nos wodził? mało mi to pieniędzy i spokoju wydarł.

— Hrabia podobno jesteś w bardzo cieżkich interesach.

— Dajże mi więc kochany sąsiedzie spokój z tem hrabstwem, bo aby majątek ratować, muszę się djabelnie ograniczyć. Przedewszystkiem pałac we Lwowie sprzedałem księciu Jarosławowi, który ofiarowuje go w podarku ślubnym księciu Alfredowi. Z ceny kupna płacę wam zaraz 20.000 złr.

Mówiąc to, wyjął hrabia pieniądze i podał Warzyckiemu i Grodziskiemu z tą męską stanowczością, która uchyla wszelką opozycyę.

— Jeden folwark muszę także sprzedać — ciągnął dalej — aby Bank obywatelski spłacić i uregulować hypotekę przy pomocy pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Zawsze to nasza poczciwa szlachecka instytucya. W ten sposób uratuję majątek i będę mieć rocznie do 5000 złr. dochodu. Moja żona będzie się krzywić, ale ta sumka musi nam

wystarczyć na utrzymanie. Powiem wam jednak w sekrecie, że mam zapewnioną dostawę progów dębowych do kolei podolskiej. Spodziewam się na tem zarobić kilkanaście tysięcy, a przecież lepiej, że jeden z naszych zarabia, niż żeby to iść miało w kieszeń kolonistów niemieckich.

— Przewybornie! — zawołał Warzycki — w ciężkiej chwili spada na nas nagle 20.000 złr., a co ważniejsza, zdobywamy jak widzę, dzielnego kolegę. Z naszej dwójki tworzy się już trójka.

— Z Dzirytem już czwórka! — poprawił Grodziski.

— Masz racyę — rzekł Warzycki — nie godzi się nam opuszczać tego poczciwca, który zapewne ledwo dysze po upadku Grubera.

— I ja, choć w małej części, radbym się przyczynić do tej akcyi ratunkowej — przemówił Bombalski.

— Jutro jedziemy tedy do Dziryta!

— Zgoda — zawołali wszyscy.

— Jaka to jadnak szkoda — rzekł po chwili Stanisław — że mój szwagierek, książę Alfred, nie chce iść tąsamą, co my, drogą.

— Cóż chcesz — odparł Bombalski — Alfred w czepku się urodził. Niedawno jeszcze był bankrutem, teraz ma oczyszczone z długów Białogóry i pałac we Lwowie, a oprócz tego stałą dotacyę od księcia Jarosława. W dodatku społeczeństwo odkrywa w nim coraz nowe zdolności. Nie wysilił się nawet na mowę kandydacką, a został posłem na Sejm krajowy, teraz forytują go na marszałka powiatu, a kto wie, czy z czasem nie zostanie marszałkiem kraju.

— Co to, to nie — rzekł Warzycki — musiałby

wpierw naprawdę zmądrzeć, a przedewszystkiem przestać grać w karty.

— Obrażasz szwagierka, bo wcale nie jest głupim, ma nawet to, co w wielkim świecie bardzo popłaca: dobre ułożenie i niewątpliwy talent pozyskiwania ludzi półsłówkami i uśmiechami. Będzie dobrze reprezentował, a więc będzie pożytecznym.

— Nie wiedziałem, że mój szwagierek zdobył w kochanym sąsiedzie tak gorącego zwolennika.

— Odsłaniam jedynie zapatrywanie towarzystwa i dodaję, że i szersza opinia sądzi ludzi zazwyczaj z pozorów. Książę Alfred choćby żadnej rzetelnej pracy nie podjął i choćby zgrywał się w karty jak dawniej, będzie ciągle szedł w górę, byle tylko rzucił od czasu do czasu popularny jakiś frazes, byle się pokazał przy uroczystych okazyach w kontuszu i za pośrednictwem dzienników rozdzielił zręcznie na cele publiczne kilkaset złotych reńskich rocznie.

— Dajmy spokój księciu Alfredowi — rzekł Grodziski — jest on reprezentantem kierunku, który na szczęście coraz mniej zdobywa wybitnych jednostek.

— Ale utrzymuje się jednak, dzięki wybornej taktyce przywódców, którzy wolą nieme, a dobrze prezentujące się figury, jak ludzi energicznych, gotowych jeszcze zrobić wyłom w murze chińskim, jaki po dziś dzień otacza obóz starych konserwatystów. Szedłem z nimi dość długo razem — ciągnął dalej Bombalski — ale niepodobna mi było nie zatrzymać się w drodze, na której zagrażała mi zupełna ruina majątkowa. Lepiej „pracować,“ niż „reprezentować,“ lepiej iść razem z młodszą generacyą i z ludźmi czynu, bo mogę im przynajmniej usłużyć mojem doświad-

czeniem, niż tworzyć orszak ludzi, których nie przerobię i którzy mają się za tak doskonałych, że zgoła żadnej nie znoszą opozycyi.

— Co do nas — rzekł z uśmiechem Warzycki — zgadzamy się na wszelką opozycyę, byle dotyczyła przedmiotu i rozjaśniła drogę. Natomiast surowo karać będziemy dezercyę.

— A ja też od was nie myślę uciekać — odparł wesoło Bombalski.

XIV.

Poza granicami kraju.

Kiedy kolej podolska dała Sanockiemu zamówienie, przechodzące moralną skalę wszystkich fabryk galicyjskich w odniesieniu do wyrobów z żelaza, najżyczliwsi Sanockiemu wzruszali z powątpiewaniem głową, czyli potrafi się należycie wywiązać z tak trudnego zadania?

Rezultat jednak przeszedł wszelkie oczekiwania, gdyż oto okazało się, że Sanocki nietylko terminu nie chybił, nietylko w najdrobniejszych szczegółach zastosował się do wymagań kolei, ale nadto starannością i dokładnością roboty zdobył sobie uznanie władz rządowych i opinię sfer fachowych, że wyroby fabryki Sanockiego lepsze są od wyrobów fabryki Hofera, najpotężniejszej z pośród austryackich firm wyrobów z żelaza.

Wszystkie dzienniki galicyjskie uderzyły w róg tryumfalny.

Turski, Haczykiewicz i inni wybitni członkowie krajowej komisyi przemysłowej uginali się pod miłem brzmieniem pochwał, jakie i na nich spadały. Nawet

„Pukawka“ nie popsuła tym razem harmonii ogólnego zachwytu.

Przeciętny Galicyanin, przeczytawszy którykolwiek z tych pochwalnych artykułów, odnoszących się do wszelkich sukcesów Sanockiego, mógł był z dumą zawołać:

— Dzięki Bogu! jesteśmy nareszcie na najlepszej drodze! Przemysł nasz dźwigać się zaczyna, już i zagranicy możemy stawić czoło!

Jeden Sanocki, ochłonąwszy z pierwszego radośnego wrażenia, bo któregoż człowieka nie uciesza dodatnie jego pracy rezultaty, zmuszonym był zadać sobie pytanie: cóż dalej?

W dalszych konferencyach z Turskim i Haczykiewiczem nie spotkał się z tem pytaniem i obawiał go poruszyć. Panowie ci tak bardzo odbiegali od rzeczywistości, tak w najlepszej zapewne wierze planów snuli fantastycznych, że niepodobieństwem było ich przebudzić, pytając: co dalej.

Ale był człowiek, który nie wahał się tego pytania bez ogródki postawić, a był nim potężny rywal Sanockiego, fabrykant Hofer.

Rzucił on to pytanie w Wiedniu po dobrym obiedzie u Sachera, na który zaprosił Sanockiego, a rzucił z obojętnością milionera, pragnącego bez wielkiego zachodu uniknąć napotkaną przeszkodę, ale zdecydowanego zarazem pokonać ją z całą mocą bez względu, że to na razie pociągnie za sobą jakąś stratę.

— Co dalej? — odparł Sanocki — moja fabryka jest obecnie tak urządzona, że może przyjąć najpoważniejsze zamówienia.

Hofer uśmiechnął się:

— Na jakie zamówienia liczysz pan?

— W pierwszej linii na koleje państwowe.

— Nie wiem, czy będziesz w stanie podjąć się robót za cenę o 25 procent niższą?

— Byłoby to istotnie niepodobieństwem.

— Ja zaś wiem z dobrego źródła, że przy najbliższej licytacyi ofert ceny ogromnie spadną.

— Tylko jedna firma pańska mogłaby sprowadzić tak nagłe i tak znaczne obniżenie ceny. Byłoby to jednak wbrew interesom pańskiej fabryki.

— Najważniejszą rzeczą, kochany przyjacielu — odparł Hofer — aby fabryka była w ciągłym ruchu. Ceny wyrównają się z biegiem czasu.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, wypowiadasz mi pan walkę.

— Raczej przyjmuję walkę, bo mi pan ją wypowiedziałeś.

— Najuczciwszą drogą postarałem się o zamówienie; w tem przecież nie ma wypowiedzenia wojny.

— Postarałeś się o zamówienia w tej dziedzinie, w której moja fabryka wywalczyła sobie zbyt pewny i po cenach znośnych. Pańskie wystąpienie zarówno zbyt zmniejsza, jak i cenę naraża na nieprzewidziane fluktuacye, a to już jest więcej nawet jak wypowiedzenie wojny, to jest już samą wojną.

— Z mego stanowiska jednak.

— Pańskie stanowisko i położenie fabrykantów galicyjskich, cały zresztą stan waszego przemysłu nic nie obchodzi ani mnie, ani fabrykantów niemieckich. Na polu życia towarzyskiego witamy was serdecznie, jako kolegów; na polu pracy zawodowej widzimy w was jedynie konkurentów, których musimy zwalczać.

— Wszakże pole naszej pracy zawodowej tak rozległe!

— Poszczególne gałęzie waszego przemysłu jak nafta i wosk ziemny mogą wytworzyć sobie na zachodzie poważne drogi zbytu, atoli prawie wszystkie inne gałęzie waszego przemysłu nie mogą wcale z nami współzawodniczyć. Dla galicyjskiego przemysłu zachodnia Europa zamknięta.

Smutny to horoskop przyszłości.

— Przepraszam, ale to raczej wasze niedołęstwo, wasza nieopatrzność!

— Jakto?

— Macie przed sobą cały wschód.

— Który Rosya oddzieliła murem chińskim od całej Europy.

— A jednak i ja i niejeden z niemieckich przemysłowców przeszliśmy już przez ten mur bardzo szczęśliwie i mamy poważne zamówienia z Rosyi, Rumunii, Serbii, Bułgaryi i Turcyi.

— Rząd stoi za wami i popiera was swym potężnym wpływem.

— Rząd nas popiera, bo poznał całą doniosłość naszych usiłowań, ale nie pojmuję, dlaczegobyście i wy nie mieli wejść na tę drogę. Chyba nikt nas nie posądzi o brak niemieckiego patryotyzmu na tej podstawie, że utrzymujemy z Rosyą stosunki handlowe. Mogę pana zapewnić, że Niemiec dla żadnego ze szczepów słowiańskich nie żywi dziś sympatyi.

— Wiem o tem zbyt dobrze — rzekł Sanocki.

— A przecież — ciągnął dalej Hofer — staramy się przedostać do najodleglejszych zakątków słowiańszczyzny, aby wszędzie zapuścić korzenie naszej kultury i naszego przemysłu, naszego handlu, naszego wpływu. Nie domagamy się wcale, aby nam przyznawano wyjątkowe prawa lub uznawano naszą odrębność.

— Naturalnie! bo macie już niezawisłość polityczną.

— W Rosyi jesteśmy w temsamem co i wy, położeniu.

— Przepraszam, jesteście tam na stanowisku obcych poddanych, a my w charakterze zwyciężonych i nieprzejednanych.

— Powinniście tedy unikać wprowadzania polityki narodowej do spraw przemysłowych. Przemysł winien mieć swoją osobną politykę handlową, a pierwszą zasadą tej polityki jest: byle się zaczepić i korzeń raz zapuścić. Reszta już jest kwestyą czasu.

— Trudno zaprzeć się patryotyzmu! — rzekł z westchnieniem Sanocki.

— Ale nie trzeba na każdym kroku wyłazić z patryotyzmem i drażnić tem zawziętych nieprzyjaciół. Kupiec, który chce osiąść w większem mieście i zdobyć powodzenie, nie może z góry zapowiadać, że zamierza wyrugować wszystkich innych kupców tej kategoryi; a byłoby szaleństwem, gdyby Niemiec zakładając w Rosyi fabrykę, zapowiadał z góry, że chce Rosyę germanizować. Tak i dla was: każda nowa gałęź pracy, najmniejszy sklepik, to wzmocnienie stanowiska i wpływu, atoli wszelkie patryotyczne szyldy zabijają z góry wasze usiłowania na polu ekonomicznem, a przez tosamo uniemożliwiają jakiekolwieks sukcesa na polu narodowem.

— Radzisz więc pan, abym starał się na wschodzie o zamówienia dla mej fabryki?

— Zwracam jedynie uwagę pańską na wschód, gdyż wątpię, czy pan zdołasz tam cokolwiek w tej chwili przeprowadzić.

— Jeżeli powiodło się panu i innym fabrykantom niemieckim?

— Pan nie masz za sobą żadnej siły.

— A pan?

— Pominąwszy znaczniejszy kapitał zakładowy.

— Ani myślałem równać go z moim drobiazgiem! — rzekł z uśmiechem Sanocki.

— Mam jednak nadto za sobą solidarność wszystkich przemysłowców niemieckich. Czy pan rozumiesz, że to potęga i że z taką potęgą musi się liczyć i nasz rząd i każdy rząd obcy?

— Cóż więc radzisz mi pan uczynić?

— Przystąpić do naszego kartelu.

— Czemże będę przy was?

— Uratujesz pan byt swojej fabryki.

— I nigdy już śmielej nie będę mógł rozwinąć skrzydeł.

— Wcale pana nie zmuszam do wspólnego z nami działania, atoli dodaję zarazem, że nie będziemy się wahać pójść przeciw panu.

— Rozumię to bardzo dobrze.

— Jak widzisz — kochany przyjacielu — sprawa jest ważną, chciej się więc zastanowić i za kilka tygodni dać mi odpowiedź. Oto moje warunki.

To mówiąc, podał Hofer Sanockiemu projekt umowy.

Sanocki przeczytał poszczególne punkta i rzekł z westchnieniem:

— Ależ to niemal zrzeczenie się wszelkiej samoistności z mej strony!

— Do pana należy decyzya! — odparł na to Hofer, żegnając się z Sanockim.

W kilka dni potem Sanocki był we Lwowie i naradzał się w tej sprawie z Turskim i Haczykiewiczem. Ten ostatni nie miał o tym przedmiocie żadnego zdania i ostrzegał jedynie przed spółką z Niemcami.

— Hofer opanuje zupełnie pańską fabrykę — mówił z naciskiem.

— To rzecz jasna — zawołał Turski — ale jak temu zapobiedz?

— Na to już nie poradzę.

Na ustach Turskiego zaigrał uśmiech, który mówił bardzo dobitnie: „a widzisz, filarze przemysłu krajowego, jak jesteś głupim i ograniczonym“.

Haczykiewicz nie zauważył jednak tego uśmiechu, a żegnając Sanockiego, dodał z taką powagą, jakby odkrywał przed nim nowe jakieś, nieznane drogi powodzenia i dobrobytu:

— Idź pan z godnością naprzód o własnych siłach!

— Byłoby mi najprzyjemniej pójść tą drogą — zauważył Sanocki do Turskiego po odejściu Haczykiewicza — atoli nie mogę podejmować na własną rękę walki z Hoferem.

— Nie ma co mówić — zakonkludował Turski-byłoby to szaleństwem.

Rady jednak praktycznej nie podał żadnej. Sanocki czuł, że może liczyć na platoniczną życzliwość członków krajowej komisyi przemysłowej, którzyby chętnie podzielili jego tryumfy, ale którzy nie dostarczą mu w walce skutecznej pomocy, bo ich umysł nie obejmuje szerszych horyzontów.

Niejeden, pozostawiony samemu sobie w tak ciężkiem położeniu, byłby stracił fantazyę i przyjął bez wahania ofiarowane przez Hofera jarzmo. Sanocki miał jednak nieugiętą energię, którą wyrobił w sobie pod wpływem ciężkich przejść, gdyż fabryki swojej nie odziedziczył po przodkach, ale wystawił ją wysiłkiem własnej pracy.

Postanowił tedy spróbować szczęścia, czy mu się nie uda uzyskać poważnego zamówienia z poza granic

kraju i w ten sposób otworzyć podstawę do samoistnego rozwoju fabryki. W Królestwie Polskiem i w głębi Rosyi budowano nowe drogi żelazne, a kilka fabryk niemieckich otrzymało już stamtąd zamówienia. Sanocki postanowił wywalczyć dla siebie choćby małe na początek zamówienia, byle tylko nawiązać stosunki, któreby zapewniły jego fabryce nowe i rozległe miejsce zbytu.

Uzyskawszy przeto poświadczenie generalnej dyrekcyi kolei państwowych, że z otrzymanych zamówień wywiązał się nad wszelki wyraz pomyślnie, a dokładnością w opracowaniu szczegółów zasłużył sobie na zupełne uznanie, wyjechał Sanocki dnia pewnego do Warszawy.

Wjeżdżał do syreniego grodu z dobrą miną, bo liczył na to, że gdy fabrykanci niemieccy znajdowali tu bardzo łaskawe przyjęcie, to i on nie napotka żadnych niechęci, mając liczniejsze tytuły do życzliwości ziomków, zajmujących w dziedzinie przemysłu wybitne i naczelne stanowiska. Atoli już na trzeci dzień doszedł do przekonania, że o jakichkolwiek względach nie może być mowy. Wszystkie osobistości, do których się zwócił, odpowiadały mu półsłówkami, nie czyniąc mu żadnych nadziei, a raczej starając się go w zupełności zniechęcić i nakłonić do zaniechania dalszych zabiegów.

Niemało tem dotknięty, gdy przytem nawet w stosunkach towarzyskich doświadczył raczej chłodu aniżeli serdecznego ciepła, jakiego od tutejszych ziomków swoich oczekiwał; zapytał wreszcie jednego z najwybitniejszych, jaka tego wszystkiego, przyczyna?

— Bardzo prosta — odparł zagadnięty — jesteś Galicyaninem!

— Nie przypuszczałem — rzekł Sanocki — aby to było czemś odstraszającem.

— Wyrobiliście sobie u nas jak najgorszą markę. Przedewszystkiem nie można nigdy na tem polegać, co nawet wasi najwybitniejsi mówią i piszą. Tyle na siebie nawieszacie zazwyczaj szkiełek i blagi, że gdy nawet przyjdzie od was człowiek prawy i zacny, niepodobna mu przecie dowierzać. Przytem, mimo swobód autonomicznych, sobie samym nie umiejąc dać rady, narzucacie nam wiecznie swoją pomoc w sposób bardzo nam niemiły, a nawet wręcz szkodliwy.

— Tego już nie pojmuję — zauważył Sanocki.

— A jednak rzecz ta nie bardzo trudna do zrozumienia. Bardzo często po waszych odwiedzinach pojawiają się artykuły w gazetach galicyjskich, które przedstawiają nasze stosunki w najfałszywszem świetle, kompromitując pochwałami wiele osobistości, naszemu społeczeństwu potrzebnych, a wywołując obelgami i niepotrzebnem drażnieniem wybitnych czynowników rosyjskich nowe represslia sfer decydujących i coraz większą zapalczywość prasy rosyjskiej. W ten sposób wasze gazety zamiast nam pomagać, pogarszają tylko nasze ciężkie położenie. Jakiś przygodny wasz korespondent za stek frazesów, a częstokroć kłamstw i banialuków, zarobi czasem pięć do dziesięć złotych reńskich, bo nie więcej; a my tymczasem ze swej strony gorzkiemi płacimy za nie łzami, gdyż niejednokrotnie już były po takich korespondencyach nagłe śledztwa, kary, zsyłki administracyjne i tajne dla cenzorów instrukcya. Dlatego też jak się do nas zbliżacie, skóra drży na nas.

— Ubolewam nad tem wszystkiem — odezwał się Sanocki — ale niepodobna, abym pokutował za lekkomyślność, czy złą wolę innych.

— Nie będziesz pan pokutował odkąd przejrze-

liśmy jego papiery i pozbierali o panu relacye osób wiarogodnych.

— Wybornie! więc nie dość, że rząd papiery bada, w dodatku i panowie to czynicie.

— Zrozumże — kochany panie — że spacer na Sybir nie zalicza się do przyjemności, zaś z niczyjego nosa z góry nie poznać, jakie ma dana osobistość w sercu zamiary. Wszakże strzeżonego Pan Bóg strzeże. Oczywiście jednak, że gdy nasza ufność zdobywa trwalszą podstawę, staramy się każdemu z was z całą serdecznością we wszystkiem usłużyć.

— Jakież mam szanse?

— Bardzo słabe. Nikt dotąd nie słyszał o pańskiej fabryce, a jeżeli przedstawiasz gwarancye osobistej uczciwości, nie może to wystarczyć przy zawarciu interesu milionowego.

— Sądzę, że namiestnik Galicyi nie odmówi poparcia.

— Może ono mieć wielkie znaczenie w Austryi, ale u nas nie ma prawie żadnego. Chciej pan zresztą zrozumieć, że w dziedzinie przemysłu protekcya nie może wyłącznie roztrzygać, ale firma, jej stanowisko, wpływ i powaga. Czy jest więc w Galicyi jedna instytucya przemysłowa, którąby swoim wpływem młodą fabrykę pańską osłoniła.

— Takiej instytucyi dotąd nie mamy.

— Jakto, po dwudziestu pięciu latach autonomicznych rządów?

— Niestety!

— Nie możesz pan więc wejść jako jednostka poważna i znacząca w szeregi współkonkurentów, ale musisz pan używać dróg pośrednich i zdaleka zachodzić, aby choć języka zasięgnąć.

— Informacyi nikt mi, chyba w Petersburgu, nie odmówi.

— Raczej nikt ich panu nie udzieli bez znacznego wynagrodzenia, bo dobre informacye, to pewna droga do celu, a ten cel spoczywa w ręku firm poważnych, które od lat pracują nad utrwaleniem swego wpływu i wywalczeniem zbytu dla swych wyrobów.

— Do kogoż mam się zwrócić w Petersburgu?

— Dam panu list polecający do dwóch dygnitarzy przy zarządach kolei prywatnych i do bankiera, ale niestety, żydowskiego. Żydzi mają atoli spryt nadzwyczajny, ten bardzo może być panu pomocnym. W każdym jednak razie ostrzegam pana, że prawdopodobnie nic nie osiągniesz.

— Liczę się do ludzi twardych — rzekł Sanocki — niechętnie odstępuję rozpoczętego dzieła; spróbuję więc.

Jakoż wieczorem tegosamego dnia odjechał Sanocki na Wilno do Petersburga i na trzeci dzień poraz pierwszy w życiu znalazł się w stolicy potężnego państwa, która jednak nie jest i nie będzie nigdy stolicą i metropolią przemysłowego i fabrycznego ruchu.

Sanocki zajechał do hotelu „Gastinnica Francya“ przy ulicy Bolszaja marskaja. Mieszkał więc w samem centrum miasta, które wydało mu się tak ogromnem, że nie przypuszczał, aby mógł się w niem choćby zoryentować. Postanowił więc rozmawiać się z osobami, do których otrzymał polecenia i ustanowiwszy odpowiedniego reprezentanta swej firmy na całe cesarstwo rosyjskie, odjechać po kilku dniach do domu. Zdawało mu się, że przyjechał do Wiednia, Paryża lub Londynu, że w ciągu tygodnia zdoła w Petersburgu, jak w każdem z tych miast, pozałatwiać interesa, zwiedzić osobliwości i odjechać z wiązanką miłych wspomnień.

Zapomniał jednak, że co kraj to obyczaj, i że nic trudniejszego, jak podjęcie dzieła w mieście, którego się wcale nie zna.

Zaraz pierwszego dnia wszystko szło Sanockiemu na opak. Z osób, do których miał polecenia, nikogo nie zastał w domu i zmęczony, zaszedł pod wieczór do niemieckiej restauracyi Leinera przy Newskim prospekcie. Tu ledwo usiadł, gdy go jakiś młody pan zagadnął w polskim języku. Coza radość, nie mając znajomego w tak wielkiem mieście, nagle go odszukać. Nieznajomy wylegitymował się nagle zręcznie jako znajomy Sanockiego z Warszawy, a choć nasz przemysłowiec nie przypominał już sobie odnośnych szczegółów, serdecznie uścisnął podaną rękę, która miała być w dodatku ręką jakiegoś urzędnika ministeryalnego. Zdobycie alianta w ministerstwie w pierwszym dniu pobytu w Petersburgu należało w każdym razie położyć na karb wyjątkowego szczęścia.

Sanocki, w ten sposób to oceniając, zapraszał też serdecznie nowego alianta na kolacyę, atoli Bolesław Dołęga Kropaczewski, bo takie nazwisko nosił funkcyonaryusz ministeryalny, nie chciał w żaden sposób przyjąć jakiegokolwiek traktamentu od ziomka „ze stron tak odległych“, a nawet ze swej strony zaprosił Sanockiego, aby mu wyświadczył honor i przysiadł się do stolika, przy którym Kropaczewski w chwili jego wejścia zajmował miejsce.

Przytem zarówno odmowę jak i zaproszenie swoje wypowiedział Kropaczewski w tak ujmujący sposób, że niepodobna było nie przyznać mu słuszności. Sanocki uścisnął przeto serdecznie rękę pana Bolesława i rzekł do niego, przenosząc się już do drugiego stołu.

— Może jednak towarzysze pańscy będą się krzywić, że obcy człowiek popsuje im zabawę.

— Co znowu! będą się cieszyć z tak miłej znajomości.

To mówiąc, ujął pan Bolesław Sanockiego za rękę i przedstawił swoim znajomym. Było ich trzech. Najpierw niski, otyły jegomość z wyrazem twarzy człowieka obytego z życiem, który jednak nie miał w sobie wzięcia wielkiego pana, ale raczej spanoszonego pokojowca z domieszką wszystkich cech wyuzdanego lumpa. Zarekomendował się on biletem wizytowym, z którego dowiedział się Sanocki, że ma do czynienia z jakimś Chrząstkiewiczem funkcyonaryuszem, ale „bywszym“ to jest byłym „ministerstwa imperatorskiego dworu.“ Drugi jegomość przedstawił się jako obywatel z Królestwa Polskiego, który przyjechał do Petersburga w sprawach majątkowych, trzeci wreszcie Morozow, Rosyanin, był „prokurorem“ sądowej „pałaty.“ Całe to grono z panem Bolesławem na czele zabawiało się bardzo wesoło, a Chrząstkiewicz był nieocenionym w opowiadaniu bardzo tłustych dykteryjek. „Czyszczena“ z dodatkiem kilku kropel, polepszających trawienie, odchodziła w takiej ilości, jakby przy stole siedziało nie pięć, ale piętnaście osób; godzi się jednak zaznaczyć, że rosyjska oczyszczona prosta wódka nieskończenie jest lepszą od galicyjskich żółtych, zielonych, czerwonych, francuskich i angielskich mikstur, i że ją w całej Rosyi piją w znacznych ilościach, zagryzając pierożkami o niezliczonej ilości gatunków. Widocznie zaś nie szkodzi taka wódka nikomu, bo Sanocki nieprzyzwyczajony do trunków, po wypiciu dziesięciu kieliszków nie miał nawet bolu głowy, a Morozow go zapewniał, że takich wódek jest w stanie wypić trzydzieści, a po piąćdziesiątym nie uczuje się pijanym.

— Co tam będziecie o takich rzeczach bajać —

zawołał Chrząstkiewicz — korzystajmy lepiej z czasu, bo to dopiero ósma i pokażmy szanownemu ziomkowi z Galicyi arkadyę.

— Co to jest arkadya? — pytał Sanocki.

— Cudowna miejscowość, istny raj, stąd godzina drogi.

— Jedźmy! — zadecydował Morozow.

Zawołano płatniczego. Rachunek za kolacyę wynosił 34 ruble.

Sanocki chciał zapłacić, atoli powstrzymał go pan Bolesław, oznajmiając, że obraziłby tem śmiertelnie Chrząstkiewicza, który istotnie całą należytość sam zapłacił.

Była to zima. Wynajęto przeto dwoje sanek i Newskim prospektem koło pałacu admiralicyi i zimowego dworca przez Petropawłowsk wyruszono do arkadyi.

Sanocki jechał z Chrząstkiewiczem.

W czasie drogi Chrząstkiewicz zręcznie go za język ciągnął, kiedy i na jak długo do Petersburga przyjechał, jaką to ma fabrykę w Galicyi, jakie chce pozyskać zamówienia, do kogo ma wreszcie rekomendacye, a Sanocki rozmawiając z ziomkiem bardzo uprzejmym, który płacąc za kolacyę, dał poznać, że jest zamożnym i bezinteresownym, szczerze i otwarcie wszystko mu opowiadał.

— Dobrze się złożyło, żeś mnie pan poznał, rzekł Chrząstkiewicz już pod koniec drogi, Petersburg trzeba znać gruntownie, aby tu jakiekolwiek zawierać interesa. Z góry zaś uprzedzam, że polecenia, jakie pan ze sobą przywiozłeś, na nic się nie przydadzą.

— Nie zastałem przytem — odezwał się Sanocki — ani jednej z osób, do której mam polecenia.

— Nic pan na tem nie straciłeś; wszystkie razem

nie mają za grosz wpływu, mogą jedynie popsuć interes.

— Jakże się wziąć do rzeczy? — pytał Sanocki — możeby przez pana Bolesława?

— Ależ to wiercipięta i nie więcej. Z żydów pochodzi, a tytułuje się Dołęgą i dlatego, bojąc się mnie, lata za mną, jak kot z pęcherzem.

— Podobno jest w ministerstwie?

— Jest istotnie jakimś agentem w oddziale taryfowym ministerstwa komunikacyi, ale co to za pozycya? Cała jego wartość, że jest niezły chłopak.

— A Morozow?

— Gruba ryba — mój przyjaciel od ćwierć wieku. Ale i on panu nie poradzi. Są do tego inni. Pomyślę już ja nad tem, jak rzecz przeprowadzić.

Zajechali przed arkadyę i weszli do wnętrza. Była to olbrzymich rozmiarów restauracya, w której mogło się wygodnie pomieścić parę tysięcy osób. Duży a niepokaźny z zewnątrz budynek z rozległym i wspaniałym parkiem, który miał w głębi teatr i inne na czas lata przyjemności. W porze zimowej park ten nie mógł nikogo przyciągać, ale przyciągał natomiast ogród zimowy, który się znajdował wewnątrz budynku obejmującego restauracyę, piękną salę balową, szeregi apartamentów najdziwaczniej urządzonych, liczne gabinety oddzielne i niespodzianki w formie grot, sztucznych wodospadów, mostów zwodowych, ocienionych drzewami zaułków i całego labiryntu ścieżek. W całem urządzeniu przewodniczyła najwidoczniej jedna myśl: oddziaływać na wyobraźnię i zapalać żądze pożywania z drzewa wiadomości dobrego i złego. A takich drzew w arkadyjskim zimowym ogrodzie było bardzo wiele, a niektóre z nich przedstawiały się bardzo ponętnie. Były tam przedstawicielki wszystkich

niemal narodów: Rosyanki, Niemki, Czeszki, Węgierki, Greczynki, Indyanki, a wśród powodzi sztucznych i prawdziwych kwiatów, klejnot jakby z tajemniczych ogrodów padyszacha wykradziony, w całem słowa tego znaczeniu prześliczna cyganka.

— To jest królowa cyganów! — rzekł z powagą Chrząstkiewicz, zasiadając z towarzyszami na werandzie pierwszego piętra, skąd można było widzieć doskonale produkcye, jakie się odbywały w zimowym ogrodzie pięknej arkadyi.

— Albo jest tu więcej cyganów? — pytał Sanocki.

— Cały dwór królowej — razem trzystu.

— Cóż robią?

— Spiewają, jeśli otrzymają rozkaz lub pozwolenie królowej.

— Warto ich posłuchać, czy będą spiewać?

Chrząstkiewicz się zaśmiał.

— Pozwolenie królowej — rzekł — nie trudno uzyskać, trzeba tylko zapłacić.

— Ile?

— Rubla każdemu cyganowi.

— Czyli trzysta rubli.

— Jeżeli cały dwór spiewa trzysta i za jedną tylko piosenkę.

— Ależ to szalone ździerstwo!

— Byli tacy, co tu i majątki potracili.

— To okropne!

— Pamiętaj pan, że Petersburg, to „piekło narodów“, istne „zatrzęsienie“. Rosyanin ma szeroką naturę.

Morozow podniósł w tem miejscu głowę i chociaż po polsku małoco umiał ozwał się tym językiem, mieszając mnóstwo wyrazów rosyjskich.

— Tylko nie gadajcie na ruskich, Iwan Pawłowicz — mówił zwrócony do Chrząstkiewicza — ty uważaj, żeś był przy imperatorskim dworze, i że ja twój przyjaciel. Niech pan Polak wie, dodał wskazując na Sanockiego, że każdy ruski ma serce otwarte, byle go nie naruszano.

— A któż was narusza? — pytał z ironią Chrząstkiewicz.

— To któżby, jeśli nie panowie Polaki.

— Jak zaczęli sobie przymawiać, zdawalo się, że się pozabijają, ale wypiwszy znowu szeregi wódek, pogodzili się przecie.

Morozow wycałował nawet Chrząstkiewicza, a zamówiwszy cały chór cyganów, kazał podać „szampańskie“ na uświęcenie zgody. Sanocki truchlał tylko na myśl, co taka feta w arkadyi będzie kosztować. Odbierało mu to humor do tego stopnia, że nawet chór cyganów, który bardzo pięknie spiewał, nie zdołał go rozruszać.

Morozow zachęcał go do kieliszka.

— Polaki, oni zawsze spiskują naprzeciw ruskim, ale ja ich lubię. Niech powie Iwan Pawłowicz.

— Ale jakbyś nas dostał w swoje ręce, tobyś nas podusił.

— Da, da, po służbie! — zawołał podochocony Morozow.

Sanockiego ciarki przeszły na myśl, że rozpocznie się jeszcze zawzięta kłótnia na temat polityki, i że najfatalniejsze mogą stąd wyniknąć następstwa. Na szczęście nadeszła Greczynka, która wprowadziła Morozowa do „podziemnego labiryntu“. Obywatel z Królestwa smalił opodal holewki do jakiejś kwiaciarki, a Dołęga Kropaczewski przepadł w sztucznym wodo-

spadzie. Chrząstkiewicz został przy stole samnasam z Sanockim.

— Nie potrzebujesz się pan obawiać Morozowa — odezwał się pierwszy z nich — w Petersburgu jest teraz w modzie panrosyjski szowinizm, więc i on krzyczy, jak zresztą wszyscy krzyczą.

Sanocki wyraził nadzwyczajne zdziwienie z powodu kosztownego trybu życia w Petersburgu.

— To, co pan widzisz, jest zaledwie odrobiną złotej strugi, jaka się tu bezustannie przelewa. Pomyśl pan jednak, że Petersburg, to olbrzymie miasto przyjezdnych, którzy tu napływają z ogromnego rosyjskiego imperyum, aby pozałatwiać milionowe transakcye. Tu się da wszystko przeprowadzić, ale trzeba to odpowiednio opłacić.

Sanocki doznał uczucia, jakby go coś ciągnęło za rękaw, szepcąc do ucha: zapakuj manatki i wracaj do Galicyi coprędzej.

Gdy po godzinie 3. w nocy odjeżdżali z arkadyi, cały rachunek, wynoszący 160 rubli, zapłacił Morozow.

— Mówiłem panu — rzekl Chrząstkiewicz, wsiadając z Sanockim do sanek — że to szerokie natury. Polecą za panem w ogień, jeśli zastosujesz się do ich usposobienia. Powiadam więc panu: zrobisz interes „pałuczysz“ zamówienie, byle z pana nie był „miałkij“ człowiek.

— Co to znaczy? — pytał Sanocki.

— Tyle co kramikarz liczący się z każdym centem.

Sanocki, znalazłszy się wreszcie w hotelu, powiedział sobie:

— Szkoda czasu, z tymi ludźmi nic nie zrobię, tu trzebaby tysiące wydać.

Że jednak miał obowiązek zrewanżować się Chrząstkiewiczowi i Morozowowi, odwiedził ich więc

nazajutrz i zaprosił na obiad do sławnego restauratora petersburgskiego „Cubat“. Morozow znów zaprosił go na balet do maryjskiego teatru. W toku dalszych wspólnych zabaw Chrząstkiewicz pracował niby nad interesem, składał Sanockiemu bardzo piękne relacye i pożyczył zręcznie nieco pieniędzy. Sanocki nadto płacił coraz częściej rozmaite fety. Wydawszy w ten sposób wszystkie, jakie przywiózł pieniądze, zmuszonym był udać się do bankiera, do którego z Warszawy miał polecenia, aby za jego pośrednictwem sprowadzić sobie z domu dobry sukurs. Chrząstkiewicz bowiem zapowiadając lada dzień zawarcie milionowych transakcyj, przedłużał ciągle jego pobyt w Petersburgu.

Bankiera, do którego miał list, Sanocki nie zastał, ale zastał natomiast jego kuzyna, Leona Lilienkranza, znakomitą finansową głowę, i jak się zdawało, wybornie znającego miejscowe stosunki. Tenże załatwiwszy drobną sprawę telegraficznej przesyłki pieniężnej, wdał się z Sanockim w dłuższą rozmowę, z której tenże przekonał się, że żydzi, choć ciemiężeni obecnie w państwie rosyjskiem, mają jednak pod postacią licznych banków i kantorów swoje w Petersburgu reprezentacye, a przez nie czucie ze sprawami rządowemi, sięgające w głąb spraw nawet bardzo zawiłych. Polacy zaś nie mają w Petersburgu ani jednego człowieka niezawisłego a wpływowego, ani jednej rodziny magnackiej, którаby podtrzymywała stosunki towarzyskie, dla przebiegu niejednej sprawy bardzo doniosłe; dlatego też i tu nawet na żydach się opierają i przez swe niedołęstwo opierać muszą.

Doszedł też Sanocki do przekonania, że źle zrobił, nie zużytkowawszy wszystkich listów polecających, jakie ze sobą przywiózł, między innymi listu do na-

czelnika jednej z prywatnych dróg żelaznych, pana Łaszewskiego.

Postanowił więc tegosamego jeszcze dnia błąd swój naprawić.

Łaszewski przyjął go chłodno, ale życzliwie. Z pierwsych słów zaraz widać było, że to człowiek poważny, głębiej myślący, który rad był szczerze wskazać drogę prowadzącą do celu.

Dowiedziawszy się o staraniach Chrząstkiewicza, ramionami wzruszył.

— Macie w Galicyi — rzekł — bardzo stare wiadomości o tutejszych stosunkach, które ciągłej ulegają zmianie. W dawniejszych czasach można tu było niejedno zrobić pieniądzmi, dziś jednak, droga ta więcej niż ryzykowna. Ci, co żądają i biorą pieniądze, nie posiadają decydującego wpływu, a w traktamentach i hulankach biorą udział jedynie ludzie bez wszelkiego wpływu. Ktokolwiek zaś protegować chce galicyjskiego przemysłowca, musi go starannie przebrać w mundur austryacki, bo jako Polak nie może liczyć na jakąkolwiek życzliwość, dopóki stosunek rządu do Polaków radykalnej nie ulegnie zmianie, co na razie jest wykluczone.

— Czy starania Chrząstkiewicza na nic przydać się nie mogą?

— Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć — rzekł Łaszewski — bo ani człowieka nie znam, ani dróg, jakiemi zwykł chodzić. Jeżeli ma stosunki, może ostatecznie coś wykołatać, chociaż to pana niewątpliwie zbyt wiele będzie kosztować. Zdaje mi się jednak, że to będzie jeden z tej kategoryi, co polują na przejezdnych, i ściągnąwszy z nich skórę, z niczem wyprawiają.

Sanocki już wychodząc, zapytał jeszcze, jakie ma szanse przemysł galicyjski w państwie rosyjskiem.

— Rosyanie mają stosunkowo mało przedsiębiorczego ducha, a stąd na polu fabrycznem i przemysłowem posługują się obcemi siłami. Fabrykanci i przemysłowcy galicyjscy powinniby przeto koniecznie nawiązać tu bliższe stosunki, a chociaż wspomniałem o wielkiej dla Polaków niechęci, możnaby temu zapobiedz, traktując rzecz li tylko ze stanowiska interesu; ze względu na korzyść, jakąby Rosya odnieść stąd mogła. Wracajże pan do kraju — dodał Łaszewski — i staraj się wywołać rozumną i dobrze obliczoną akcyę tych wszystkich przemysłowców waszych, którzyby chcieli tu znaleść pole do pracy. Sądzę, że osiągniecie przynajmniej tyle, ile już Niemcy osiągnęli, a przy sprycie i roztropności możecie uzyskać znacznie więcej.

— Cóż mam zrobić z Chrząstkiewiczem?

— Zapomnieć o nim i o pięknej arkadyi, bo wybiła już godzina na dziejowym zegarze, że już i w Rosyi z realniejszego stanowiska zapatrują się na sprawy przemysłowe. Ministerstwo chce przeprowadzić zasadę, aby wszystko zamawiano w kraju, ale że nie wszystko można tu zamówić, przeto otwarte są wrota dla przemysłowców obcych, ale przedewszystkiem dla firm solidnych, a taką cechę może wam nadać tylko silny, dobrze zorganizowany związek. Powróciwszy do Galicyi pracuj nad tem, a nie żałuj wycieczki do Petersburga: nowe zobaczyłeś horyzonty i zrekongnoskowałeś teren. Teraz będziesz mógł śmiało przystąpić do działania.

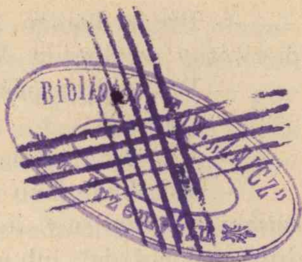
W tydzień po tej rozmowie, Sanocki pracował w swojej fabryce.

Morozow, gdy mnie dnia pewnego nie zastał już w hotelu Francuskim — rzekł do Chrząstkiewicza:

— Pan Polak drapnął, a nie mówiłem, że to człowiek „miałkij“.

— Powiedz raczej: morowy — odparł zagadnięty — bo się prędzej w sytuacyi zoryentował, aniżeliśmy przypuszczali.

— Da, da — mówił Morozow — nawet w arkadyi głowy nie stracił, ale z tem wszystkiem „lubieżnyj“ Iwan Pawłowicz, ja was „lublu“. Każ przynieść „szampańskie“, wypijmy zdrowie „miateżników“.



XV.

Syndykat dla spraw przemysłu i kupiectwa polskiego.

„Excelsior! — zawiązujemy syndykat! Przybywaj natychmiast!"

Tych kilka słów zawierał bilet Grodziskiego, zapraszający mnie dnia pewnego w półtora roku po przedstawionych już wydarzeniach do hotelu Georga.

W kwadrans po otrzymaniu biletu ściskałem już dłoń Antosia i jego przyjaciół. Był Staś Warzycki, hr. Bombalski, Sanocki, Dziryt, Zarzycki, Korsuń, Iliński i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Duży pokój o dwóch oknach zaledwie mógł wszystkich pomieścić. Gwarno też było jak w ulu, a mimo otwartych okien dym z cygar i papierosów obejmował niebieskawą mgłą głowy rozmawiających.

Narada jeszcze się nie rozpoczęła.

Skorzystałem z tego, aby pomówić z Antosiem.

— Czyliż istotnie zakładacie syndykat? — zapytałem.

— Nie inaczej.

— Jakżeż do tego przyszło?

— Drogą bardzo prostą. Pamiętasz mój alians pierwotny ze Stasiem Warzyckim?

— Do którego później przystąpił Bombalski.

— I Dziryt.

— No, tego, toście poprostu z biedy wyciągneli.

— Mógłby tosamo o nas powiedzieć, gdyż wszyscy czterej połączyliśmy się nie w tym celu, aby jeden drugiemu coś dał, lub na rzecz innych ofiary ponosił...

— Przecież jedni mieli mniej, drudzy więcej, jednak nie wytykając palcami, byli w bardzo ciężkich kłopotach, a tacy jak ty i Warzycki mieli silne podstawy we własnym majątku.

— Poddawszy wzajemnej kontroli stan naszych interesów w granicach stanu czynnego, a więc bez jakiegokolwiek ryzyka, mogliśmy kapitał chwilowo u jednego bezczynny zatrudnić u drugiego, i w ten sposób dochód z każdej fabryki znacznie powiększyć, nie obawiając się zgubnych następstw kredytu, nieopartego na tak sumiennej i dokładnej kontroli. Po upływie roku przekonaliśmy się, że rezultat przewyższył najśmielsze oczekiwania.

— Na razie stwierdzam — wtrąciłem — że znacznie lepiej wyglądasz.

— Otóż to pierwszy rezultat: spokój, a więc zdrowie i ochota do dalszej pracy, bo każdy z nas wie dobrze, że poza nim stoi trzech gotowych do energicznej i solidarnej akcyi.

— Ależ, już tosamo — zawołałem — ogromnym jest sukcesem.

— Nie potrzebuję ci chyba tłomaczyć — rzekł Antoś — wiele stąd na każdego z nas spłynęło korzyści, gdy każdego z nas miał na zawołanie gotowy pieniądz na tani procent, a to bez pośrednictwa i stosunków z lichwiarzami, gdy dalej wspólnem

staraniem mogliśmy ulepszyć i uprościć nasze administracye i ustanawiając wspólnych agentów, zapewnić produktom naszym znacznie większy odbyt, gdy wreszcie nawet w stosunku do robotników i do władz podatkowych wzajemne doświadczenia ogromny plon wydały.

— Cóż jest jednak bezpośrednim powodem rozszerzenia waszej akcyi?

— Sprawa Sanockiego.

— Ta sprawa wymaga znacznie więcej jak dostarczyć może przyjacielski związek czterech obywateli fabrykantów.

— To też trzeba rozszerzyć nasze koło!

— Czy ta myśl nie zanadto ryzykowna?

— Przenigdy! — zawołał Antoś z zapałem — bo podstawą syndykatu kontrola. Kto chce korzystać z potęgi solidarności, musi odkryć karty, a znając gruntownie aktywa i pasywa, każdego ze stowarzyszonych można bez ryzyka kredyt rzeczowy zastąpić osobistym i udzielać go i na wkłady i na rozszerzenia działalności.

— W miarę jednak jak syndykat obejmować będzie coraz szersze koła przemysłowców i kontrola będzie utrudniona.

— I na to obmyśleliśmy sposób. Syndykat będzie obejmował cztery działy główne, niejako departamenta: przemysł fabryczny, przemysł rolny i drobny, rękodzieła, kupiectwo. Każdy zaś z tych departamentów składać się będzie z szeregu kół pomniejszych, obejmujących od czterech do dziesięciu firm. Te pomniejsze koła nie będą łączyć firm tegosamego gatunku, gdyż to w niektórych tylko przypadkach będzie możliwe i interesem wskazane; w powszechności zaś kojarzyć będą firmy uzupełniające się, których egzystencya

i pomyślny rozwój zależy po części choćby na wzajemnym tych firm stosunku.

— A jeśli tych cztery, czy dziesięć firm należących do poszczególnego koła zmówi się na szkodę kół innych.

— To nie może nigdy nastąpić, gdyż firmy kół poszczególnych będą wzajemną nad sobą prowadzić kontrolę i na tej podstawie w granicach swej możności z całą energią i gorliwością popierać swe interesa, a każdy z departamentów będzie prowadził kontrolę działalności kół poszczególnych i na tej podstawie wyjednywać dla nich potrzebne znaczniejsze środki u głównej rady syndykatu, której delegaci będą mogli raz jeszcze wszystko zbadać. Ta więc potrójna kontrola powinna chyba wystarczyć, zwłaszcza, że będzie ona tak urządzoną, iż poszczególny członek syndykatu we własnym kole nigdy z góry nie będzie wiedział, kto na kontrolę przybędzie, a cóż dopiero mówić o dwóch wyższych stopniach kontroli.

— Gdzież znajdziesz tylu ludzi?

— Zapominasz, że do syndykatu należeć mogą tylko rolnicy, przemysłowcy, rękodzielnicy i kupcy, więc w każdym departamencie będą same fachowe siły, a co najlepsze i najdoświadczeńsze należeć będą do zarządów i rad, zmieniających się co roku w ten sposób, że wybór umożliwi uczestnictwo w radzie przez dwa bezpośrednio po sobie następujące lata. Pierwsza główna rada syndykatu będzie urzędować w niezmienionym komplecie przez dwa lata, aby nową instytucyę ustalić i na dobre tory popchnąć.

— Kontrola jednak, która dla niejednego stanie się podstawą lepszej przyszłości, dla wielu zasobniejszych połączoną będzie z niewygodą odsłaniania swych kart, czego nikt chyba chętnie nie czyni, zwłaszcza

wobec władz podatkowych, gdyż niepodobna wedle sukcesów jednego roku płacić, dzięki takiej kontroli znacznych podatków w czasie najgorszych lat, kiedy nie może być mowy o czystym dochodzie.

— Rozumujesz trafnie, ale przypuszczając, że to ostatni zarzut, z tem większym naciskiem oświadczam, że nie obawiamy cię wcale tych skrupułów u członków syndykatu, gdyż kontrola będzie najściślejszą tajemnicą urzędową, której naruszenie podlegać będzie najsurowszym karom; a przytem niepodobna przypuścić, aby członek mogący korzystać z dobrodziejstw syndykatu, rozporządzający na tej podstawie solidarnością potężnej instytucyi, naruszał kardynalną jej istotę przez takie odsłanianie kart, z którego ostatecznie odsłaniającemu nicby nie przyszło, a dotkniętemu tem niewieleby zaszkodziło, gdyż doświadczyłby tem gorliwszej opieki ze strony rady głównej.

— Szczęść wam Boże! — odezwałem się do Antosia — ściskając serdecznie jego rękę.

Nie mogliśmy dłużej mówić, gdyż weszła jakaś wybitniejsza osobistość, na której widok ucichł nieco gwar zgromadzonych przemysłowców. Przy świetle kandelabrów, które właśnie służba wnosiła do pokoju, poznałem w przybyłym Artura Krakowskiego.

Byłto młody jeszcze i przystojny mężczyzna, wzrostu niemal słusznego, którego twarz ożywiała tak rzadko dziś spotykana szczerość, wzbudzająca zaufanie, pomimo wielkiego nad sobą panowania, jakie równocześnie z rozumnego tryskało wejrzenia. Wrażenie, jakiego doznałem na jego widok, określił najtrafniej Warzycki, mówiąc do mnie:

— Ciężka z nim sprawa, ale co przedsięweźmie, to szlachetne i godne trudu, a co przyrzeknie, tego dotrzyma!

— Jeśli ten będzie waszym wodzem — szepnąłem — zwyciężycie!

Uściskiem dłoni potwierdził to Warzycki.

Po przywitaniach i wzajemnych przedstawieniach zabierał właśnie głos pan Artur:

— Wezwaliście mnie panowie — rzekł — a więc pospieszam rozpatrzyć się z wami w tej sprawie, która nas wszystkich jednakowo obchodzi, bo wszyscy jesteśmy przemysłowcami, a poniekąd także kupcami. Słusznie też możemy o sobie powiedzieć, że to, co jest przyszłością kraju, podstawą jego dobrobytu, jego sił żywotnych, ma w nas gorących popleczników, tem gorętszych, że tu idzie także o nasze własne dobro. Zdaje mi się, iż to szczere przyznanie się do osobistego interesu w podjętem obecnie przedsięwzięciu, jest i koniecznem i uczciwem, gdyż ze względu na dobro kraju dość czynimy, upierając się przy tem, aby nasz zakres działania odnośnie do handlu i przemysłu krajowego pozostał w naszych, a więc rodzimych rękach. Ważny ten obowiązek wymaga z naszej strony niemało trudów i poświęceń. O ile jednak gorączkowa nawet partyzantka wywalczyć zdolną na poszczególnych zaledwie punktach zwycięstwa, które mają więcej osobisty charakter; zawiązanie i utrwalenie syndykatu dla spraw przemysłu i kupiectwa krajowego będzie epokowem dziełem i zwycięstwem idei powszechnego dobra nad duchem separatyzmu, który prowadził nas zawsze do walk w pojedynkę, a przezto do zguby. Złączenie interesu ogólnego z interesem jednostki, to najwyższe zadanie cywilizacyi, bo jestto urzeczywistnieniem w praktyce życia codziennego tej zasady, że w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

Krótką tę przemowę, wypowiedzianą tonem na-

turalnym, niewymuszonym przyjęto gorącemi oklaskami i przystąpiono bezzwłocznie do narady.

Stanisław Warzycki przedłożył projekt syndykatu, oparty na zasadach, które Antoś w rozmowie ze mną wyszczególnił.

„Syndykat dla przemysłu, rękodzielnictwa i handlu krajowego“, składać się miał wedle tego projektu z czterech departamentów, a to dla 1) przemysłu fabrycznego, 2) przemysłu rolnego i drobnego, 3) rękodzielnictwa, 4) kupiectwa.

Na czele każdego departamentu stać miał „wydział zawodowy“, do którego każde koło pomniejsze wysyłać miało co roku jednego delegata, coraz innego; tak, że kto był raz delegatem, mógł nim zostać po raz wtóry dopiero wówczas, gdy kolejno wszyscy inni członkowie obowiązek ten spełnili. Ów delegat w danym roku administracyjnym kierować miał zarazem sprawami swego koła, które wewnętrzną swą organizacyę stosowało do swoich potrzeb i do życzeń członków.

Na czele syndykatu stać miała wreszcie „rada główna“, złożona ze sześciu członków i sześciu zastępców, wybierana w następujący sposób: cztery wydziały zawodowe wysyłać miały co roku po jednym delegacie, trzymając się tejsamej zasady, co koła pomniejsze przy wyborze delegatów do wydziałów zawodowych.

Czterej ci członkowie rady głównej wybierać mieli naczelnego prezesa i sekretarza nie z pomiędzy siebie, ale z pomiędzy wszystkich członków syndykatu. Zastępcami tych sześciu funkcyonaryuszy mieli być członkowie rady głównej z roku poprzedniego, a w ten sposób zmiana funkcyonaryuszy nie pociągała za sobą przerwy w pracach syndykatu. Sekretarz i tegoż zastępca mieli tylko głos doradczy.

Wszyscy funkcyonaryusze pobierać mieli pensye, odpowiednie swoim czynnościom.

Wydziały zawodowe czuwać miały nad dobrym i pomyślnym rozwojem swych departamentów, zaś rada główna miała zawiadować sprawami zasadniczej dla wszystkich departamentów doniosłości, kierując w szczególności także oddziałem bankowym synykatu.

Ożywioną dyskusyę wywołała kwestya politycznych aspiracyj poszczególnych kół i poszczególnych członków.

Hrabia Bombalski utrzymywał, że powinno być zastrzeżone, iż z obrad wszystkich organów syndykatu, polityka wręcz ma być wykluczoną. Na to zauważył pan Artur, że kwestyi tej w statucie wcale poruszać nie należy, albowiem syndykat zmierzając do ekonomicznego podniesienia kraju, nie może mieć nic wspólnego z bieżącą polityką, ale z drugiej strony pod względem narodowym jest już samo istnienie syndykatu wielkim krokiem na drodze do lepszej przyszłości, bo syndykat, to twierdza niezdobyta na terenie, którego zdobycie jest okonomiczną podstawą narodowego bytu.

— Któż więc będzie członkiem syndykatu? — zapytał Antoś.

— Każdy, kto się przyznaje do polskości i ma zawodowe kwalifikacye wymagane statutem — odparł pan Artur.

— A żydzi?

— Ci, którzy się do bezwzględnej solidarności z narodowością polską przyznają, i przystępując do syndykatu, godzą się na wspólne zabiegów ekonomicznych warunki, nie mogą być wykluczonymi.

— A jednak to żywioł tak niebezpieczny! — zawołał Bombalski.

— Jeśli w narodzie chce być narodem — odparł pan Artur — ale w ścisłych granicach równouprawnienia, działając w duchu syndykatu na podstawie obywatelskiego poczucia obowiązków, mogą i będą dodatnim czynnikiem.

— Sądziłem — rzekł Korsuń — że charakter antysemicki zdobyłby syndykatowi wielką w kraju popularność.

Szmer potakiwania dał się słyszeć z kilku stron.

— Nie wiem jak panowie przyjmiecie moje zdanie, ozwał się pan Artur, ale wszelkie gonienie za popularnością wręcz potępiam, a co do kwestyi antysemityzmu, to ją syndykat najtrafniej rozwiązuje, opierając każdą akcyę przemysłową na granitowej podstawie interesu jednostki, pogodzonego z interesem ogółu. Zasada wzajemności nie dopuszcza wyzysku, ale dopomaga każdemu ze stowarzyszonych do osiągnięcia uczciwego zysku.

— Zgadzam się z tem zupełnie — rzekł Sanocki. Jako Polacy nie możemy bowiem niczego więcej domagać się od żydów jak, aby w walce ekonomicznej tych samych, co my, trzymali się zasad.

— Obietnicami będą nas łudzić, a przy swoich praktykach pozostaną! — zawołał Iliński.

— Statut syndykatu wymusi na nich solidarną akcyę, a system kontroli nie dopuści nadużyć — odparł Antoś — kraj zaś zyska na tem ogromnie, gdyż wszelka konkurencya nieuczciwa, wszelkie partactwo i tandeta należycie będą napiętnowane i skuteczniej jak dotąd zwalczane.

— Ludzie powiedzą, że idziemy z żydami ręka w rękę — odparł Iliński.

— Cóż nas obchodzi, co ludzie powiedzą? — przemówił pan Artur — skoro w cywilizacyjnym po-

chodzie wyprzedzimy znów inne narody; w miejsce krzykliwej i bezskutecznej nienawiści, stawiając zasadę pracy, opartej na wzajemnym interesie. Nie znaczy to, że pójdziemy ręka w rękę z żydami, ale że żydzi muszą odtąd postępować drogą wskazaną podstawowemi zasadami syndykatu i dowieść tem, że są prawymi obywatelami kraju.

— Byłoby to niezaprzeczenie dobrze — rzekł przekonany już w połowie Iliński — gdybyśmy tylko ani na włos nie popuścili...

— Kto naruszy statut, narazi się na wykluczenie.

— Więc zgoda! — zawołali razem Iliński i Korsuń.

Dobrą jeszcze godzinę radzono nad tem, aby robotnikom zapewnić ceny jak najlepsze i postanowiono, o ileby w tej mierze spory wynikły, działać w porozumieniu z robotnikami i odnosić się do zawodowych organizacyj robotniczych.

Wkońcu uchwaliwszy jednomyślnie zawiązanie syndykatu na wyłuszczonych podstawach, wybrano komitet do ułożenia statutu.

Prezesem tego komitetu został pan Artur.

Po zamknięciu posiedzenia, z sercem przepełnionem żywszą wiarą w przyszłość i gorętszym zapałem, wyszliśmy na miasto w sporej gromadce.

Szedłem jak zwykle z Antosiem i Warzyckim. Pierwszym, którego spotkaliśmy, był Rzępała.

— Ano zuchy! — zawołał do nas — dajcie pyska; spisaliście się setnie.

— Co znów takiego? o niczem nie wiemy.

— Jakto? chcielibyście mnie starego wywieść w pole? a syndykat?!

— Skądże redaktor wie o tem?

— Wiem do krocset piorunów i chwalę! Niech wam Bóg błogosławi!

— A co, ojcze, widzicie, że i ze szlacheckich pałek może wyjść coś mądrego! — ozwał się Warzycki.

— Cicho, smyku, boście się jeszcze w pół drogi cofnąć gotowi i będzie blamaż i wstyd ogromny.

— Tak źle chyba nie będzie.

— Wytrwasz do końca?

— Jak honor kocham.

— A pan Artur nie cofnie się?

— On? jak możesz pytać, redaktorze, to człowiek charakteru, skoro rzecz rozważył i raz postanowił, już się nie cofnie.

— A więc zwycięstwo! — zawołał Rzępała.

— O jakiem zwycięstwie mowa? — huknął z boku Sanocki.

— Poczucie obowiązków obywatelskich — odparł Rzępała — zwycięża odrębności stanowe.

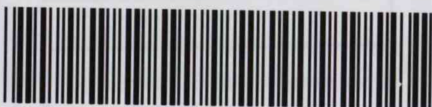
— Szlachta przyszła do rozumu i zaczyna budować! Na konserwatywnym piedestale cnót wiekowych zdrowy i rzetelny postęp zwraca oczy ku słońcu.

. . . .

. . . .

. . . .

Tak projektowano i radzono przed wielką wystawą lwowską, a czego zawiść i złość partyjna dokonać wówczas nie pozwoliła, to dziś po strasznych klęskach ekonomicznych, tem gwałtowniej domaga się załatwienia, jako jedyny punkt wyjścia z ciężkiego nad wyraz położenia, jako jedyny program ekonomiczny na przyszłość!


1000174204